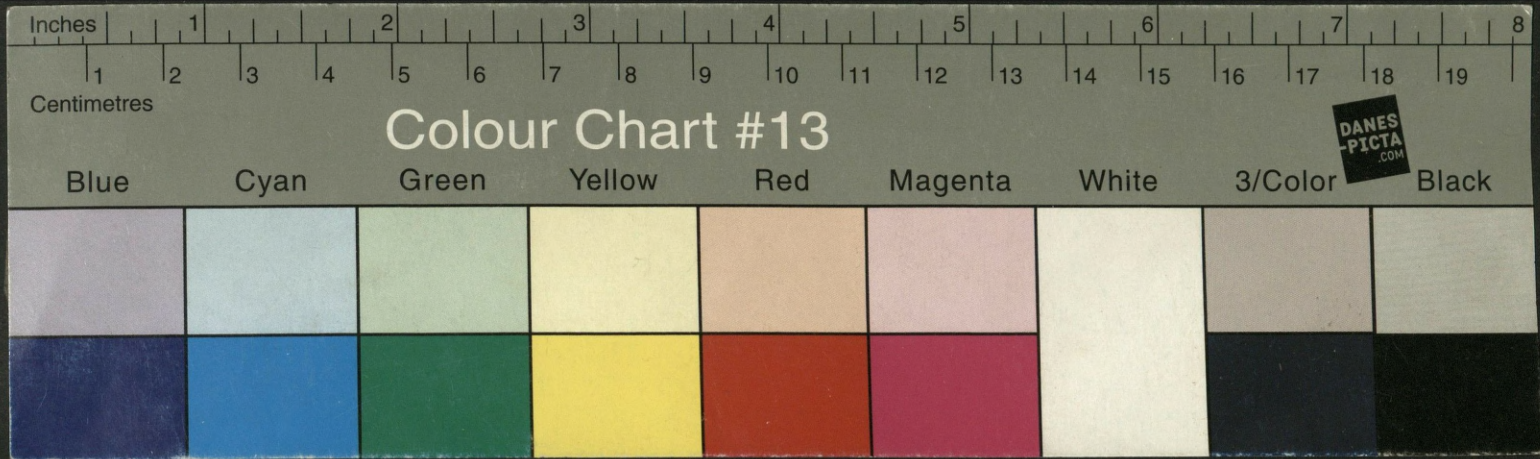
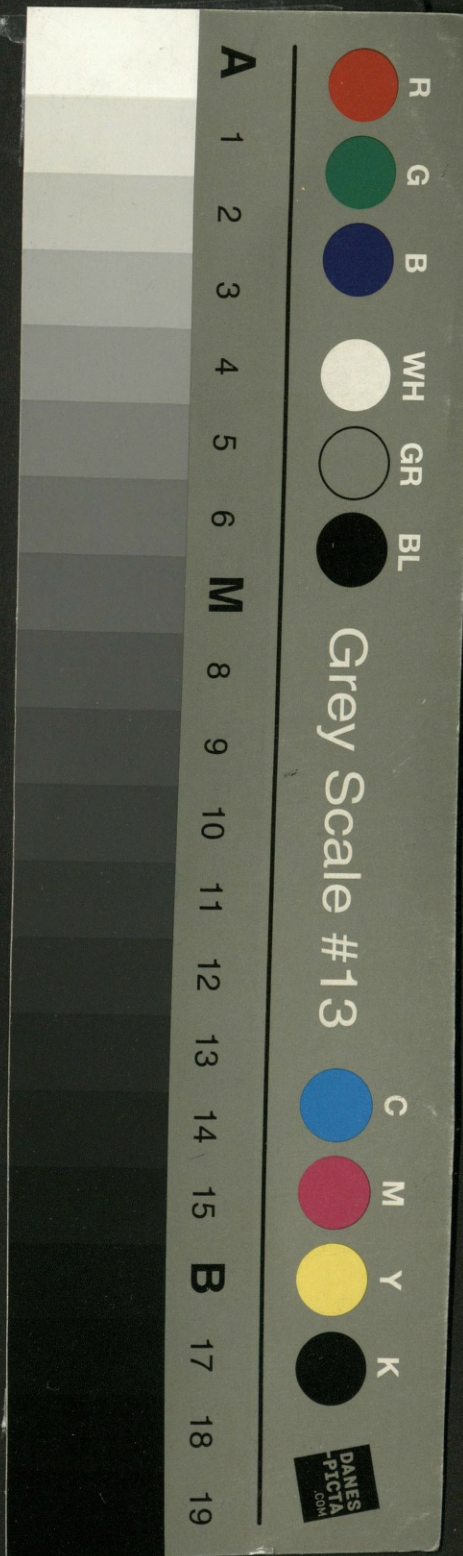


nie-
waki
ERY

Z.DZ



Biblioteka Sejmiku Śląskiego

28465

Wiel-
kości
ERY

ZDZ

WĘGRY I DOOKOŁA WĘGIER

SZKICE POLITYCZNO - LITERACKIE

~~WOJSKO POLSKIE~~

~~Sztab Generalny~~

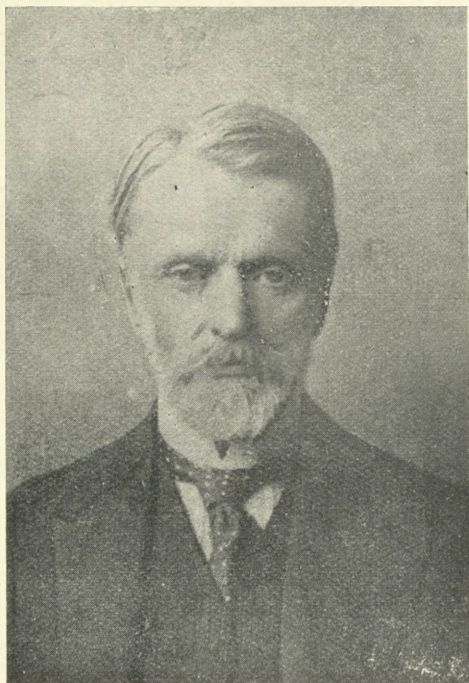
~~Biblioteka~~

~~Nr.~~

~~16076~~

h. -
ob g. Nr.
2/10.33.

0044-T



HR. JULJUSZ ANDRÁSSY

TZDZ

MARJAN ZDZIECHOWSKI

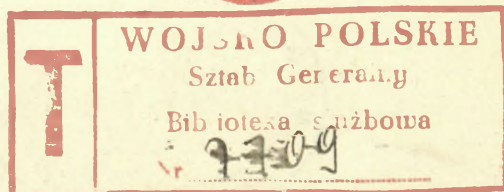
WĘGRY I DOOKOŁA WĘGIER

SZKICE POLITYCZNO - LITERACKIE

WOJSKO POLSKIE
Sztab Generalny Oddz. II.
Biblioteka

Nr.

2080 16076.



Inwentaryzacja
1954

Inwentaryzacja

g(439)

28465

II

Isieg. Katolicka 5.8.33

cena 42T.



W I L N O

T-wo Wydawnicze „POGOŃ”, Drukarnia „PAX”, ul. Św. Ignacego Nr. 5.

1 9 3 3

PAMIĘCI
HR. JULJUSZA ANDRÁSSY

Który w latach wojny światowej, gdy obie wojujące strony sprawę Polski pogrzebać usiłowały, sprawę tę pierwszy podniósł i odtąd niezmordowanie konieczność odbudowy niepodległej Polski głosił

PRACĘ TĘ POŚWIĘCAM

jako wyraz wdzięczności dla narodu, który o Polsce pamiętał, gdy wszyscy o niej zapomnieli.

PRZEDMOWA

Wszystko, co piszę, jest nie na czasie; szkice niniejsze są w otwartej wojnie z czasem. Po bitwie pod Sedanem odprawiono moralność na pokutę; dziś ostatecznie ją ze sfery polityki wygnano. Publicysta, któremu zdarzy się być z nią w zgodzie, czuje się w obowiązku jaknajenergiczniej przy tem oświadczyć, że z zasady wszelką zasadę moralną odrzuca i że w poglądzie swoim kieruje się wyłącznie interesem państwa czy narodu. Sądzę jednak, że dla zrozumienia interesu państwa czy narodu potrzebna jest inteligencja, niema zaś jej tam, gdzie niema choć odrobiny zmysłu moralnego: „Maksymą jest naszą — naucza doświadczony w rzeczach polityki pan w komedji de Flers'a — nie dopuszczać inteligencji do interwencji w sprawach naszych, tam na Quai d'Orsay“¹⁾. „Więc co się staje z człowiekiem — pytają go — co przebył tam całe lat 25“. — „Staje się ambasadorem“ — brzmi odpowiedź.

Ignorancja panuje niepodzielnie w demokracjach; córą jej — napuszona głupota. Jest to bardzo ważna dama: tyranizuje parlamenty, wodzi za nos mężów stanu i dyplomatów. Jej dziełem był traktat w Trianon, który G. Hanotaux nazwał *paix d'ignorance*, pokojem dezorganizującym Europę²⁾.

Szkice te są protestem przeciw traktatowi w Trianon. Oczywiście protest mój nikogo nie wzruszy, należę do świata, który pogrzebano na wieki; głos mój jest głosem z pod ziemi. Mógł-

¹⁾ T. j. w ministerstwie spraw zagranicznych: „C'est notre maxime au Quai d'Orsay ne jamais laisser á l'intelligence le droit d'intervention“ („Les précieuses de Genève“).

²⁾ G. Désbous „La Hongrie après la paix“. (Paris, Rivière 1933) por. s. X — XI.

bym milczeć, ale pisanie weszło mi w nałóg. Im większe jest osamotnienie moje, tem wyraźniej słyszę głos wewnętrzny, nakazujący iść przeciw dzisiejszemu światu. Od wschodu sowieckiego nadchodzi barbarzyństwo; nie prorokuję, był inny prorok a bardzo wielki: Włodzimierz Sołowjew; proroctwo jego spełnia się dziś, może to dostrzedz każdy, kto ma zmysły zdrowe. Niema zaś ani Batorych, ani Sobieskich, którzyby odważyli się stanąć przeciw potędze mroku. Barbarzyństwo fascynuje nas tem, że jest barbarzyńskie, że wypowiedziało wojnę idei Boga, że podeptało religję, moralność, rodzinę; świadectwem odwagi i siły wydaje się nam to, co jest tam przedśmiertnym podrygiem wściekliwości.

Obrzydliwa jakaś, zgniła, filozofiecka gorączka ogarnia społeczeństwo nasze bez różnicy partyj; gdy chodzi o złożenie hołdu katom moskiewskim, wszystkie partje są we wzruszającej ze sobą zgodzie, wszystkie prześcigają się w uniżoności, w podłości...

Sytuacja nasza polityczna jest niesłychanie ciężka. Z jednej strony kolos sowiecki, który rozkłada się i gnije, ale już zdołał wszczepić zarazki gangreny w nieodporny organizm moralnie słabego społeczeństwa — z drugiej strony kolos prusko-niemiecki, który wyrósł na Polsce i żyje żądzą odebrania jej tego, co niegdyś przywłaszczył był sobie. Naturalne dla nas oparcie stanowiłaby monarchja Habsburgów; po jej upadku zastąpić ją mogłyby tylko Węgry. Stąd konieczność najściślejszej z niemi łączności; było to dla mnie jasne od początku, z rozmów zaś moich w r. 1919 z ówczesnym posłem węgierskim w Warszawie, hr. Ivanem Csekonicsem dowiadywałem się, że to samo było myśłą, było pragnieniem nie tych lub owych polityków węgierskich, lecz całego narodu. Ale jakże myśl tę urzeczywistnić wobec braku wspólnej granicy?

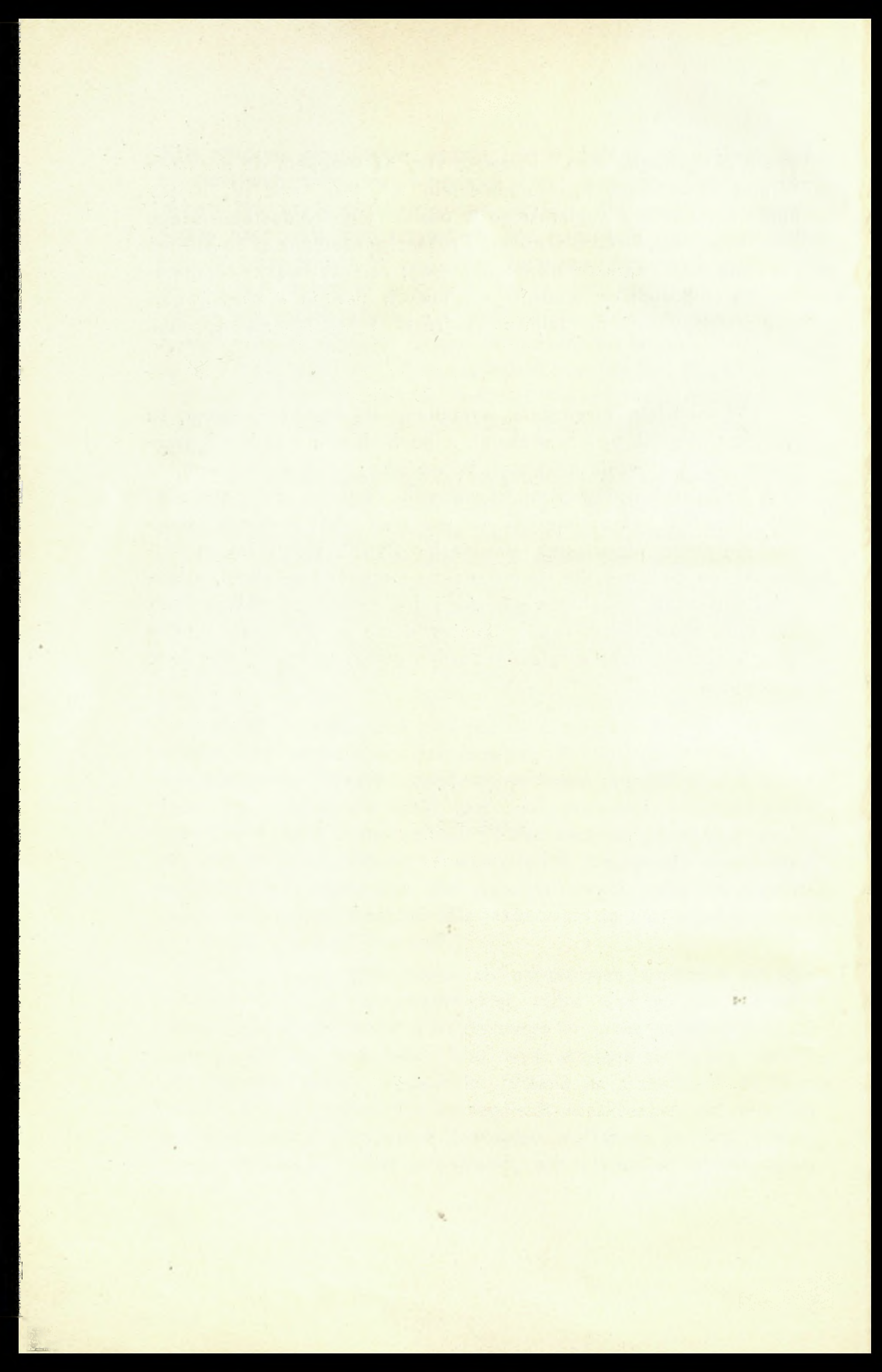
Byłby na to tylko jeden nie naruszający traktatów sposób: oddanie Węgrom Rusi węgierskiej, która jest w tymczasowem posiadaniu Czech na mocy udzielonego im przez państwa Ententy prowizorycznego mandatu. Oto myśl wiążąca w jedną całość moje studia i szkice węgierskie. Pisane na przestrzeni lat 14-u, są one dziś w niektórych szczegółach nieaktualne, ale aktualną pozostaje myśl zasadnicza i dlatego ogłaszam je bez zmian. Chcąc im nadać pewną jednolitość, nie trzymałem się porządku

ściśle chronologicznego. Pierwsze trzy są wstępem do poznania Węgier nowoczesnych; uzupełnieniem ich jest szkic IV, dający obraz katolicyzmu węgierskiego w osobie jego najdostojniejszego przedstawiciela, biskupa Ottokara Prohászka; następne aż do XII-ego włącznie mają charakter okolicznościowy; zamyka książkę charakterystyka obu wielkich wodzów duchowych narodu w okresie najtragiczniejszym — hr. Juljusza Andrássy i hr. Alberta Apponyi.

* * *

W rozdziale pierwszym wyraziłem się nieściśle, pisząc, że Kossuth i Petöfi byli Słowakami z pochodzenia. Jeden z przyjaciół moich słusznie zauważył, że możnaby stąd wnioskować, iż obaj byli zmadjaryzowanymi Słowakami. Tego na myśli nie miałem, chciałem zaś podkreślić, że we krwi ich i w duszy zaznaczał się także pierwiastek słowiański: Petöfi rodził się ze Słowaczki, co do Kossutha, to po mieczu pochodził ze starej, sięgającej wieku XII szlachty węgierskiej; bezpośrednich faktycznych dowodów słowiańskiej w nim domieszki nie mamy; jest to tylko przypuszczenie psychologiczne bardzo prawdopodobne, dla mnie niewątpliwe





I.

KIM SĄ WĘGRZY

Węgrzy pochodzenia są Uralo-Altajskiego. Przed laty kilku zatrzymywała się w Wilnie, w powrocie z Finlandji, wycieczka geograficzna węgierska, złożona z profesorów uniwersytetu i studentów. Jeden z jej przewodników humorystycznie w przemówieniu na bankiecie się wyraził, że jeździli w odwiedziny do kuzynów swoich z przed 3000 lat, do Lapończyków na wybrzeżu morza Lodowatego... Ogromne obszary, ciągnące się od morza tego poprzez puszcze i tundry północno-wschodniej Rosji i Syberji, poprzez góry Uralu, Altaju aż do pustyń i stepów Azji środkowej zaludnia jedno wielkie plemię, którego malutka laturostka znalazła się w Europie i w obcym jej otoczeniu umiała do dziś dnia zachować swoją odrębność narodową i polityczną. Ale do której grupy w tej wielkiej Uralo-Altajskiej czy Turańskiej rodzinie mamy zaliczyć Węgrów — do Ugro-fińskiej czy Turecko-tatarskiej? Spór w tej kwestji toczy się oddawna i dotychczas ostatecznie rozstrzygnięty nie jest. Pod względem języka stanowią Węgrzy odłam grupy Ugro-fińskiej, najbardziej do Wogułów i Ostjaków w Syberji zachodniej zbliżony. Wykazali to w drugiej połowie wieku zeszłego znakomici lingwiści węgierscy Hunfalvy i Budenz, wykazali, ale nie odkryli, o tem bowiem pokrewieństwie z Finnami wiedzano oddawna. Słowem, według poglądu ustalonego przez lingwistów, należą Węgrzy (inaczej Madjarowie) do rodziny Turańskiej, w rodzinie tej do grupy Ugro-fińskiej; w tej zaś grupie najściślej z Wogułami i Ostjakami spokrewnieni, zetknęli się później i ulegli wpływowi żywiołów zrazu turecko-tatarskich, potem słowiańskich i germańskich.

Na innym gruncie stanął współczesny Hunfalvy'emu słynny podróżnik węgierski Vambery. Słusznie twierdząc, że język nie stanowi jeszcze o pochodzeniu, wrócił on do starej legendy, przedstawiającej Węgrów, jako potomków Attyli i Hunnów; Węgrzy—twierdził on—od pierwszej chwili pojawiają się na widowni dziejów, jako najezdźcy z dalekich stepów, kto zaś kiedykolwiek w tej roli widział którekolwiek z plemion ugro-fińskich? Ci, rozrzućeni po puszczech albo u podnóży gór, żyli z myśliwstwa lub rybołówstwa. Jakże sobie wyobrazić nagle przeistoczenie rybaków i myśliwych w wojowników i najezdźców? Czy zna historia podobne *salto mortale*? Nie, Węgrzy synami są stepów wraz z innymi turecko-tatarskimi ludami. Upojenie przestrzenią—pisał skłaniający się do poglądu Vambery'ego Joh. H. Schwicker¹⁾—chęć zwyciężania przeszkód, które ona stawia, żądza przygód nadzwyczajnych, awanturniczość, wojowniczość, rozmiłowanie się w dalekich łupieżkich wyprawach, to wszystko cechowało zawsze koczowników stepowych—Scytów, Partów, Hunnów, Awarów—i z takich koczowników składały się hufce Arpada, gdy zdobywał i zajmował ziemie w których osiedlił swoich Madjarów i w których pozostają oni po dziś dzień. Owe hufce przypominały, według Vambery'ego i Schwickera, dzisiejszych Kirgizów i Turkmenów. I—dodam tu od siebie—choć typ węgierski prawie się zatracił, choć trudno dziś na ulicach Budapesztu odróżnić Węgra od nie Węgra, jednak na twarzach wybitnych Węgrów uderzały mię nieraz wyraźne ślady ich najezdniczego temperamentu. Takie wrażenie wyniosłem przed laty z oglądania portretów na wystawie malarstwa węgierskiego: wspaniałe typy ptaków drapieżnych spuszczaających się z obłoków na zdobycz. Jaka naprz. fantazja bije z oblicza hr. Juljusza Andrassy'ego, wielkiego męża stanu z drugiej połowy zeszłego stulecia!

A jednak teoria Vambery'ego nie wytrzymała krytyki naukowej, zwłaszcza lingwistycznej. Silny cios zadał jej prof. Szinnyei²⁾. Nie poprzestając na językoznawstwie, przeszedł on na grunt Vambery'ego, t. j. do historii i między innymi przytoczył szereg faktów, dowodzących, że Finnowie nie byli wcale owym łagodnym, pokojowo usposobionym plemieniem, jakim się dziś wydają.

¹⁾ „Geschichte der Ungarischen Literatur“ (Lipsk 1919).

²⁾ „Die Herkunft der Ungarn“ (1920).

Wojowali w w. XI i XII z Nowgorodem, urządzali wyprawy na Szwecję; później przez Szwedów podbici, stali się najlepszymi u nich żołnierzami; w czasie wojny 30-letniej wprawiali w podziw i napędzali strachu wojskom cesarskim; w r. 1700 Karol XII na czele pułków fińskich pobił daleko liczniejszą armję Piotra W...

Pomimo to — stwierdza hr. Stefan Zichy¹⁾ — teoria ugrofinizmu nie zdołała narzucić się bez zastrzeżeń historykom węgierskim, tym nawet, którzy oceniali i uwzględniali wyniki badań językoznawczych. Prof. Marczali²⁾ i prof. Szekfü³⁾ zgodnie przypuszczają, że gdzieś kiedyś między Uralem a górnym biegiem Wołgi jakieś najezdniczo zdobywcze turecko-tatarskie plemię podobło ugrofińskich rybaków i myśliwych i zorganizowało ich wojskowo i politycznie, przyjmując natomiast ich język; prof. Dománowszky, nie mówiąc o zawojowaniu, skłania się raczej do objaśnienia obyczajów i wojowniczości węgierskiej wybitnie silnym wpływem tureckim, ale na drodze pokojowego sąsiedztwa i współżycia w przedhistorycznym zaraniu ich dziejów⁴⁾. Zgodnie z poglądem tym Ferenc Eckhardt określa Węgrów jako naród ugrofiński z pochodzenia, a turko-tatarski w kulturze i wyglądzie zewnętrznym⁵⁾.

Jakkolwiekby, bez względu na to jakie pochodzenie Węgrów przypisywać będziemy, faktem jest godnym uwagi historyka, etnografa, polityka, że plemię nieliczne, z ojczystych siedzib wygnane, osiadłszy na obszarze zewsząd przez ludy obce i wrogie otoczonym, nie tylko się w nich nie rozplęnęło, lecz zdołało — w przeciwieństwie do innych znanych nam ludów tegoż samego pochodzenia — stworzyć silnie zorganizowane państwo.

Dowodzi to, że posiadali Węgrzy niepospolicie wyrobioną świadomość swej odrębności, trafny instynkt polityczny i wybitną energję w wykonaniu tego, co im ów instynkt dyktował. Wcześniej zrozumieli konieczność przyjęcia Chrześcijaństwa Zachodniego i zbliżenia się tą drogą do Zachodu — i pod wpływem zachodnio-

¹⁾ „L'origine du peuple hongrois” w „Revue des études Hongroises” (1923 Nr. 1—2).

²⁾ W zbiorowej książce „Ungarn” (1918, Budapest).

³⁾ „Der Staat Ungarn” (1918 Berlin u. Stuttgart).

⁴⁾ „Die Geschichte Ungarns” (1923 München u. Berlin).

⁵⁾ „Introduction à l'Histoire Hongroise” (Paris, 1928).

chrześcijańskiej kultury przeistoczyli się z koczowniczo łupieckiej hordy w naród kulturalny z bardzo wyraźną indywidualnością i z wielką siłą atrakcyjną.

Nasuwa się tu nam pytanie, którego nie postawił żaden uczony węgierski, pytanie z pozoru dziwne: jaka jest różnica między Węgrem, a Rosjaninem, że zaś różnica jest, o czym nikt nie wątpi, to na czym polega, skąd pochodzi? Wszak tu i tam, w obu narodach widzimy te same pierwiastki składowe: ugrofiński, turecko-tatarski, słowiański, germański. Odpowiedzi ściśle naukowej dać tu niepodobna, ale za Alfredem Fouillée można wyrazić przypuszczenie, że te same pierwiastki w rozmaity sposób ułożone dają rozmaite wyniki. W zgodzie z tem jest stara teoria Kostomarowa o dwóch ruskich narodowościach: północnej i południowej, o dwóch typach: wielkoruskim i małoruskim. Na Południu do duszy słowiańsko-ruskiej, marzycielskiej i anarchicznej, weszło sporo turecko-tatarskich naleciałości, które się w niej rozplęły, wnosząc w nią coś ze stepowo - awanturniczej przedsiębiorczości. I Południe staje się widownią walk między władzą kniaziów, którzy są pochodzenia germańsko-skandynawskiego i odznaczają się skandynawską organizatorską dzielnością, a żywiołami tubylczymi, które wolę swoją za pośrednictwem wieców wyrażają. Odbicie walk tych między kniazem, a wiecem mamy w epice ludowej, w jej tendencji do obniżania powagi monarchy kosztem bohaterów z ludu; potężny książę Włodzimierz jest figurą marną w porównaniu z chłopem Ilją Muromcem. — Na Północy zaś typ wielkoruski wyrobił się pod wpływem flegmatycznych, sennych, ugro-fińskich, rybacko - myśliwskich pierwiastków, które wzięły górę nad stepowymi turecko-tatarskimi i wytworzyły owo bierne posłuszeństwo, ów „heroizm niewoli“, na którym carowie potęgę swoją budowali.

W Węgrzech nie widzimy ani jednego, ani drugiego, ani heroizmu niewoli, ani rozbijałości jednostki, depczącej wszelkie więzy. Wręcz przeciwnie. Węgrzy dumni są z tego, że pierwsi w Europie umieli konstytucyjnie się urządzić na podstawach harmonji interesów króla i potrzeb narodu. I aż do dziś dnia przejawiają najświetniej uzdolnienia swoje w zakresie państwowo twórczym.

Mówiąc o wybitnie wyrazistej indywidualności narodowej

Węgrów, warto się zatrzymać nad szczególnie zasadniczym, a bardzo charakterystycznym, na który zwrócił uwagę moją prof. Aleksander Eckhardt ¹⁾. „Przy dźwięku wyrazów Węgry, Węgie — mówi on — staje przed nami magnat w malowniczym, suto szamerowanym stroju narodowym, człowiek dumny, ale wspaniało-myślny, odważny, wojowniczy, może z tego powodu trochę dzi-ki“... „widzimy przed sobą nieskończoną, jednostajną równinę, słyszymy tęskną muzykę cyganów, czujemy zapach smażonej słoniny, chciałoby się napić dobrego tokaju“... „Obrazy te wskrzeszają nam potężną postać Kossutha, który słowem ognistym zapalić umiał naród żądzą zrzucenia znieprawionego jarzma, zorganizował zbrojny jego opór przeciw tyranii Habsburgów, a potem, na wygnaniu, osobą i życiem świadczył, że Węgry chcą być wolnym, od nikogo niezależnym narodem i państwem. A obok Kossutha stoi tak mu bliski duchem ukochany poeta Węgrów, Petöfi, który w pamiętnym 49-ym roku pieśnią zagrzewał ich do walki z ciemnością — i sam w tej walce poległ“. Węgry optymistyczne i entuzjastyczne, Węgry, gdzie w najcięższej epoce ich bytu powstało przysłowie: *Extra Hungariorum non est vita, si est vita, non est ita* — te Węgry uosobione w pięknych, działających na wyobraźnię postaciach Kossutha i Petöfi'ego zna cały świat.

To jedno oblicze, ale jest drugie, mniej dostępne, może nawet niepojęte dla obcych, lepiej jednak i głębiej wyrażające tajemniczą istotę (*essence mystérieuse*) rasy naszej, jak wyraża się Eckhardt. Przypatrzmy się temu, którego Węgrzy największym Węgrem (*a nagy Magyar*) nazwali. Jest to hr. Stefan Széchenyi, wielki inicjator odrodzenia narodowego w wieku XIX, realista, głęboki znawca psychiki narodu swego, na znajomości tej buduje wspaniale obmyślany program wychowania narodowego. Nikt lepiej od niego nie odczuł moralnej siły rasy, do której należał — i nikt też lepiej nie wykazał jej słabych stron. Ach, jak dokładnie widział on i piętnował, jako wadę, która zbrodnią się staje ze względu na ciężkie warunki bytu narodowego, ową zapalną skłonność do złudzeń, po której z natury rzeczy następują bolesne depresje i z którą tak łatwo i często idą w parze powierzchowność myśli oraz goniąca za efektem próżność. Dlatego

¹⁾ A. Eckhardt: „Le double aspect de l'âme hongroise“ (Journal de Genève, 1924 Nr. 5).

to niezmordowanie zwalczał on niepoprawnego illuzjonistę Kosutha. Daremnie; rewolucja wybuchnęła; okiem Kasandry przewidział i przepowiedział katastrofę; nikt słuchać nie chciał proroka klęski i niedoli. Wtedy ogarnia go straszne uczucie odpowiedzialności moralnej: może i on się przyczynił do wybuchu, może zbyt słaby był i ustępliwy wobec Kossutha i entuzjastów jego typu. I w przygnębieniu zaćmiewa mu się umysł, traci zdolność do czynu; ostatnie lata spędza w domu zdrowia, w końcu odbiera sobie życie.

Odporniejsze miał nerwy Franciszek Deák. Takim samym, jak Széchenyi, wrogiem będąc polityki rewolucyjnej, doczekał się 1867 roku i twórcą był ugody z Austrią na dualizmie opartej, która podwaliną się stała, na całą następną epokę aż do upadku monarchji, bytu państwowego Węgier, ich ekonomicznej pomyślności i znaczenia politycznego. Ale co jest dziwne: ten człowiek tak rozważny, ostrożny, nieustrudzony i wytrwały, pracował i szedł do celu swego bez złud, bez wiary, jedynie posłuszny głosowi obowiązku. „Umiem—mawiał on, gdy mu zarzucano pesymizm—walczyć bez nadziei, mam świadomość swej siły i Bóg mi świadkiem, że nigdy nie doznałem zniechęcenia, a stanowczość moja wyłącznie oparta na uczuciu powinności wcale mniejszą nie jest niż u tych, których porywa zapał i rozpala entuzjazmem“.

A Tisza? Tisza, o którym krzyczano i krzyczą, że był jednym z głównych winowajców wojny. — Tymczasem właśnie on jeden wojny nie chciał, więc co miał począć?

Nic łatwiejszego, jak podać się do dymisji, czyli nie przyjąć odpowiedzialności i przejść do opozycji. Dziwi się Biliński we Wspomnieniach swoich, że tego nie uczynił, to mu wymawiają do dziś dnia zaciętrzewieni politycy państw Ententy. Ale czy miał prawo, gdy wojna, stawiająca na kartę byt państwa, postanowiona została i gdy wymagała powszechnej jedności, skupienia sił wszystkich, czy miał prawo wycofać się, zejść z najodpowiedzialniejszego stanowiska? Jakimże niebezpiecznym byłoby to przykładem dla innych! Więc zamknął tajemnicę swoją w sercu i bez nadziei, bez złud, wytrwał na posterunku do końca, tyle energii w pracę wkładając, że właśnie w nim, w jego działalności upatrywano główną sprężynę wojny.

Otóż ci ludzie samotni i smutni streszczają w sobie ową

essence mystérieuse duszy węgierskiej, którą określam, jako uczucie osamotnienia rasowego.

Trudnem jest wśród narodów wielkich i potężnych położenie narodów licznie małych. Trudnem naprz. było położenie Czechów, tej wyspy, jak mówiono, na morzu niemieckiem, trudnem również było położenie Chorwatów, ale jeden z głównych czynników ich odrodzenia stanowiła świadomość plemienna, słowiańska, i wypływająca stąd idea panslawistyczna, oparta na wierze w wielką, potężną Rosję, przyrodzoną opiekunkę ludów słowiańskich. Ludy te zdobyły potem znośne warunki bytu, mogły spokojnie w przyszłość swą patrzeć, a jednak panslawizmowi nie wyrzekły się. Gdy to mówię, stoi przedemną Szandor Gjalski, najznakomitszy powieściopisarz chorwacki, człowiek z duszą artystyczną, od polityki daleką. Przybył raz do Krakowa i na uczcie na cześć jego wydanej wygłosił ze swadą i polotem mowę, którą bym streścił w następujących słowach: „My, Chorwaci, sami przez się, bardzo mało znaczymy na świecie, ale, jako Słowianie, jesteśmy potęgą“. Nie zdawał sobie sprawy, że Kraków nie był miejscem do wygłoszenia podobnej mowy, ani też Warszawa. Zrozumianoby go wówczas tylko w Poznaniu. „Gdy z Niemcem o polskości swojej mówię—opowiadał mi przed wojną jeden z wybitnych publicystów wielkopolskich—nic on sobie z tego nie robi, ale gdy mu powiem, że jestem Słowianinem, patrzy na mnie ze strachem“...

W przeciwieństwie do Słowian, Węgier polegać mógł tylko na sobie—i daleko ściślej, niż do Czech, do nich można było stosować słowa o wyspie, w którą uderzają zewsząd fale obcych, potężnych, a wrogich żywiołów. I przy tem — trafnie dodaje Eckhardt—„spadło na nas w owej epoce budzenia się ruchu narodowego proroctwo straszne, jakby poto aby pogłębić jeszcze i powiększyć udręczenie nasze. Oto Herder, który, jako dobry romantyk, interesował się wszelkimi plemionami, posiadającymi swoje piosnki ludowe, wyraził zdanie, że naród węgierski zniknie wkrótce pochłonięty przez ogromne zalewające go morze słowiańskie“. Dla Słowian teoria Herdera o ich przyszłej wielkości była jednym z głównych bodźców w ich odrodzeniu, dla Węgrów — wyrazem wiszącej nad nimi groźby...

Słowem, przejmowało ich to gnębiące, to podnoszące, sto-

sownie do chwili i okoliczności, przeświadczenie, że bohaterem być trzeba, ażeby w obcym i wrogim świecie narodową i państwową odrębność zachować. Ale czy wszyscy mogą być bohaterami?

Tu uderza różnica między duszą polską, a węgierską. W Polsce, w tym narodzie powalonym, spętanym i skazanym na śmierć przez trzy potężne mocarstwa powstaje poezja mesjaniczna — powstaje z założenia, że tylko cud zdoła zbawić naród, ale tego cudu dokonają wybrańcy, bohaterowie, nadludzie i wyprowadzą oni Polskę, a z Polską świat cały na nowe tory, dadzą początek nowej wyższej epoki — polityki chrześcijańskiej.

U Węgrów ani śladu mesjanizmu, zanadto są realni, by myśleć o cudach, oddawać się apokaliptycznym marzeniom o przyszłym raju na ziemi. Więc albo z fantazją i lekkim sercem człowieka, dla którego wojna — żywiołem, bez myśli o niebezpieczeństwie, Węgier gotów jest iść sam przeciwko wszystkim, albo z poważną, surową zadumą staje wobec zadania, które wykonać powinien, ale wykonać się ono nie daje; niemniej przeto wszystkie siły skupia, aby powinność spełnić.

W pierwszym wypadku, powiedziałbym przeciw Eckhardtowi, w usposobieniu jego jest podkład słowiański. Wszak Kossuth, Petöfi — Słowakami byli z pochodzenia. W drugim zaś, to drugie oblicze duszy węgierskiej jest już specyficznie węgierskie, oblicze narodu nielicznego, a dzielnego, twardego, który w otoczeniu obcem nie tylko nie tracił, ale tem wyłącznie utwierdzał się w swej odrębności i mozolnie wznosił swój dom bez chwili wolnej od ciężkiej troski o jutro.

Naród każdy posiada swoje hymny narodowe, które są mu źródłem pokrzepienia i pociechy. Jakże dziwnie brzmią hymny narodowe węgierskie! Nierównie podobniejsze do „Z dymu pożarów“, niż do „Jeszcze Polska“. Oto Kölcsey w hymnie śpiewanym w religijnem skupieniu na każdej uroczystości patriotycznej błaga Boga, by narodowi smaganemu przez zawistny los dał „jeden rok szczęścia“! Słusznie mówi Eckhardt, że hymn ten jedyny jest w rodzaju swoim. Przypomina skargę Hioba do Boga i zarazem na Boga, bo zadręcza go Bóg: „Odstąp maluczko od człowieka, aby odpoczął“... „aby czas miał przełknąć ślinę swoją“.

U Vörösmarty'ego myśl o cierpiącej ojczyźnie przekształca się w wizję bólu i jęku, którym ziemia cała jęczy — owa „gwiazda ślepa, co w gorzkiej swej posoce brodzi — I w wędrówce przez płomienne stepy — Swoje zbrodnie i występki płodzi“... Optymistą w porównaniu z nimi jest w nastroju swoim Petöfi, a jednak w hymnie *Szozat*, wzywającym do walki, walka ta wywołuje w nim obraz przedewszystkiem śmierci, nie zaś zwycięstwa, — śmierci chwalebnej i pięknej. W innym hymnie wylicza wszystkie klęski, przez które Węgry przeszły:

O! bracia, skrzepmy barki na pracę i trud,
Że Węgry jeszcze żyją — ach! to Boży cud.

Wreszcie poeta nowoczesny, Andrzej Ady, płacze nad znaczeniem „rasy naszej madjarskiej, dumnej, pięknej a nieszczęśliwej“. Walka jest jej losem, walka bez jednej chwili wytchnienia; ale czy ma ona cel, czy uwieńczy ją tryumf „tę walkę dziedziczną a bohaterską“?... Łódź na morzu objętem mgłą gęstą — oto obraz Węgier: „W tej mgle wśród burz i udręczeń ach co z nami się stanie! Brzegu nie widać, ani istoty ludzkiej! Płyniemy, płyniemy“... „O Węgry, ojczyzno moja, ciemność za tobą i ciemność przed tobą“... Wspaniały wyraz tragizmu samotności rasowej.

Pięknym, wzniosłym i silnym jest wiersz Konopnickiej *Contra spem spero*, w którym tak wiernie się odbił nastrój patriotyzmu polskiego. Ale niemniej szanownem jest uczucie, które dyktowało Fr. Deakowi następujące słowa w liście do przyjaciela: „Walczę bez nadziei przy was i z wami — i gotów jestem walczyć dalej, nie licząc na powodzenie — bo tak mi każą honor i powinność“.

„U zbiegu, na rozstajnych drogach narodów Europy — kończy prof. Eckhardt studjum swoje — zamknęliśmy się w smutku naszym. Przekleństwo ciąży nad nami. Pomimo to nie schodzimy z drogi powinności i, nie myśląc o wypoczynku, toczy my swoją skałę Syzyfową, bo tak zawyrokowały owe moce najwyższe, które stanowią o losach narodów“. I zdaje się nam, że słuszne są też ostatnie ironją brzmiące słowa jego, iż żaden pisarz węgierski nigdy nagrody Nobla nie otrzyma, albowiem „żaden nie zdoła zejść ze sfery wieczystego bólu narodowego w sferę owych ładnych, poklask powszechny zyskujących komunałów“.

II.

SZANDOR PETÖFI I JEGO OJCZYZNA

ODCZYT WYGŁOSZONY W WILNIE W CZERWCU 1923 R., W AULI KOLUMNOWEJ UNIWERSYTETU NA UROCZYSTYM OBCHODZIE 100-LETNIEJ ROCZNICY NARODZIN PETÖFIEGO

Nie łatwe mam przed sobą zadanie, mając mówić o największym poecie Węgier, a języka węgierskiego nie znając.

Węgry pociągały mię zawsze. W latach młodych uczyłem się po węgiersku, doszedłem do tego, że czytałem w oryginale niektóre nowele Jokaya; niestety, nawał innych zajęć zmusił mnie do zarzucenia pracy, do której z zapalem szedłem.

Choć do zrozumienia i ocenienia arcydzieł każdej literatury oczywiście potrzebna jest znajomość języka, widzimy jednak, że niezbędną nie jest. Jak wielbił Schiller tragedję grecką, a jak źle greką władał! Jak głęboko w myśl i w duszę Mickiewicza wczuwał się Włoch Fogazzaro, jakim entuzjazmem nasza poezja messjaniczna przejmowała Francuza Sarrazin'a — obaj zaś znali ją tylko z przekładów prozą nie zawsze, jak wiemy, udatnych.

Ale między poezją polską, a Petöfiego ta jest różnica, że treść twórczości naszych wieszczów niezmiernie pogłębiały i rozszerzały odwieczne zagadnienia religij i filozofji, tak ściśle przez nich z ideą ojczyzny kojarzone. Dzięki temu utwory ich działają, i działają potężnie, samą treścią swoją bez względu na to jakim jest przekład. Petöfi zaś filozofem nie był. Mógłby nim zostać, jak świadczą niektóre jego utwory, gdyby żył dłużej, ale zginął na polu chwały w 27-ym roku życia; zabrakło mu czasu na ukształtowanie myśli swoich, marzeń, uczuć i dążeń w jakąś głębszą całość, był tylko lirykiem, „ten najbardziej 20 letni ze

wszystkich poetów" jak trafnie się wyraził o nim jeden z krytyków naszych. Odczuć zaś nieuchwytny najczęściej czar poezji lirycznej można tylko w takim razie, gdy tłumacz dorównywa talentem samemu poecie. Takich tłumaczy Petöfi dotychczas nie miał. Proszę mi więc wybaczyć, że więcej niż o nim mówić będę o jego ojczyźnie, której duszę on najpiękniej słowem i czynem wyraził.

Leży to w naturze człowieka, że ciasno mu jest w obrębie warunków bytu doczesnego — i z ciasnoty tej wyrывa się dusza w dal, do wolnej, wszystkimi głosami życia rozśpiewanej natury. Ciągnie ją nieskończoność, ciągnie i dręczy zarazem ową żądzą rzeczy niezmiennych i wiecznych, która cechuje każdą myśl wielką, każde nawet przedsięwzięcie. Otóż są w mowie ludzkiej wyrazy, imiona czy to jednostek, czy narodów, wywołujące ze szczególną siłą uczucie to. Takim właśnie jest wyraz Węgry. Nierozłącznie się wiąże z obrazem stepu bez granic i końca, poi oddechem przestrzeni i „chciałoby się—powtórzę tu za Sienkiewiczem — sięść na koń, rozłożyć ręce na koniu i krzyczeć hej, hej, stepy i zapamiętać się w nich i zabłąkać i żyć“...

Zdaje się, że słyszymy tętent cwałujących koni i słyszymy pieśń, tę węgierską pieśń tęsknoty, którą rodzi step, której nic na świecie nie ukoi i nie nasyci, aż wybucha w końcu szaleńcem czardasza, w którym Węgier szuka wyzwolenia od gniożącego ciężaru powszedniości.

Choć pyszne są Karpaty w ich strojach świerkowych, ale, woła Petöfi,

Milszą mi stepu przestrzeń niezmierna,
Step mi ojczyzną, nie oddam go za nic:
Jak orzeł z gniazda, serce rwie się z łona,
Patrzac w widnokrąg bez brzegu i granic.

Duch mój na skrzydłach leci stąd w obłoki,
Obszar mu ziemski już starczyć nie może,
A step się do mnie uśmiecha szeroki
Od brzegów Cisy po Dunaju łoże.

Z dalekich stepów Azji przybyli Węgrzy i znalazłszy w środku Europy step, rodzime im strony przypominający, na

stepie tym się osiedlili. Step wycisnął na duszy narodu węgierskiego zamię bójnej, rozwichrzanej jakiejś, romantycznej fantazji — i romantycznymi są jego dzieje, ale w romantyzmie tym była nieraz wstrząsająca tragiczność.

Zagarnąwszy obszary zajmowane przez narody germańskie i słowiańskie, zrazu staczali oni krwawe walki z niemi; potem, ażeby przy życiu móc się utrzymać i niezależność ochronić, musieli ich wyższą kulturę sobie przyswoić. W końcu wieku X Król Stefan Święty przyjmuje wiarę Chrystusową, w roku zaś 1000-ym Papież przysyła mu koronę, którą Węgry z pietyzmem dotychczas, jako przedmiot czci najwyższej, przechowują. Od owej chwili królestwo Św. Stefana staje się przedmurzem Chrześcijaństwa w walce ze Wschodem, z Tatarami, później z Turkami. Ma ono swoją epokę świetności w XIV wieku za czasów Ludwika Wielkiego, który później zasiadł na tronie polskim i dał nam Jadwigę.

Co do dziejów wewnętrznych, to jeden, a nadzwyczaj znamienity szczegół podnieść tu należy. Oto owi najeźdźcy ze stepów mieli ogromnie żywe uczucie tego, że są jedną rodziną wielką, zatem wszyscy równi sobie i wolni. Kronikarze świadczą, że jeszcze w czasach przedchrześcijańskich heroldowie, obwieszczając wojnę, powoływali młodych pod sztandary, bo „taki jest głos Boga i narodu”. Czyli, w ujęciu węgierskim, wola narodu była źródłem władzy. Ale to stepowe rozmiłowanie w wolności szło w parze ze zmysłem organizacyjnym i nigdy się nie przerodziło w naszą słowiańską anarchiczność. Węgrzy mieli zmysł prawa i o konstytucji węgierskiej, którą w r. 1222 ogłosił król Andrzej II w t. z. Złotej Bulli, można powiedzieć, że jest najstarszą w Europie, bo choć o lat siedem wyprzedziła ją *Magna Charta libertatum*, będąca początkiem swobód politycznych angielskich, ale wymusili ją na królu Janie Bez Ziemi baronowie, gdy bulla Andrzeja II formułowała i zatwierdzała to, co już istniało. Słusznie szczytą się z tego Węgrzy. Nie zapomnę nigdy jak wielki ich polityk, a jeden z największych mówców w Europie, hr. Albert Apponyi, w rozmowie ze mną przedstawiał w głębokim i pięknym wywodzie ów konstytucjonalizm węgierski, zwycięsko się wynoszący ponad przeciwieństwa despotyzmu i anarchizmu, jako zasadniczą właściwość psychiczną narodu swojego.

Ale wobec warunków geograficznych, trudno było Węgrom

na własnych tylko siłach polegać, w r. 1440 obierają królem Władysława Warneńczyka. Bitwa pod Warną jest w ich dziejach datą straszną; ona to zdecydowała ostatecznie losy Wschodu Bałkańskiego — i Turcy, mocną nogą stanąwszy w Europie, Węgrom w pierwszej linii zagrozili. W niespełna sto lat potem król Ludwik II ginie w bitwie pod Mohaczem. Węgrzy, ażeby oparcie znaleźć na Zachodzie, powołują arcyks. Ferdynanda na tron. Rachuba zawiodła. Już w r. 1541 Buda, serce Węgier, wpada w ręce sułtana i pozostaje całe 1½ stulecia pod władzą Turków. Siedmiogród, zachowując, jako księstwo samodzielne, pozory niezależności, znosić musi ciężki protektorat sułtanów — i na pomniejszone, pozbawione 2:3-ich swego terytorjum Węgry spada cały ciężar walk z Turcją.

Gdyby to jedno tylko: niemniej ciężką walkę prowadzić muszą z prawowitymi władcami swoimi, z dynastją, której polityka jest wyraźnie i stanowczo absolutystyczna i centralistyczna. Z jej stanowiska Węgry są żywiołem dla państwa niebezpiecznym, jako czynnik dążeń wolnościowych. Żywioł ten zgnieść należy i w tym celu pozostawić kraj własnym siłom; niech Turcy pustoszą go jak mogą, tem lepiej, byleby tylko nie dał się oderwać od Austrii. Z tego powodu, pod pozorem obrony, oddziały wojsk cesarskich stały mają postój w rozmaitych miejscowościach królestwa Św. Stefana, ale obecność ich, według świadectwa pisarzy bezstronnych, niemniej dotkliwą jest dla mieszkańców, niż najazdy tureckie. Więc co mają począć Węgry? Podnieść bunt przeciwko własnemu monarsze i poddać się Turkom? Przeciw temu protestuje całą mocą tak silne u nich poczucie legalności. A jednak rozpacz nieszczęśliwego narodu dochodziła do tego stopnia, że w drugiej połowie XVII wieku do buntu już się skłaniał.

Inicjatywa szła od obu najmożliwszych w Kroacji rodów magnackich, od Zrinskih i Frankopanów, Kroacja bowiem, w wieku XI unją z Węgrami złączona, w najściślejszem porozumieniu i jedności z niemi trwała i działała. Ban kroacki, Piotr Zrinski, widząc, że na opiekę i pomoc cesarską przeciw Turkom rachować nie można, rozpoczyna na własną rękę, a w spółce z magnatami węgierskimi Nadasdy'm i Wesselenyi'm, układy z Ludwikiem XIV, z Wenecją, z Michałem Wiśniowieckim, w Stambule zaś, za wiedzą jednak cesarza, ma swego zaufanego wysłannika

Bukowackiego. Korzysta z tego rząd wiedeński i ażeby moralnie Zrinskiego i jego przyjaciół w opinii świata katolickiego zabić, jawnie ich o zdradzieckie knowania z sułtanem oskarża. Zrinski i Frankopan z cesarskiem *salvum conductum* w rękę udają się do Wiednia, ażeby z postępowania swego się wytłómaczyć. Za ledwo jednak przybyli, zostają uwięzieni. Słowo monarsze było tylko podłą zasadzką—szczegół jeden z najbrzydszych w dziejach Austrii. Po indagacjach i torturach, co kilka miesięcy czasu zajęło, ponoszą obaj wraz z Nadasdy'm śmierć na rusztowaniu. Wdowę po Zrinskim, Katarzynę, męczono również w więzieniu i po latach czterech zamęczono. Córkę zmuszono zostać mniszką, syna zaś, za ledwo dorastającego młodzieńca, zamknięto w lochach zamku w Grazu, gdzie zmarł po upływie lat 30-u. Rozległe ich dobra uległy oczywiście konfiskacie. I to ostatnie, nie zaś zdrada, której się nie dopuścili, było rzeczywistą przyczyną ich stracenia. Komisja sądowa z całym cynizmem przyznawała się do tego, podając cesarzowi wyrok do podpisania¹⁾. Minęło lat 12 po męczeńskiej śmierci tych, co ojczyznę swoją i wraz z nią Austrię i Chrześcijaństwo od przemocy Tureckiej wybawić usiłowali, a W. Wezyr Kara Mustafa stał na czele wojsk sułtańskich pod Wiedniem, cesarz zaś Leopold, wymordowawszy swoich najwinniejszych, musiał Sobieskiego błagać o ratunek.

Dopiero w 1703 r. powstał mściciel krwi Zrinskiego, a wnuk jego, narodowy bohater Węgier, wychowany w Polsce i obrany potem Księciem Siedmiogrodu, Franciszek Rakoczy. Walczył lat osiem. W r. 1711 wymęczone hufce jego, bez wiedzy i woli wodza, złożyły broń pod Szatmarem, ale wymogły u Austrii amnestję dla siebie i obietnicę szanowania przywilejów węgierskich. Rakoczy się nie poddał i resztę życia spędził we Francji i w Turcji, na emigracji i daremnem wyczekiwaniu nowej sposobności do walki z Austrią. Natomiast w tak legalistycznym i tak z usposobienia lojalnym względem monarchów swoich narodzie węgierskim odrazu nastąpił zwrot—i gdy w r. 1740 zaatakowana przez potężną koalicję Marya Teresa szukała schronienia i pomocy wśród Węgrów, szlachta cała odpowiedziała jej jednogłośnie go-

¹⁾ Eure Majestät können mit Gottes Hilfe bei Zrin, Nadasdy und anderen Complicibus gute extraordinäre mittel überkomen, daraus armeen werben und unterholten und noch viel schulden zahlen.

towością ofiarowania *vitam et sanguinem pro rege nostro Maria Theresia*.

Ale Józef II wznowia politykę centralistyczną; prowadzi ją dalej cesarz Franciszek I, wszechwładny zaś kanclerz Metternich zbywa żądania węgierskie ironiczną odpowiedzią, że nie potrzebuje konstytucji naród, w stolicy którego rządili przez 1^{1/2} wieku paszowie tureccy. Budzący się jednak w Europie ruch narodowościowy dotknął również Węgry. Za pośrednictwem literatury, dzielnie wyzwajającej się, dzięki pracy i talentowi poety Vörösmarty'ego z pod wpływu, a raczej ucisku łaciny, która nie tylko na widowni publicznej, ale i w życiu domowym panowała, ruch ten przynosi Węgom świeże pierwiastki tęgości i mocy w ich walce o swoje prawa. Wiedeń widzi się zmuszonym zezwolić na zwołanie sejmku do Pressburga w r. 1825 i następuje okres legalnej, 23 lata trwającej walki z Austrią.

Na czele ruchu tego i walki staje zrazu Hr. Stefan Széchenyi, przezwany wielkim Węgrem (*a nagy Magyar*). Z duszą ognistą, namiętnie oddany idei moralnego i umysłowego podniesienia ojczyzny, pełen najszlachetniejszej ambicji, tworzy on szeroko pomyślany plan reform politycznych i ekonomicznych i kreśli to piórem świetnym w rozprawie *Hitel* (Kredyt). Wzorem jest mu Anglja, myślą przewodnią — uprzątnięcie trudności, wpływających z nienaturalnego małżeństwa konstytucyjnych Węgier z absolutystyczną Austrią. Upatruje on główne źródło złego w feodalnym ustroju społeczeństwa, w przywilejach szlachty, wolnej nawet od podatków, w ubóstwie i ciemnocie ludu, w gospodarczym zacofaniu, rzuca słowa, które, jak iskra, obleciały i zapaliły Węgry, że „świat sądzi, iż Węgry już były i przeszły, a ja mówię, że one jeszcze będą“.

Zaczepony przez tych, którzy nic ze swego ustąpić nie chcieli, bije ich na miazgę ten mistrz prozy węgierskiej ironją niepospolitego dowcipu w książce *Vitas* (Światło), gdzie dobitniej jeszcze i silniej poglądy swoje formułuje. Wpływ jego się wzmacnia, z polityki wkracza do literatury. Wszystkich na polu tem pracujących porywa wielki Węgier potęgą pióra i czarem osoby i dzięki inicjatywie i hojnym jego datkom powstaje węgierska Akademia Umiejętności.

Idee Széchenyi'ego torują sobie drogę: już na Sejmie następ-

nym pojawiają się nowi a wielcy politycy i mówcy — bliski Széchenyi'emu Fr. Deák i bardziej krańcowy Ludwik Kossuth. Pod ich wpływem szlachta w coraz znaczniejszej liczbie oświadcza gotowość złożenia przywilejów swoich na ołtarzu ojczyzny. Przerażony „liberalizmem“ tym rząd Wiedeński, nie bez skutku podnieca przeciw sejmowi z jednej strony magnatów, z drugiej — ciemne masy drobnej szlachty. Po kadencji zaś sejmowej (1836) zarządza areszty i skazuje na więzienie kilku najwybitniejszych, jak Kossuth, baron Wesselenyi, Lovassy, Tormasy — ten ostatni za przyjazne Polakom artykuły. Dopiero w 1839 roku, z obawy przed groźną postawą nowego sejmu, wypuszcza ich cesarz na wolność.

Rok 1848 rzuca cały ruch na nowe tory. Kossuth, pod wrażeniem rewolucji lutowej w Paryżu, a przekonany, że konstytucja Węgierska nie może mieć trwałej pod sobą podstawy, dopóki Austria się nie przeobrazi w państwo konstytucyjne, popiera całą siłą rewolucjonistów austriackich i staje na przeciwległym biegunie do Széchenyi'ego, któryby chciał mieć z Węgier podporę dla dynastji w jej walce z dążeniami przewrotowemi. Duch chwili był z Kossuthem i w marcu wybucha w Wiedniu i zwycięża rewolucja, której owocem staje się dla Węgier uznanie ich za państwo samodzielne z ministerjum odpowiedzialnem, ale pod berłem Habsburgów. Działalność Kossutha w owym czasie oparta była na przeświadczeniu, którego rzeczywistość nie potwierdziła, że jedność niemiecka była na drodze do szybkiej realizacji, że wskutek tego Austria odpaść musiała do Niemiec, że Węgry przeto stałyby się państwem zupełnie niezależnem, a wtedy będzie to w interesie Habsburgów państwo to uczynić jak najsilniejszym. Z taką koncepcją bliskiej przyszłości przedstawia Kossuth w ministerjum bezwzględna nieustępliwość wobec Wiednia w przeciwieństwie do kolegów swoich Széchenyi'ego, Deáka i prezydenta gabinetu hr. Batthiányi'ego. Naród poszedł za Kossuthem.

Ministerjum musiało wkrótce podać się do dymisji. W Wiedniu naznaczono bana kroackiego, Jellačića, komisarzem jeneralnym na Węgry. Innego wyjścia, jak bronić się z orężem w ręku dla Węgrów nie było. Ale w wojnie z Austrią usiłowali jeszcze zachować legalność i walczyli w imię Cesarza i Króla Ferdynanda V, który im podpisał konstytucję, a wkrótce potem zrzec się

musiał tronu dla młodego Franciszka Józefa, w owej chwili uosabiającego ideę Austrii absolutystycznej i scentralizowanej. Wspierani przez ochotników polskich i w znacznej mierze dzięki udziałowi polskich wodzów, jak jen. Dembiński, a przede wszystkim jen. Bem, Węgrzy byli bliscy zwycięstwa, Austrija się rozchwiewała, ale Car Mikołaj przyszedł jej z pomocą. Opór węgierski zostaje złamany i w sierpniu 1849 r. wódz naczelny jen. Görgey kapitułuje pod Vilagos.

Represja była straszna. Jen. Haynau stawia w Arad 14 szubienic i wiesza 14-u generałów. W tymże samym dniu ginie na rusztowaniu w Wiedniu hr. Ludwik Batthiányi. Pod uciskiem rozpaczcy hr. Széchenyi wpada w stan jakiejś prostracji umysłowej; umieszczony w domu zdrowia w Döbling, po 12 latach (1860) kończy śmiercią samobójczą; Kossuth i wielu innych emigrują. Z Węgier, według zapowiedzi ministra Bacha, miało pozostać tylko imię.

Petőfi już nie żył. Bardowi wolności węgierskiej Opatrzność oszczędziła widoku upadłej i deptanej ojczyzny.

Śmiercią przedwczesną, a tragiczną przypomina Petőfi jednego z największych liryków świata, poetę rosyjskiego Lermontowa. Obaj przytem tę śmierć bliską a tragiczną przeczuwając, widząc nawet, przeczucie to i widzenie w wierszach swoich wyrażali. Ale tu się kończy ich podobieństwo. Petőfi żył myślą o wolnej ojczyźnie i za nią walcząc, poległ; Lermontow padł, ugodzony kulą w pojedynku z przeciwnikiem, którego obraził. O ojczyznę troszczyć się Lermontow nie potrzebował: Rosja była wówczas (1841) państwem najpotężniejszym w Europie. „*Ja rab*—wołał on w jednym z utworów swoich—*no rab caria wsielelnoj*“. Było to oczywiście chwilowym tylko wybrykiem. Poczucie niewoli, choćby dumą patriotyczną zabarwione, nie mogło być ukojeniem dla burzliwej duszy poety, palącej się marzeniem, miotanej bezbrzeżną tęsknotą za czemś, czego świat dać nie może. Czuł on i w rymach cudownych czar modlitwy odtwarzał, lecz częściej jeszcze wcielał się w postacie demonów pokłóconych z Bogiem i światem i daremnie silących się uczuciem miłości czystej upadłą duszę odnowić „Śmierć moja będzie straszna — pisał — zadziwi narody obce“... Ale myśl o śmierci wiązała się w nim z obrazem robactwa rojącego się w trupie i z rozpaczą

duszy chcącej „oddechem ciepłym rozgrzać“ i ożywić ciało, tego jej „ostatniego i jedyne go druha“. Marzenie zaś Petöfiego znalazło swój punkt oparcia w ojczyźnie — i śmierć nie była mu straszną, owszem błagał o nią:

Ta tylko troska gnębi mi duszę,
Że nędznie w łóżku umierać muszę
I wędnać marnie niby roślina
Kiedy korzenie czerw jej podcina!...

Innej chciał śmierci — w walce o wolność świętą — i niech w walce tej „jak w dąb, rzuci we mnie piorun Boża łaska“, niech

Po ciele mojem — rozgrzana bojem
Zwycięską niech przemknie konnica nawałą...

Ale czy miłość ojczyzny i wiara w ojczyznę związane są ze sobą jakimś węzłem nierozzerwalnym? Nie, poezja nasza świadczy, przez jakie piekła wąpień przechodzi myśl, zanim z bólu nad upadkiem i poniżeniem narodu wydobędzie nutę krzepiącej nadziei. Wątpienia takie znał także Petöfi. Najsilniejszym tego wyrazem wiersz „Światła“, którym zachwycił się w pierwszej młodości swojej Nietzsche, widząc w nim, jakby odbicie swojej własnej duszy, tę filozofję swoją, którą miał później w latach dojrzałych głosić — filozofji, której nie obchodził zaświat, bo za ziemskim tylko szczęściem wzdychając, usiłowała zagłuszyć jęk bólu w duszy, wmawiając sobie i ludziom, że jeśli nie każdy, to wybrańcy — nadludzie, zdolni są szczęście własne tworzyć, umiejętnie skupiając rozsiane we wszechświecie pierwiastki radości i rozkoszy. — Nie Hamletowskie jakieś *być albo nie być* naczelnem jest, według Petöfiego, zagadnieniem człowieka... Pytanie to stawiał poeta jaśniej, wyraźniej, a mianowicie: czy warto ofiarę z siebie czynić dla świata, dla przyszłej ludzkości? Czy tą drogą przyspieszamy czas, w którym u celu swego staną marzenia najlepszych wszystkich i najszlachetniejszych? Wszak niczem innym nie jest człowiek „jak kwiatem, który rozkwitł i zwiędnie, jak falą, co się podnosi i opuszcza, jak kamieniem, który rzucony w górę, z powrotem spada; wędrowcem jest, który z trudem wspina się na wysokość, ażeby z niej na stronę przeciwną zejść“... „I to ma trwać wiecznie? Ach, na myśl tę przejmuję mroźny dreszcz nie-

skończonego przerażenia — i w porównaniu z tem nawet płaz najwstrętniejszy, nawet żmija, co się zdradziecko podkrada i rzuca i obwija się naokoło ciała i jad swój w garło mi sączy — nawet żmija ta mogłaby się wydać promieniem ciepła“...

I przed wątpieniem się chroniąc, upajał siebie poeta myślą, która nie jego tylko, niedoświadczonego młodzieńca, ale rozważne i głębokie umysły w owym czasie upajała — myślą o świecie zbliżającego się dnia, o wiosnie narodów, które w uścisku braterstwa się złączą na gruzach zwalonych tronów.

Więc wraz z wybuchem rewolucji węgierskiej Petöfi oddał się jej z całym szałem namiętności; zaciągnął się do wojska:

Z radością skoczyłbym na grzbiet,
Na grzbiet bystrego mego konia,
W szeregu mężnych byłbym szedł
Jak wicher przez skrawione błonia.

A gdybym zmarł — kończył:

... a gdybym zmarł
Pod mieczem kata, czy wśród bitwy,
Znajdzie się ktoś, co wnetby starł
Krew bladych zwłok mych łzą modlitwy.

W zapale szału patriotycznego nie uznawał żadnych kompromisów. Nawet ten, który rewolucji tej był inicjatorem i stanąwszy na czele jej, ogłosił detronizację Habsburgów, Kossuth, wydawał mu się zbyt miękki i chwiejny. Ale szal Petöfiiego był szałem świętym, namaszczonym pogodą i godnością posłannictwa poety, świadomością, że moralnie pięknym powinien być ten „przez którego strumienie piękności płyną“ (Kraśiński). „Mogą być — pisał on do przyjaciela — ludzie czy pióra wspanialsze i wytworniejsze od mego, ale czystsze z pewnością niema; głośiłem to tylko, do czego Bóg mej duszy mnie natchnął, a Bogiem mej duszy jest wolność. Może potomkowie powiedzą, że marny był ze mnie poeta, to jednak będą musieli przyznać, że byłem surowym wyznawcą religji mojej“. Jakiej religji? można określić ją wyrazami *romantyczny rewolucjonizm*, którego jednak pierwszem hasłem nie jest — jak się w tymże liście wyraził Petöfi — *precz z tronami, lecz oczyścić dusze wasze?*

Albo cel osiągnąć, albo wszystkim polec—myśl tę wyczytał niegdyś Słowacki w Termopilach, u grobu bohaterów Grecji. I wstyd go palił, że on, Polak, żył jeszcze. „Ja tam nie będę stał przed Grecji duchem. Nie — pierwiej skonam — niż tam iść z łańcuchem“.

Tego wstydu nie zaznał Petöfi. Słowo i czyn zlały się w nim w jedno piękno i spełniło się przeczucie jego, w którym widział siebie leżącym wśród poległych bojowników, a na bladych jego ustach składała pocałunek najpiękniejsza w świecie, słodka, kojąca wolność. — Więc nie dziw, że tak go kocha jego naród, w nim widząc najpoetyczniejsze wcielenie ojczyzny.

Po 18 latach okrutnego ucisku nowe życie zajaśniało dla Węgier, gdy w r. 1867 monarchja Habsburgów na podstawie dualizmu austro-węgierskiego została przebudowana. Pół wieku trwała ich pomyślność. Potem od końca wojny poczęły się na nie sypać klęski i sypią się dotychczas jedne po drugich. Ale klęski te są nowym wieńcem chwały dla Węgier. Naród Madjarów wrócił do swego posłannictwa dziejowego, jako przedmurze Chrześcijaństwa, i w r. 1918 obronił strupieszalą Europę — i powiedzmy obronił wbrew jej woli — od nawały bolszewickiego barbarzyństwa. I my ją obroniliśmy w 1920 roku. Tylko u nas, w przeciwieństwie do Węgier, nie rozumiano doniosłości dokonanego przez nas dzieła. Nam się zdawało, że tylko z Rosją walczymy, że jej najazd odpieramy. Tego nie widzieliśmy, że niebezpieczeństwo było nierównie groźniejsze, takie, jakiego świat jeszcze nie widział. Oczywiście, nieszczęściem jest dla każdego kraju najazd wojsk obcych, ale wiemy z doświadczenia, że nieraz rząd własny straszniejszym bywa od rządów najezdniczych. W roku zaś 1920 prócz najazdu wojsk obcych mieliśmy do czynienia z najazdem idei — i najazd ten trwa dotychczas — idei nawskróś nihilistycznej, której treścią — jeśli to treścią nazwać można — jest wykorzenienie z duszy człowieka tego, co w niej jest pierwiastkiem człowieczeństwa, tego, co my jako świat ducha, Świat Boży, czcimy.

Idea ta, od strony Rosji idąc i instynkty najpodlejsze łechcąc, ma sprzymierzeńców swoich w każdym narodzie i kraju i w tem leży jej straszne niebezpieczeństwo. Dawniej, w epokach najazdów tatarskich i tureckich, wszystkie narody, pomimo dzielące je przeciwieństwa, czuły się solidarnemi, dziś bolsze-

wic wo ma wszędzie sprzyjające jemu żywioły, czyli obok barbarzyństwa z zewnątrz grozi nam groźniejsze jeszcze barbarzyństwo wewnętrzne.

Zrozumieli to Węgrzy i mężnie przeciwstawili temu tę potęgę, jaką jest tradycja — tradycja religijna, chrześcijańska, i tradycja polityczna, u nich na idei monarchizmu oparta. Dzięki temu zwyciężyli, zdeptali bolszewictwo.

Dla tego tak cenną dla nas jest, w głębokim przekonaniu mojem, przyjaźń z niemi. Traktat Wersalski pozbawił nas wspólnej z narodem tym granicy, ale poprzez granicę powinniśmy wyciągnąć do nich rękę, ażeby przynajmniej w duchowej z niemi łączności nabrać tej odwagi w walce z przewrotowymi potęgami bolszewickiego mroku, której nam tak brakuje.

III.

STEFAN SZÉCHENYI

ODCZYT WYGŁOSZONY KU UCZCZENIU SETNEJ ROCZNICY WĘGERSKIEJ AKADEMJI UMIEJĘTNOŚCI W AULI UNIWERSYTETU WILEŃSKIEGO DNIA 10 LISTOPADA 1925 R.

I.

W dniu 3 listopada b. r. obchodziły Węgry stuletnią rocznicę założenia Węgierskiej Akademji Umiejętności. Łącząc się sercem z narodem, z którym nas wiąże wspólność tradycji historycznych, dziś zaś także wspólność interesów politycznych, spróbuję dać charakterystykę tego, któremu Akademia zawdzięcza swój początek, a którego naród uczcił jako „największego z Węgrów”. Jest to hr. Stefan Széchenyi. Niepospolicie interesująca postać tego człowieka rzuca jaskrawe światło na psychę narodu węgierskiego.

Pisarz węgierski, Kemény, wymienił, jako cechę rodową Széchenyi'ch, to, że siedzieli zawsze nie na dwóch, lecz między dwoma krzesłami. A że te zwykle były daleko od siebie, więc trudne było utrzymanie równowagi — i nieraz spadali na ziemię. Innemi słowy, ród ten miał w pogardzie opinię publiczną, a lekceważenie to przechodziło w manję niepopularności. Wierni królowi, nawet gdy król szedł przeciw woli narodu, mimo to źle byli widziani na dworze, bo królowi i ich namiestnikom śmiało, bez ogródek mówili prawdę.

Takim był ojciec Stefana, hr. Franciszek Széchenyi. Swoi go nie lubili, a u dworu popadł w niełaskę; wycofał się wtedy z życia publicznego, żył samotnie i całkowicie się oddał pracy

zbierania wszystkiego, co kiedykolwiek o Węgrach napisano. Zbierał pozatem mapy, obrazy, sztychy, pieczęcie, monety, i to wszystko w r. 1802 podarował krajowi wraz z katalogiem w 14 tomach. Z tego powstało Muzeum narodowe węgierskie.

Zarazem, w miarę lat, wpadał w coraz czarniejszą melancholję, która przybierała charakter marzycielstwa religijnego, uciekającego od świata. Dom jego miał wygląd klasztoru, sam życie klasztorne prowadził, większą część dnia spędzał na modlitwie w kaplicy pałacowej. Ale choć zmarł dla świata, nie zapominał o cierpiących; w rzeczach dobroczynności oszczędność była mu obca. Katolik gorący, wolny był od fanatyzmu; z miłosierdzia jego czerpali wszyscy bez różnicy wyznań. Pobudował dużo kościołów i szkół, mając zaś w dobrach swoich sporo poddanych kalwinów, w równym stopniu uwzględniał ich potrzeby religijne i oświatowe. Zmarł w r. 1820.

W życiu jego — mówi Maks Falk ¹⁾ — mamy jakby zlekka naszkicowany zarys tej wstrząsającej tragedji, jaką miało być życie jego syna, Stefana.

Urodzony w r. 1791, zaciągnął się Stefan Széchenyi do wojska w r. 1809; po skończonej wojnie służył nadal; w r. 1813 walczył pod Lipskiem, gdzie go odznaczono orderem. W czasie Kongresu Wiedeńskiego młody huzar zwracał powszechną uwagę urodą swoją, świetnością towarzyską, a także wybrykami bujnego młodzieńczego temperamentu. Potem w ciągu lat trzech podróżował; zwiedził Włochy, Hiszpanję, Francję, Anglię, Grecję, Turcję i część Małej Azji.

W r. 1820 zaprzyjaźnił się z młodym magnatem siedmiogrodzkim, baronem Mikołajem Wesselényi'm, który później też wybitnie się odznaczył w dziejach odrodzenia węgierskiego. Z natury bardziej jeszcze pierwotny i niepohamowany, niż Széchenyi, gwałtowny w wybuchach, uczuciem tem już wówczas służył ojczyźnie. O Széchenyi'm tak się wyraża w jednym z ówczesnych swoich listów: „Stefan spędził młodość w bitwach, podróżach i salonach; stąd mało w nim wiedzy, a dużo światowości; pomimo to niezwykłą wykazuje bystrość w rzeczach ekonomji politycznej; ma subtelny smak estetyczny; jest wielbicielem Byrona,

¹⁾ Graf Stefan Széchenyi und seine Zeit (Wien, 1866).

a przytem gorącym katolikiem; jako Węgier, jest raczej obojętny, mało ma wiary w swój naród“.

Stał się jednak gorącym patriotą, podróżując i obcując z Wesselényi'm; wrócili do kraju z mocnem postanowieniem pracy reformatorskiej w sprawach ojczyzny. Było to przed samym sejmem w r. 1825. Ostatni przedtem sejm odbył się w r. 1812. Od tego czasu rząd samowolnie wyznaczał i ściągał podatki oraz uchwalał pobory rekrutów. Stąd oburzenie tak powszechne i tak namiętne w objawach, że w końcu kanclerz, ks. Metternich, ujrzał się zmuszonym, wbrew absolutystycznym zamierzeniom swoim, sejm zwołać. Posłowie, zjechawszy się, zapoinnieli o wszystkim, co ich różnić mogło, łącząc się w jednomyślną przeciw rządowi opozycję. Ale w opozycji tej rewolucyjnego nie było nic. Odwrotnie, rewolucyjnie działał rząd, łamiący prawo państwowe węgierskie, Węgrzy zaś tworzyli jedno wielkie stronnictwo konserwatywne, niewzruszenie na gruncie konstytucji stojące.

Ale była to konstytucja przestarzała, na wyłącznych przywilejach szlachty oparta, niezgodna i z duchem czasu i z duchem sprawiedliwości. Z tego powodu patrioci światlejsi politykę sejmuganili, Széchenyi zaś, zgodnie z tradycją swego rodu, jeden przeciw wszystkim, zajął wobec rządu stanowisko wyraźnie ugodowe, na tej drodze zbawienia ojczyzny szukając. Na jednym z posiedzeń komisyjnych, na którem rozprawiano, jakimi środkami popierać rozwój języka węgierskiego i wraz z tem uczucia patriotycznego, poseł Paweł Nagy wymownie dowodził, że literatura jest podstawą kultury narodowej, w chwili zaś obecnej kotwicą ratunku dla ginącego narodu; w końcu mowy przedstawił opłakane warunki życia literatów, pracujących o głodzie i chłódzie: „Ich przedewszystkiem podtrzymać należy, a na to potrzebne są pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze“ — zakończył, zwracając się do obecnych magnatów. Zapanowało milczenie. Po chwili powstaje Széchenyi: „Na cel stworzenia i zapewnienia bytu instytucji, któraby miała za zadanie pielęgnowanie mowy ojczystej i uświadczenie narodowe Węgrów, przeznaczam jednoroczny dochód z dóbr moich“... „czynię to po dojrzałym namyśle, ale żądam ustanowienia kontroli nad tą sumą, ażeby pieniądze nie poszły na marne“.

Działo się to trzeciego listopada 1825 roku. Stuletnią rocz-

nicę owej właśnie chwili święciły Węgry, przypominając jej przełomowe w dziejach narodu znaczenie. Ów jednoroczny dochód stanowił 60.000 guldenów. Za przykładem Széchenyi'ego poszło kilku innych magnatów — Károlyi, Andrassy, Vay — i wkrótce zebrano 250 tysięcy. Po wielu latach (1841) Széchenyi następującymi słowy tłumaczył myśl, która nim wówczas kierowała, oraz swoje stanowisko polityczne: „Nigdy w życiu nie improwizowałem, nigdy nic pod wpływem chwilowego uczucia nie uczyniłem. Każdy mój krok, wszystkie czyny były zawsze wynikiem opracowanego i daleko sięgającego planu“... Rozumiałem, że do odrodzenia narodu nie fantazje poetyckie prowadzą, lecz trzeźwe ujęcie rzeczywistości w suchych a nieomylnych cyfrach — symptomy bowiem życia narodowego dają się też sprowadzić do cyfr; znalazłem dowód, że, w przeciwieństwie do cywilizowanych narodów Europy, które już doszły do zenitu i chylą się ku starości, dla Węgier dopiero nastaje świt, po którym przyjdzie jasne lato, lecz do lata tego doprowadzi nie uczucie, ale tylko zimny rozum“.

Niestety, nie wyjaśnił Széchenyi, jakie to były „nieomylne cyfry“. Bądź co bądź, idąc za głosem rozumu, dochodził do wniosku, że Węgrzy szli dotychczas drogą przeciwną tej, którą iść należy, t. j. walczyli o wolność i niezależność, a nie troszczyli się o kulturę tak materialną, jak i duchową. Myśl, która i u nas wybitnych znalazła wyznawców po roku 1863, w epoce t. zw. „pracy organicznej“.

II.

Széchenyi pisał dużo. Zaczął od rozprawy o koniach (1828). Zawołany sportsman, pisząc to i ogłaszając, chciał spróbować, czy potrafi dobrze myśli swoje w języku ojczystym wyrażać. Ale dzieło, które początek jego sławy literackiej stanowi, nosi tytuł *Kredyt (Hitel)*. Wyszło w r. 1830. Czy mógł być przedmiot nudniejszy dla szerokiej publiczności? Széchenyi rzecz jednak potraktował tak, że książkę rozchwytało odrazu i że stała się jedną z tych, które najbardziej na charakter ruchu narodowego i na wychowanie nowoczesnych Węgier wpłynęły. Początkiem odrodzenia u innych narodów, zwłaszcza u Słowian, były dzieła z zakresu lingwistyki, archeologii, historii; wskrzeszono przeszłość, aby w niej otuchę na przyszłość znaleźć. Tu, miejsce filologów zajął ekonomista, który rozpoczął od rzeczy najrealniejszej, od

troski o chleb powszedni. Książkę poświęcił „pięknym a wielkodusznym córom ojczyzny węgierskiej”. „Weźcie ją w opiekę — pisał — pomimo iż jej przedmiot wydać się wam może stosowniejszym dla mężów waszych, niż dla was. Ale mówię nie o kredycie tylko; mówię o wszystkim, co się z tem wiąże; o uczciwości, honorze, świętości danego słowa, a to właśnie wam jest najbliższe. Albowiem wszystko, co wielkie i piękne, co nas, mężczyzn, podnosi, idzie od was; aniołami jesteście opiekuńczymi cnót domowych i miłości ojczyzny; wszystkiemu wdzięk szlachetny nadajecie, proch wznosicie ku niebu, śmiertelne ku nieśmiertelności”. Następowala przedmowa, w której panował ten sam ton gawędy, to iskrzącej się dowcipem, lub ironją, to porywającej zapalem. Nie bojąc się popularności swej narazić na szwank, występował przeciwko tym, „którzy nienawiść do rządu za miarę patriotyzmu biorą, dobre stare czasy w melancholicznych piosnkach opiewają, wciąż klęskę pod Mohaczem oplakują i zamiast naprzód iść, wstecz poza siebie patrzą”.

Tymczasem Węgrzy są narodem przyszłości: „Mniej mnie obchodzi, czem byliśmy, niż to, czem będziemy; nad przeszłością władzy nie mamy, przyszłość zaś leży w naszych rękach. Wielu sądzi, że Węgry już były, ja twierdzę, że one jeszcze będą”. I w tym samym tonie utrzymał autor całą książkę. Zaczawszy od wywodu o konieczności rozumnej opozycji, czyli takiej, która zamiast być przeszkodą dla rządu, jest mu pomocą, przechodził *in medias res*, t. j. do stanu ekonomicznego Węgier. Węgry są krajem rolniczym, ale, wskutek życia nad stan i zacofanej gospodarki, rolnicy zabrnęli w długi, ci zaś, co mogliby im kredytem służyć, nie mają odwagi pożyczyć, nie posiadają rękojmi, że pożyczka zwróconą będzie. Środek zaradczy — dowodził — jest jeden: stworzyć należy wielki bank narodowy, czyli wielką spółkę na wzajemnym kredycie opartą. Spółka była dla Széchenyi’ego i tu, i później, i zawsze formułą czarodziejską, wszelkie trudności rozwiązującą. W końcu, przewidując zarzuty krytyków, nie wahał się wygłosić, że o to mu głównie chodzi, aby żaden Węgier nie uczuł nigdy pustki ani w żołądku, ani w kieszeni, ani w głowie, aby każdy mógł pracą dużo zarobić, zarobiwszy zaś, spokojnie owoce pracy spożywać: „Nie do zamków na lodzie dążę, ale do tego, co tu na ziemi da się osiągnąć”.

Słowem, ani krzty romantyzmu, nic, coby na wyobraźnię patrioty podzielać mogło, a jednak wrażenie książka ta wywołała powszechne i potężne. Jakże to charakterystyczne — powtórzę znowu—dla psychologii narodu węgierskiego. Ale wrażenie to nie było jednolite; dziwna, dziwaczna nawet mieszanina entuzjazmu i sarkazmu u Széchenyi'ego wprowadzała w kłopot czytelnika. Autor gardził przeszłością, która jedynym była przedmiotem dumy dla Węgry, bezlitośnie wyśmiewał ból narodu, a wzniecał natomiast zuchwałe nadzieje na zwaliskach, z których, jak się zdawało, nie było podobieństwa się wydobyć. Stąd fanatyzm zapалу u jednych, fanatyzm oburzenia u innych; czytelników obojętnych książka ta nie miała. Stanowisko pośrednie usiłował zająć jeden z ludzi najczcigodniejszych, hr. Józef Dessewffy, w obszernej odpowiedzi pod tytułem *Taglalás (Rozbiór)*. Myśl jego polegała na tem, że w *Kredycie* dużo było przesady, dużo ekscentryczności i ekstrawagancji, które należałoby usunąć w interesie autora i wpływu jego książki; należało jaśniej określić zadania chwili i wogóle wszystko wyraźniej umotywować. „Nie jesteśmy w stanie — twierdził — biec naprzód, ale naprzód iść powinniśmy“. Széchenyi odpowiedział na to nową książką *Światło (Világ)*, którą uważają za najświetniejszy okaz jego talentu pisarskiego. Jak w *Hitel* podniesienie ekonomiczne narodu, tak tu miał na myśli jego rozwój umysłowy i uzasadniał świadomość narodową, jaką być powinna. Wyznając zaś i uprawiając politykę krańcowo-ugodową, z tego stanowiska rzucał się z gwałtownością która nawet przyjaciół jego nieprzyjemnie raziła, na Dessewffy'ego. Dlaczego to zrobił? Bo większe, niż w opozycji otwarcie rewolucyjnej, upatrywał niebezpieczeństwo w tej, co z najszlachetniejszych pobudek patriotycznych płynęła, z przywiązania do przeszłości.

W r. 1833 pojawia się trzecia jego książka *Stadium*, w której wracając do spraw poruszonych w *Kredycie*, humorystycznie przedstawił szlachcica, *benę possessionatum*, który, wlaższy w długi, zwraca się do bogatego Holendra, ale daremnie; ten jest głuchy na jego błaganie—i to się staje punktem wyjścia do wyłożenia całego planu naprawy ekonomicznej, któraby podniosła wartość majątku narodowego i dała Węgrom możność wzajemnie sobie dopomagać bez zwracania się do obcych. Program swój streścił

równość wszystkich przed prawem, czyli równomierne opodatkowanie—dotychczas szlachta od podatków była wolna — i dopuszczenie nieszlachty do nabywania ziemi. Wszystko, czego Széchenyi w tych trzech dziełach żądał, zostało urzeczywistnione w ciągu 15 lat i to było tryumfem jego realnej polityki.

III.

Z urodzenia do Izby magnatów należąc, Széchenyi od bezpośredniego udziału w polityce trzymał się zrazu bardzo daleko. Węgry, raczej Sejm i Izba magnatów, dzieliły się wówczas nie jak gdzieindziej na obozy zachowawczy i postępowy z ich odcieniami; byli t. zw. patryjoci i t. zw. aulici t. j. ci co się ślepo trzymali dworu i wskazań, które stamtąd szły. W tych ramach nie było miejsca dla Széchenyi'ego, myśl jego innym szła torem; on przedewszystkiem pociągnąć chciał do węgierskiej idei narodowej także nieszlachtę. Więc, jak widzieliśmy, równe prawa dla wszystkich. Ale urzeczywistnienia myśli takiej wymagało wprzód stworzenia nowej atmosfery. Ta nowa atmosfera powstać mogła tylko z wymiany zdań; dla możliwości wymiany zdań trzeba było skupić w stolicy wszystkie umysłowe i finansowe siły kraju; w tym celu należało stolicę uczynić i przyjemną i łatwo dostępną. A zatem zacząć od ulepszenia środków komunikacyjnych. Od tego też zaczął Széchenyi. Zdumiewający zaiste realizm!

I gdy inni politykowali, on myślał o założeniu Towarzystwa żeglugi po Dunaju. Umiał zainteresować do tego bankierów wiedeńskich, i w 1830 r. mieszkańcy stolicy ujrzeli pierwszy kursujący po rzece parostatek. Ale Széchenyi chciał przez Dunaj otworzyć Węgrom dostęp do morza, drogę do Konstantynopola i Odessy. Na przeszkodzie temu stała tworzona przez skały u granic Serbji cieśnina, którą Bramą Żelazną nazywano. Rozsadzenie, choćby częściowe, bramy tej było koniecznością. Jakże się do tego brać, nie mając zapewnionych środków pieniężnych?

Banki wiedeńskie stawiały warunek, że znaczną część kosztu wezmą na siebie Węgry, jako kraj najbardziej zainteresowany. Széchenyi rozwinął w tej sprawie propagandę, uwieńczył pomysłnym skutkiem, dzięki temu, w znacznej mierze, że umiał dla myśli swej pozyskać arcyksięcia palatyna. Załatwiwszy sprawę

Széchenyi w dwunastu punktach. Pierwszy a najważniejszy, to żegluga na Dunaju, i wraz z tem ułatwienia komunikacji prowincji ze stolicą, Széchenyi zabrał się do ściśle z tem w myśli jego związanej sprawy upiększenia stolicy i uprzyjemnienia w niej pobytu. W tym zakresie rzeczą pierwszą było połączenie Budy

Pesztu mostem łańcuchowym i w następstwie tego stworzenie jednego stołecznego miasta, któreby nazwę „Budapeszt” nosiło. W tym celu rozpoczął od założenia Towarzystwa akcyjnego. Ale Towarzystwo żądało rękojmi dochodu; taką rękojmię dawałaby obowiązkowa opłata przejścia przez most, pod warunkiem, że płacić będzie każdy bez wyjątku, a zatem także szlachcic. Szlachta zaś wolna będąc dotychczas od wszelkich podatków, obawiała się przymusu do tej drobnej opłaty, jako wyłomu w jej przywilejach. Właśnie wyłomu tego pragnął Széchenyi, i ku wielkiej jego radości, pomimo opozycji w sejmie, podatek ów został w końcu uchwalony. Słowem, powodzenie, nawet tryumf wieńczył zamiary i poczynania Széchenyi'ego w sprawach podniesienia materialnego Węgier. Gorzej zato było z jego ugodową polityką. W izbie magnatów najbliższy jego przyjaciel i były powiernik jego myśli, baron Wesselényi, objął przewodnictwo nad opozycją. Było to dowodem, jak się zaostrzyły stosunki z Wiedniem. Zaostrzały się tem bardziej, że wystąpiło na widownię nowe pokolenie, ukształcone pod działaniem prac Széchenyi'ego, ale idące dużo dalej, niż on, i hałaśliwie patryjotyczne. Wśród młodzieży tej już się wybił Franciszek Kossuth.

Tymczasem po śmierci cesarza Franciszka w 1835 r. wstąpił na tron Ferdynand V. Wiązano z tem nadzieje zmiany na lepsze w stosunku Austrii do Węgier. Dobrotliwy z usposobienia, Ferdynand Węgrów lubił i nawet wstawiał się za nimi przed ojcem, ale jaka korzyść z dobroci, gdy idzie w parze z umysłem ograniczonym i brakiem charakteru? Życząc Węgom najlepiej, mimowoli stał się ich prześladowcą, nie umiał oprzeć się wpływowi doradców z Metternichem na czele, domagających się, aby na ruch patryjotyzmu, który przybierał coraz większe rozmiary, odpowiedziano polityką „silnej ręki”. Kanclerzem Węgier czyli naczelnikiem kancelarii nadwornej do spraw węgierskich mianowany został hr. Pálffy, człowiek bez talentu, bez myśli, bez uczucia patryjotycznego, nie umiejący nawet po węgiersku. Zaczął

od wytoczenia procesu Wesselényi'emu z powodu jakiejś jego mowy na sejmiku powiatowym.

Oburzenie było powszechne, urządzono na cześć oskarżonego pochody z pochodniami. Sprawców tego aresztowano. Wyrok sądu był drakoński. Lovássy, jako przewodyr, skazany został na 10 lat w kazamatach; wkrótce tam zwarjował. Innych, w tej liczbie Kossutha, skazano na trzy lata. Wesselényi'emu, dzięki ogromnej powadze, jakiej używał w społeczeństwie węgierskiem—z czem się w Wiedniu rachowano—pozwolono owe trzy lata przebyć w zakładzie hydropatycznym w Gräfenbergu, w Styrii, ze względu na to, że groziła mu ślepotą.

Wszystko to strasznym było ciosem dla Széchenyi'ego. Na stanowisku współpracy z rządem stał niewzruszenie, tymczasem wszystkie wysiłki w kierunku pośredniczenia i pogodzenia przeciwnieństw poszły na marne. Jednak innej drogi, jak rozpocząć na nowo Syzyfową pracę, przed sobą nie widział. Niejakie ułatwienie i pociechę miał w tem, że idee jego już zaczynały wydawać swój owoc, już się kształtowało wśród szlachty stronnictwo umiarkowane pod wodzą Franciszka Deáka, w Izbie zaś magnatów hr. Aureljusz Dessewffy, baron J. Eötvös, hr. Ludwik Batthyany i kilku innych stawiało sobie za cel godzenie interesów narodu i rządu. Jednak w opozycyjności względem rządu szli dużo dalej, niż Széchenyi.

Nowy sejm zebrał się w czerwcu 1839 r. i odrazu zażądał amnestji dla skazańców. Rząd w Wiedniu rozumiał swój błąd, Pálffy'ego przedtem jeszcze usunął, a miejsce jego dał szanowanemu przez Węgrów hr. A. Majláthowi. Gotów był do amnestji, byle nie pod naciskiem sejmu; miała być aktem łaski. Wskutek tego sprawa się przewlekła. W kwietniu 1840 r. Széchenyi wystąpił z wielką mową, w której, dowodząc konieczności zgody między Wiedniem a Węgrami, wykazywał trudność osiągnięcia jej, wynikającą stąd, że Węgry były państwem konstytucyjnem, gdy w Austrii panował system absolutystyczny. Forma, w jakiej mówca myśl swoją wygłosił, była taka, że w 6 dni potem Wiedeń odpowiedział na nią amnestją. W dniu 1 maja Wesselényi i Kossuth triumfalnie wracali do Budapesztu.

Ale ten rok 1840 jest, zdaniem Falka, początkiem tragicznego zwrotu w życiu i pracy Széchenyi'ego. Kossuth wnet po

powrocie zakłada dziennik *Pesti Hirlap*, w którym przeciw Széchenyi'emu nie idąc, imienia jego nawet nie wymieniając, wypowiada jednak jemu i jego ideom nieubłaganą wojnę. Cel u jednego i drugiego ten sam, ale drogami idą wręcz przeciwnymi: Széchenyi nacisk cały kładzie na pracę kulturalną, organiczną, Kossuth — na walkę z rządem. Széchenyi z gorączkowym niepokojem śledzi rosnące powodzenie pisma i okiem proroka widząc następstwa propagandy, puszcza w świat nową książkę *Kellet Népe* (*Naród ze Wschodu*). Z natury rzeczy punkt wyjścia jego jest tu inny, niż w uprzednich rozprawach: tam siedł on przeciw tym, co go na obranej drodze powstrzymać chcieli, tu w tych celował, co go wyprzedzić postanowili. Książka ta, zdaniem krytyki węgierskiej, do dziś dnia porywa ciepłem uczucia, potęgą lotu, mistrzostwem formy; co do treści polemiką była przeciw polityce uczucia — tem mianem określał autor dążenia i działalność Kossutha. A polemikę tę cechował głęboko pesymistyczny nastrój. „Podstawą całego mojego systemu politycznego — pisał Széchenyi — jest to, że sfery działania rozumu i serca, są to dwie zupełnie odrębne sfery, że w polityce, jak w medycynie, wyłącznie rozum rozstrzyga; zadaniem zaś serca — być tylko bodźcem do wszystkiego, co dobre i szlachetne — i jeśli Kossuth nadal tą samą drogą podążać będzie, to doprowadzi on Węgry do katastrofy, która nastąpi wcześniej, niż my to przypuszczamy”... Przyznając jednak Kossuthowi pobudki uczciwe, dopuścił się w zapędzie polemicznym nietaktu, którego mu nie wybaczone. Mianowicie o „męczeństwie” przeciwnika swego w więzieniu mówił z ironją: „Nazywają go męczennikiem, ale na czymże jego męczeństwo polegało? Żaden nigdy więzień nie przebywał w warunkach tak wygodnych — i czymże jest jego cierpienie w porównaniu z cierpieniem tych z nas, co w ciągu lat tych w ciszy, bez samochwalstwa, bez aureoli, bez uznania z jakiegokolwiek bądź strony służyli ojczyźnie, wszystkie siły jej podniesieniu moralnemu poświęcając”.

Podkreślić trzeba, że w tej walce z polityką uczucia znaczną rolę odegrała kwestja stosunku Węgrów do ludów nie-węgierskich. Będąc w zasadzie przeciwnikiem przywilejów szlachty, Széchenyi stawał jednak w obronie ordynacyj z obawy materialnego upadku zadłużonej arystokracji, a w przypuszczeniu, że

dobra magnackie mogłyby w takim razie przejść w ręce obco-plemieńców. Głosząc przeto równe prawa dla wszystkich, rozumiał, czego w Polsce dziś zrozumieć nie chcą, że należało w pierw żywo! węgierski wzmocnić, ażeby ten mógł stawiać czoło obcym. Kossuthowi wydawało się łatwiejszem usuwać niebezpieczeństwo drogą praw wyjątkowych przeciw mniejszościom narodowym skierowanych. Książka ta wywołała całą literaturę polemiczną. Między innymi odpowiadał sam Kossuth, ale z wielką kurtuazją; on to wówczas pierwszy nazwał Széchenyi'ego „największym Węgrem“, albowiem na głos tego człowieka naród cały powstał z grobu, ale — dodawał — naródby nie powstał, gdyby we wnętrzu jego nie było już wszystko przygotowane do palingenezy, wielkość przeto Széchenyi'ego w tem jest, że wyczuł tętno epoki swojej; nie on ją, lecz ona jego stworzyła. — Széchenyi sam w polemice udziału nie brał, w liście zaś do przyjaciela w proroczym przeczuciu nieszczęścia, które nań spaść miało, kreślił następujące słowa: „Ani wątpię, że przyszłość we wszystkim przyzna mnie słuszność. Spełni się wszystko, co przewiduję, ale gdy się to stanie, triumf mój będzie moją rozpaczą, rozpacz pogrąży w obłędzie“.

Széchenyi doskonale to widział, że rząd, nie poprzestając na własnej sile, potrafi zmobilizować przeciw Węgrom wszystkie na terytorjum węgierskiem osiadłe ludy. Ruch zaś panslawistyczny zataczał coraz szersze kręgi. Na uroczystem posiedzeniu Akademji w listopadzie 1842 roku wygłosił Széchenyi wspa-niałą mowę kwestji narodowościowej poświęconą. W niej stawiał tezę, że przymusowe narzucanie języka węgierskiego innym narodowościom wywoływać będzie niebezpieczne reakcje, i że wyłącznie tylko wyższość duchowa zapewnić może Węgrom zwycięstwo. Każdy naród — dowodził — powinien posiadać zdolności asymilacyjne, ale czy posiada je ten, który zamiast życzliwością swoją budzić sympatje obywateli obcych pochodzeniem i mową, działa tylko zewnątrz i wyobraża sobie, że nauczając po węgiersku i w węgierskie białe - czerwono - zielone barwy całe życie państwowe strojąc, pozyska tem wszystkie umysły i serca... „O wielki Boże! — wołał w proroczym natchnieniu — bliskim, dużo bliższym, niż się komu wydać może, jest czas, w którym ta nasza Akademia, jedna na całym obszarze kraju naszego, niby

lampka, ledwo, ledwo tlejąca, pielęgnować będzie tę mowę ojczystą, w której każdy Węgier widział podstawę bytu narodowego, a pomimo to, niedość, że jej zachować nie umiał, lecz sam podstawę tę zwałił, dając folę swej krwi gorącej“... „Jedno z dwojga, albo mózg mój jest chory, albo szalonemi są poglądy tych, co mego zdania nie podzielają“. Na zarzuty, że za daleko się zapędził, odpowiadał, że robił to świadomie, myśląc, że na takim samym stanowisku będą musieli stanąć Słowianie. Mylił się...

W tym czasie Széchenyi zbliżył się do Metternicha za pośrednictwem barona Jósiki, ich wspólnego przyjaciela; innemi słowy, otwarcie przeszedł do obozu rządowego. Oczywiście miano mu to za złe i autorytet jego znowu upadł. Ale co miał czynić? Stamtąd t. j. z rządem idąc, większą będzie mógł przynieść korzyść swoim, niż gdyby po łacinie lamentował wraz z innymi; na gruncie konstytucyjno - narodowym trzeba stać mocno, ale po to, by budować i tworzyć, o ile się da, nie zaś dla czczej opozycji.

I rzeczywiście na sejmie z lat 1843 — 5 rząd, dzięki wpływowi Széchenyi'ego, był już daleko ustępliwszy wobec zadań węgierskich, niż wprzód. Przeprowadzono na nim prawo nabywania własności ziemskiej przez ludzi nieszlacheckiego pochodzenia; zostali oni również dopuszczeni do zajmowania urzędów. Było to wielką ze stanowiska Széchenyi'ego zdobyczą; mimo to obrady sejmowe zakończyły się obopólnem niezadowoleniem i rozdrażnieniem. Nic dziwnego; było to następstwem trzech wieków centralistycznej polityki i nieustającego ucisku.

I wkrótce nastąpił gwałtowny rozdrażnienia tego wybuch w sprawie zniesienia ceł, przez rząd na produkty węgierskie nałożonych i oczywiście tamujących rozwój ekonomiczny kraju. Postanowiono nic z Austrii nie sprowadzać, jak najmniej z zagranicy, zadawała się własnymi wyrobami, choć gorszemi, rozłożyć opiekę nad przemysłem krajowym. Zdawałoby się, że Széchenyi prędzej, niż kto inny, powinien był na czele ruchu tego stanąć; trzymał się jednak zdaleka; agitacją kierowali: Kossuth, Wesselényi, nawet umiarkowany Deák. Do jakiego stopnia umieli oni zapalić naród, świadczy między innemi fakt, że nietylko zaprzestano kupować cygara i papierosy w monopolach rządowych,

ale wóz z zagranicy zmniejszył się w tej gałęzi o trzy miliony guldenów. Założono towarzystwo popierania wyrobów domowych, oraz walki z obcym importem, które rozrzucało filje swoje po całym kraju. Wreszcie z powodu wielkiej programowej mowy Deàka, ogłoszonej na inauguracji jednej z owych filij, przemówił Széchenyi. Nieustraszenie od lat kilku zwalczał ulubieńca mas, Kossutha; z uczuciem głębokiego bólu zrywał z najbliższym przyjacielem, Wesselényi'm, poddając surowej krytyce bezwzględność jego polityki opozycyjnej; teraz przychodzi kolej na człowieka, w którym Széchenyi sam i zwolennicy jego cenili nie tylko szlachetność i podniosłość myśli, ale i umiejętność panowania nad uczuciem, rozsądek, liczący się z warunkami chwili. „Deák – pisał Széchenyi – jest jednym z tych nielicznych, których ludzkość niekiedy, nader rzadko w darze z rąk bogów otrzymuje“. A jednak nieomylnym nie jest i wstąpił na fałszywą drogę. Zamiast siły swoje skupiać w przedsięwzięciach pożytecznych, zamiast osuszać błota, budować drogi, zakładać szkoły, Węgrzy gotowi są wyobrazić sobie teraz, że są wielkimi patriotami i że niczego więcej od nich wymagać nie wolno, skoro kupią materiał na ubranie z marką nie berneńskiej fabryki, lecz jakiejś tam krajowej. „Cały ten ruch – wołał – w którym Deák tak żywy wziął udział, nosi charakter prowokacji wobec rządu – i w końcu rząd ujrzy się zmuszonym zrobić porządek“.

Narazie jednak rząd obrał inną drogę. Oto, jak bomba, niespodziewanie spada na Széchenyi'ego urzędowe pismo kanclerza Metternicha, zawiadamiające, iż rząd pragnąc ekonomicznie podnieść Węgry, uważa za rzecz pierwszą udoskonalenie środków komunikacyjnych, że w tym celu powołuje stałą komisję, która urzędować będzie przy wiedeńskiej kancelarii nadwornej do spraw węgierskich, prezesem zaś komisji mianuje Széchenyi'ego. Nominację Széchenyi przyjął. Z człowieka niezależnego stawał się urzędnikiem państwowym, i więcej niż cała jego uprzednia polityka zachwiało to jego autorytet w społeczeństwie. Znając perfidję ks. Metternicha, można było narazie pomyśleć, iż w ten sposób chciał on moralnie zabić Széchenyi'ego. W rzeczywistości było to wynikiem niepokoju, który budziła w Wiedniu postawa Węgrów, próbą ich pozyskania.

Széchenyi zabrał się z całym zapalem do sprawy. Na

miejscu naczelnem postawił regulację Cisy; rząd dał mu 100.000 guldenów jednorazowo i obiecał drugie sto, jako każdoroczne subsydjum. Sukces ten podniósł Széchenyi'ego nietylko wśród polityków stolicy, ile na prowincji. Zdawać się mogło, że nadeszła tak upragniona przezeń chwila, umożliwiająca lojalne współdziałanie z rządem, w którym dotychczas Węgry słusznie swego zacieklego wroga upatrywali. I wtedy to ogłasza on swoje *Szkice Polityczne*, wymierzone przeciw temu, który w przeświadczeniu jego był nieszczęściem Węgier—przeciw Kossuthowi. „Mam ciebie—wołał autor, zwracając się wprost do Kossutha¹⁾—za człowieka szczerze i głęboko miłującego ojczyznę, uczciwego, dobrego; co poczniesz, gdy zobaczysz, że wszystko, co robiłeś ty i ci, których za sobą prowadziłeś, płynęło ze złudzeń rozgorączkowanej wyobraźni i że myśląc, iż prowadzicie wielką, mądrą politykę, mającą odrodzić naród, stwarzaliście tylko wielki narodowy dom warjatów“... „Ach widzę, jak ten nasz kraj wstrząśnięty będzie w posadach swoich, i zakrwawią się serca wasze przy myśli, że mogliście dla rozwoju i podniesienia jego tyle uczynić, a zamiast tego goniąc za mirażem, wepchnęliście ojczyznę w otchłań, z której wyjścia niema. Będzie to agonją narodu, i w czymże cała wasza mądrość polityczna znajdzie wówczas ujście dla siebie? Chyba w modlitwie, w błaganiu Boga Węgier, by się zlitował nad głupstwem waszem!“

Potężna gniewem z wielkiej miłości i wielkiego bólu płynącym, książka ta inny miała skutek, niż jej autor się spodziewał. Przeciwników nie przekonała, za to szczerść i namiętność autora podziałały na nich wstrząsająco; wyjaśniło im się to, że tę potęgę moralną, jaką był Széchenyi, którego sami „największym Węgrem“ nazywali, zwalczyć mogli tylko potęgą, którą daje jednolitość w działaniu. Dzielili się na kłócące się ze sobą frakcje; teraz postanowili wystąpić ze wspólnym programem. Nowy sejm miał się zebrać w listopadzie 1847 roku. Széchenyi posłuszny głosowi sumienia, nakazującego uczynić ostatnią próbę i zmierzyć się z przeciwnikiem oko w oko, rzuca Izbę magnatów i zdobywa dla siebie mandat poselski.

Sejm otworzył monarcha osobiście mową tronową wygło-

¹⁾ Słowa Széchenyi'ego przytaczam w skróceniu.

szoną po węgiersku. Język ten znał słabo i z cechującą go dobroduszną prostotą rozpoczął od słów: „Mówić będę po węgiersku; zrobię to, jak umiem, a moi Węgrzy mnie nie wyśmieją”. Wzruszenie było wielkie i powszechne: pierwszy to raz usłyszano z ust cesarza austriackiego słowa węgierskie. Gdy jednak przyszło do ułożenia odpowiedzi na mowę tronową, zdania się podzieliły. Jedni cały naeisk położyć chcieli na wyrażenie wdzięczności monarsze i zaufania do jego osoby, inni — oczywiście z Kossuthem na czele — żądali, aby wytoczono wszystkie skargi, wymieniono wszystkie krzywdy doznane od rządu. Jeszcze się o to spierano, aż nadchodzi wiadomość o rewolucji lutowej w Paryżu. Nadaje to odrazu nowy kierunek obradom sejmowym. Kossuth występuje z żądaniem niezależnego rządu parlamentarnego dla Węgier, oraz parlamentaryzmu w całej monarchji. Wniosek zostaje jednogłośnie przyjęty i niemal równocześnie w połowie marca wybuchają rewolucyjne rozruchy uliczne w Wiedniu.

IV.

To, co Széchenyi przewidywał oddawna, stawało się straszną rzeczywistością. Broni jednak nie składa, przeciwnie, usiłuje na swój sposób ową chwilę dla dobra Węgier wyzyskać. Wobec burzy, ogarniającej prawie całą Europę wraz monarchją Habsburgów, Węgrzy — głosi on — powinni tem mocniej stanąć przy dynastji, i niech to będzie podstawą ich żądań i ich dalszego konstytucyjnego rozwoju: „Skorzystajmy z tego, że bohaterowie naraz zdobyli to, co my, mrówki, mrówczą pracą osiągnąć chcieliśmy”. To ostatnie było hołdem złożonym Kossuthowi i było koniecznością chwili, albowiem cesarz i król już podpisał był w dniu 17 maja reskrypt o odpowiedzialnym przed sejmem gabinetie ministrów, który utworzyć polecał hr. Ludwikowi Batthyany’emu.

Niewiele znajdujemy w historii nowoczesnej gabinetów tak świetnych pod względem zgromadzonych w nim talentów, jak ten, który Batthyany powołał do życia; ale też trudności miał przed sobą nadzwyczajne, nietylko ze względu na szalejącą dokoła burzę, ale z powodu wewnętrznych w nim przeciwieństw, wewnętrznego rozbicia, które od samego początku się ujawniło, bo jak można było ogień z wodą pogodzić: Kossutha, który tekę finan-

sów otrzymał z Széchenyi'm, ministrem robót publicznych! Daremne było tu nawet pośredniczenie tak zrównoważonego i poważanego człowieka, jakim był Deák, minister sprawiedliwości.

Dnia 10 kwietnia przybył do Preszburga cesarz-król, aby obecnością swoją usankcjonować nowy porządek rzeczy i sejm zamknąć, poczem miały nastąpić nowe wybory na podstawie nowej ordynacji. Ale zarazem w reskrypcie do arcyksięcia palatyna król żądał, aby Węgry przyjęły na siebie połowę budżetu państwowego. Gabinet ministrów odpowiedział wymijająco, że przedłoży to przyszłemu sejmowi.

Drugą kłopotliwą kwestją było określenie stanowiska ministra wojny — i tu Węgrzy wygrali. Król zarządził, aby wszystkie urzędy wojskowe w obrębie Węgier bezpośrednio węgierskiemu ministrowi wojny podlegały.

W połowie maja rozpoczęły się w Wiedniu nowe a gwałtowne rozruchy; cesarz przeniósł się z dworem do Innsbrucku. Dało to Széchenyi'emu nową sposobność do wystąpienia z ulubioną myślą swoją, że jest to powinnością Węgier zapewnić królowi w tej burzliwej chwili bezpieczne schronisko u siebie. Myśl ta przychylnie została przyjęta przez Radę ministrów — i w tym celu, Széchenyi i Eötvös z arcyksięciem palatynem na czele udali się do Innsbrucku, jako delegaci narodu. Przyjęto ich serdecznie, cesarz wyraził swoją zgodę, ale w imieniu cesarza postawiono za warunek, że naprzód sejm, który miał się zebrać w początku lipca, uchwali pobór 40 tysięcy rekrutów na wojnę z Włochami. Po porozumieniu się z Radą ministrów delegaci oświadczyli gotowość Rady do poparcia żądania królewskiego, ale wzamian także żądali poparcia Węgier w ich sporze z Chorwacją, usiłującą zerwać wiekowe więzy, łączące ją z koroną św. Stefana. Powołano z tego powodu bana Jellačić'a do Innsbrucku, ale ban zwlekał. Przygotowano więc manifest przeciw niemu, jako buntownikowi, ale bez zamiaru ogłoszenia go. Jellačić bowiem zbyt dobrym był atutem w ręku rządu cesarskiego, aby ten atutu takiego dobrowolnie się pozbawił. Powiedziano więc Batthiany'emu, który po odjeździe delegatów sam do Innsbrucku przybył, że będzie miał prawo ogłosić manifest w takim tylko razie, jeżeli Jellačić w Innsbrucku się nie zjawi — i to nie inaczej jak po uprzednim uchwaleniu przez sejm poboru 40 ty-

sięcy rekrutów. Batthyány odjechał, nazajutrz przybywa Jellačić i równocześnie w niewiadomy sposób tekst manifestu otrzymuje redakcja jednej z gazet wiedeńskich i drukuje go. Od tej chwili nie mogło już być mowy o pogodzeniu się Chorwatów z Węgrami i Jellačić ogłasza się dyktatorem.

W lipcu sejm się zebrał i Kossuth w patetycznej mowie żądał nie 40, lecz 200 tysięcy rekrutów, a to dla obrony przeciw Chorwatom i Serbom, Co do owych 40 tysięcy przeciw Włochom przeznaczonych, to on, minister Króla węgierskiego, nie wahał się otwarcie mówić, że stoi po stronie Włoch, t. j. narodu z Królem jego wojującego Nigdy i nigdzie żaden minister na nic podobnego sobie nie pozwolił. Co mieli z nim począć jego koledzy? Ulec jego tyranji i tem się skompromitować, czy się jego pozbyć? To ostatnie było już niemożliwe. Kossuth był panem tłumów. Stało na chwilowym kompromisie: Rada ministrów uchwałała, że gotową jest ofiarować cesarzowi środki, potrzebne dla zawarcia z Włochami pokoju, któryby odpowiadał godności i majestatowi cesarza i zarazem słusznym żądaniom narodu węgierskiego.

W poczuciu swej bezsilności Széchenyi wpadał z dniem każdym w rozpacz coraz czarniejszą, rozstrój nerwowy czynił zatrważające postępy. W końcu sierpnia, w czasie jednego z posiedzeń Rady ministrów, Széchenyi wyszedł na balkon, prosząc Deáka, by mu towarzyszył. Noc była późna; powietrze po deszczu wilgotno-duszne, posępne, chmurne niebo pokrywało kirem żalobnym martwe ulice.

„Przyjacielu — powiedział Széchenyi — wszystko stracone, jako uczciwym Węgrom pozostaje nam jedno: zastrzelić się“. — „Zastrzelić się? — spokojnie na to Deák — ani chwili nie zaważałbym się, gdybym wiedział, że to będzie z korzyścią dla ojczyzny; nie my zawiniliśmy i nic tu nasza śmierć nie zmieni; w tej chwili jesteśmy bezsilni, ale chwila ta przejdzie, zachowajmy siebie na przyszłość, gdy ojczyzna nas znowu potrzebować będzie; ja się nie zastrzelę“. „Nie“ — w ogromnem zdumieniu zawołał Széchenyi; po chwili namysłu dodał: „dobrze — i ja spróbuję jeszcze żyć“.

Po kilku dniach Batthyány i Deák udali się do Wiednia, łudząc się, że może się jeszcze uda w jakikolwiek sposób uzgod-

nić żądania i poglądy sejmu z polityką Austrii. Kossuth obiecał czekać na ich powrót, ale słowa nie dotrzymując, wymógł w dniu 4 września wysłanie do Wiednia deputacji, złożonej ze stu posłów z *ultimatum*, żądającym od króla, aby wnet do Węgier przybywał i tam pozostał.

Innemi słowy: Ferdynand, jako król węgierski, miał się oświadczyć przeciw Ferdynandowi, jako cesarzowi Austrii... Oznaczało to, że rewolucja już wybuchła i że Kossuth już na czele jej stanął. Na mundurach pułków rozkazał austriackie czarno-żółte szamerowanie zamienić na kolory węgierskie. Batthyány, Deák i inni umiarkowani, nie widząc innego wyjścia, poddawali się Kossuthowi. Széchenyi zostaje sam, sam jeden przeciw całemu narodowi. W ciągu tych ostatnich przedrewolucyjnych dni zmienił się fizycznie do niepoznania; ten człowiek z kipiącą niedawno energią i ognistą wymową miał wygląd złamanego, osłupiałego w nieszczęściu swego starca. „Krew widzę — wołał, w nieprzytomnej rozpacz po pokoju chodząc — krew wszędzie; brat idzie przeciw bratu, naród przeciw narodowi; wytępiają jedni drugich w krwawym szale; hordy dzikie zniszczą wszystko, cośmy budowali; Peszt utracony na zawsze; ach moje biedne sterane życie! widzę na firmamencie wyryte ognistemi zgłoskami imię Kossutha — *flagellum Dei*“. Wkrótce potem po rozmowie z arcyksięciem palatynem wrócił w strasznym stanie; aż do rana nieprzerwanie płakał, jęczał, wyl; wyrywał sobie włosy, głową bił o ścianę... Był to pierwszy atak szału.

V.

Umieszczono go w pierwszych dniach września w domu zdrowia w Döbling pod Wiedniem. Jak określić jego stan wewnętrzny, rodzaj jego obłędu? Serdeczny przyjaciel z lat młodych, z którym w latach następnych poróżniła go polityka, Wesselényi, dobrze powiedział, że choć ból złamał wielkiego człowieka, ale nie ogrom bólu przyczyną był katastrofy, lecz przepracowany, do ostateczności wyczerpany organizm. Wszystkie organy po kolei odmawiały mu posłuszeństwa, najwięcej trapiła bezsenność.

Z pracy czy to w klubie sejmowym, czy w biurze, zwykł był wracać późno w nocy; wymęczony rzucał się na łóżko, nie rozbierając się; po upływie godziny już nie spał, pracował dalej.

A dodać do tego należy i to jest najważniejsze—odziedziczoną po ojcu melancholię w ostrej formie obrzydzenia do życia. Obrzydzenie do życia u człowieka, który życie węgierskie tworzył! Dla ojca pociechą była religia, myśl o przyszłym lepszym bycie; syna, choć katolikiem był praktykującym, wszelki byt, choćby najlepszy, przerażał; „*je déteste mon existence*”—pisał w r. 1841, gdy stał u szczytu powodzenia i chwały. Stąd jeśli nie manja samobójcza, to zżycie się z tą myślą, która go w każdej cięższej chwili nawiedzała.

Széchenyi miał w sobie owo niezmiernie żywe poczucie osamotnienia rasowego, które tylu najlepszych Węgrów zadreżczało: oni jedni, nieliczni, przeciw wszystkim; potomkowie najeźdźców z dalekich stepów Wschodu, ze stepową duszą, stepową fantazją, rwącą się w dal bohaterskich przedsięwzięć i czynów, rzuceni w wir obcych im i wrogich narodów, bez oparcia i pomocy, zmuszeni na własnych tylko siłach polegać. Stąd u Széchenyi'ego przeświadczenie o konieczności ostrożnego, powolnego działania, stąd strach przed rewolucją, która dla Węgier grobem będzie, a z grobu tego się nie wydostaną. I obłęd jego objawił się w postaci *idée fixe*, że to on winowajcą jest wszystkiego; bez niego życie Węgier toczyłoby się nadal leniwie, bez wstrząśnień; on to pociągnął za sobą Wesselényi'ego, Batthyány'ego, Kossutha, a nie umiał ich powstrzymać, pohamować. A źródłem tej *idée fixe* było cechujące go od młodu przesubtelnione sumienie, które drogą ciągłej analizy doprowadzało go do obrzydzenia i nienawidzenia siebie. W marcu 1849 roku w jednej z chwil przytomnych pisał on rodzaj spowiedzi, w której znajdujemy następujące głębokie słowa: „Nikt moich wielkich grzechów nie zna; powszechnie szanują mnie i lubią. Niestety odpowiedzieć na to mogę, że tylko sam grzesznik zdoła zejść w głąb swego sumienia i grzech swój poznać; świat zaś potępia nieraz w tem, co Bóg wybacza i odwrotnie — ten wewnętrzny głos, który każdy dosłyszeć w sobie może i który jest głosem Boga, potępia nas tam, gdzie świat wybacza i nawet chwali“.

Lata spędzone w Döbling dzielą się na trzy okresy. Z początku bezbrzeżna rozpacz z napadami furji. Trwało to więcej niż rok. Od zimy 1849 do 1850 napady stają się coraz rzadsze, potem ustają — i latem decyduje się odwiedzić rodzinę w Wied-

niu. Ale wrażenie z obu stron było tak wstrząsająco bolesne, że po niespełna godzinie odjechał z powrotem do Döbling i zakładu tego już nie chciał opuścić i nie opuścił aż do końca.

Stanowczy zwrot ku lepszemu nastąpił w 1852 roku, przyczyniły się do tego częste odwiedziny ks. arcybiskupa Lonovicsa. Człowiek ten był doskonałym lekarzem dusz, umiał uspokoić w przyjacielu swoim skrupuły sumienia, wyrzucającego mu, że zgubił Węgry; nauczył go żywić nadzieję. Od tego czasu poczynna Széchenyi coraz częściej przyjmować żonę, dzieci, przyjaciół, staje się na nowo człowiekiem towarzyskim, gościnnym; lubi zapraszać na wykwintne kolacje, sam nic prawie nie jedząc, układa *menu* i rad jest, gdy goście chwalą jego kuchnię. Otacza się książkami, zapala się do lektury, wraca dawna bystrość sądu, otwierają się przed myślą jego szerokie widnokręgi przyszłości Węgier na tle stosunków politycznych w Europie. Ale — rzecz charakterystyczna — żadna moc nie jest w stanie wyciągnąć go nie tylko z Döbling, ale z mieszkania, złożonego z pięciu pokoi, które tam zajmował; jakby naprzekór radom lekarskim nie wyszedł stamtąd ani razu nawet do parku na przechadzkę.

W końcu zabiera się do pióra. Wychowawca narodu swego i znawca jego duszy, wraca do ulubionego tematu i pisze *Rady dla syna (Intelmek)*, który wówczas dochodził do pełnoletności, małe arcydzieło pedagogiczno-psychologiczne¹⁾. Pokrewną w treści jest rzecz o poznaniu siebie (*Önismeret*). Ale głównem dziełem z owych lat jest pamflet napisany w r. 1858 z powodu podróży młodego cesarza Franciszka Józefa po Węgrzech i wydania w związku z tem inspirowanej przez premiera Bacha broszury, wysławiającej dobrodziejstwa absolutystycznej i germanizatorskiej polityki. Pamflet oczywiście anonimowy stanowi dużą książkę o 500 stronach drukowaną w Londynie. Świadczy ona, że talentu polemisty Széchenyi nie utracił. Dowcipem, ironją, śmiechem zabija, jak dawniej, i miazdzy przeciwnika. Jednolitości jednak w pracy tej niema, jest to zbiór fragmentów, w każdym niemal na początku śmiech, przechodzący ku końcowi w liryzm bólu nad nieszczęściem ojczyzny. Na wysokości jego dawnych dzieł to nowe dzieło już nie stało, autor nie umiał zapanować

¹⁾ D. A n g y a l, Le Comte Széchenyi à Döbling (Revue de Hongrie, t. XXVIII, 1923),

nad piórem: w powodzi to żartów to skarg tonęła myśl przewodnia. Széchenyi rozumiał to sam i tłumaczył się z tego w przedmowie. Jeden z krytyków tak się o książkę tej wówczas wyraził: „Przepyszna łupina, ale bez ziarnka w środku; dowcip jest rzeczą dobrą, jako przyprawa, to pieprz w zupie, lecz pieprz sam dobrym nie jest, podnieca, a nie pożywia. Na książkę tę patrzę, jak na eksces literacki, ale jest to eksces, na którym znać piętno geniusza“.

Pomimo braków swoich książka Széchenyi'ego, krążąca przeważnie w odpisach, wyrywana z rąk do rąk, wywarła wpływ ogromny na ukształtowanie opinii publicznej. Powszechnie dla Széchenyi'ego uwielbienie przeszło — mówi Angyal — w egzaltowany entuzjizm. Naród zdawał już sobie sprawę z tego, w jaką przepaść jego ulubieniec, Kossuth, pchnął własną ojczyznę. Széchenyi zaś niewzruszenie po dawnemu stał na stanowisku konieczności ugody z rządem. Różnica z dawnym Széchenyim w tem była, że teraz nie umiając, nie będąc w stanie panować nad sobą i nad gniewem swoim, nie oszczędzał w namiętnych napaściach ani dynastji, ani nawet monarchy.

Konieczność ugody zrozumiał rząd wiedeński po klęsce 1859 roku i utracie Lombardji. Od tego czasu zaczynają w Wiedniu liczyć się znowu z Széchenyi'm; odwiedzają go ministrowie, najwybitniejsi politycy: baron Rechberg, Schmerling. Uśmiechać mu się zaczyna nadzieja, że jeszcze za życia ujrzy urzeczywistnienie myśli swojej. Ale ustronia swego w Döbling nie opuszcza; wie, że z chwilą, gdy to uczyni, będzie musiał stanąć na czele narodu. A siły do czynu już w sobie nie czuł.

Niestety, rzeczywistość nie odpowiedziała nadziei. Rząd wiedeński niby to wstępował na drogę reform, lecz krokiem żółwim. Rozwiązane złudzenia sprowadzają z powrotem uciszoną, jak się zdawało, melancholję. Biograf Széchenyi'ego i przyjaciel, Max Falk, opowiada, że zastał go raz wygrywającego na flecie tęskne melodje węgierskie. Sprawiało mu to ulgę i stawało się ulubionem zajęciem.

Datą, którą można określić nowy a gwałtowny zwrot ku gorszemu w jego zdrowiu, był dzień 3 marca 1860 r. W dniu tym niespodzianie wtargnął do jego mieszkania wyższy urzędnik policji na czele 24 podwładnych, w celu dokonania surowej rewizji.

Dopiero wówczas dowiedziano się w Wiedniu, czy domyślono się, że autorem owego pamfletu z 1858 roku był Széchenyi. Wyciągnięto stąd wniosek, że stał on na czele spisku, którego nici wszystkie schodziły się w jego domu. Rewizję wytrzymał spokojnie, ale od tej chwili beznadziejna rozpacz poczyna go z dniem każdym coraz głębiej i boleśniej zadręczać. W następnym miesiącu, w nocy z w. soboty na rezurekcję odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu.

Jakże charakterystyczne światło rzuca na Węgry to, że naród ten uznał i uczcił, jako „największego z Węgrów“ nie Kossutha, który go słowem płomiennem zapalił i do walki o wolność poprowadził, lecz tego, który w owej przełomowej chwili stanął sam jeden przeciw Kossuthowi i przeciw narodowi, i nie do walki z Austrią i dynastją wzywał, lecz do ugody.

Wielkimi, największymi nazywają narody bohaterów swoich; jako bohaterów zaś tych czczą, którzy o byt jego walczyli czy to na polu chwały orężnej, czy na polu pracy pokojowej. Otóż Węgry, ten naród z tak bujną fantazją i tak gorącym żołnierskim temperamentem, postawił na najwyższej wyżyźnie nie umiłowanego wodza narodu, jakim u nich w chwili, gdy wszystko stawiali na kartę, był Kossuth, a u nas w 1794 r. Kościuszko, — nie wojownika jak ks. Józef lub Dąbrowski, nie poetę i wieszczą jak Mickiewicz, ani też świętego jak Kordecki, lecz człowieka, który tworzył spółki akcyjne i tani kredyt, naprawiał drogi, regulował rzeki, budował mosty, zakładał szkoły, dał możność założenia Akademji Umiejętności, a gdy na grunt praktyczny schodził, stawał się „politykiem-ugodowcem“, że umyślnie użyję tu wyrażenia zohydzanego u nas w epoce Polski ujarzmionej. Ale tę arcypróżną pracę opromieniał poezją marzenia „o Węgrzech, które będą“. Gdy czytam życie Széchenyi’ego stoi przede mną to margrabia Aleksander Wielopolski, to zapalony i bezwzględny jego wyznawca i wielbiciel, Jerzy Moszyński. Ale Moszyński był ekskluzywistą, fanatykiem swej myśli, niezdolnym do zrozumienia ludzi, choć cokolwiek inaczej myślących — i tem zrażał i zniechęcał takich nawet, coby gotowi byli pójść za nim. Podobnie Wielopolski, człowiek z umysłem genialnym i wolą potężną, posiadał wszystkie przymioty niezbędne do kierowania nawą narodu w okresie szalejącej burzy, prócz jednego przymiotu, a bardzo ważnego:

nie umiał ludzi pociągać, odpychał ich nie ciasnym fanatyzmem, jak Moszyński, lecz pychą myśli świadomej swej wyższości. W przeciwieństwie do nich Széchenyi miał wielkie serce i płynący stąd dar wzbudzania sympatji i czci wśród tych także, co w przeciwnym szli kierunku. Kossuth, pierwszy, nazwał go „największym z Węgrów“.

I w tej czci, jaką naród węgierski imię jego otoczył, widzi, my symboliczny wyraz duszy tego narodu. Bo kim był Széchenyi? W czym się streściła myśl jego życia? Człowiekiem był, który nie tłumiąc w sobie uczucia, ani wyrzekając się marzenia — jedno i drugie poddał rozumowi, rozum zaś kazał mu uznać, że w nadmiernie ciężkich warunkach, w jakich historia postawiła Węgry, naród ten chcąc żyć, powinien przedewszystkiem mocno stanąć, tak materialnie, jak moralnie i intelektualnie, a działać, nie schodząc nigdy z gruntu legalności. Stąd wyciągnął przykazanie pracy i pracy tej dał wzór wspaniały, tem wspanialszy, że w życiu swem całem nie doznał bodaj chwili jednej, w którejby go nie zagryzał robak wątpienia. Wątpienie, cierpienie, marzenie, odrywające od ziemi, nieubłagana powinność do ziemi przykuwająca i heroizm nieustających wysiłen tworzą w nim dziwnie piękną i smutną całość.

Prof. Al. Eckhardt napisał piękną rozprawę o podwójnem obliczu duszy węgierskiej¹⁾. Jedno wyrażają entuzjaści i zapaleńcy dla których nie istnieje niebezpieczeństwo; drugie — ludzie głębokiej a smutnej zadumy, ci, co czują dziejowe przekleństwo ciążące nad narodem, tragizm samotności rasowej i wiecznie wiszącą groźbę, że się naród nie utrzyma, że zniknie w morzu zalewających go obcych żywiołów. Ale im głębsza i boleśnieszca świadomość ta, tem silniejszym staje się bodźcem do wytrwania *usque ad finem*.

Takim był Stefan Széchenyi.

¹⁾ „Le double aspect de l'âme hongroise“.

IV.

BISKUP OTTOKAR PROHÁSZKA

W październiku 1928 roku odbył się Kongres Eucharystyczny w Budapeszcie. Jeden z uczestników jego, wybitny publicysta katolicki Q. Piotr Delattre S. J., dając wyraz w przemówieniu swoim radosnemu wrażeniu, jakie sprawił na nim katolicyzm węgierski, zakończył je następującymi słowami: „Zazdroszczę wam, jako Francuz, bo niema dziś, po wojnie, drugiego kraju w Europie, w którymby Kościół katolicki miał tak wielką powagę, życie zaś katolickie tak widoczne i szybkie czyniło postępy“. Rozwój ten i postęp ujawnił się tak w intensywnej pracy i działalności duchowieństwa, jak w znakomitej organizacji katolików świeckich, którzy odważnie i solidarnie reagując na każdą napaść, umieją zaznaczyć swój wpływ we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego, społecznego i politycznego. Zrozumiano tam, że w dzisiejszym demokratycznym i coraz szybciej demokratyzującym się świecie, głównym dla Kościoła problemem nie jest stosunek jego do państwa, lecz stosunek do społeczeństwa, więc nie zaskarbienie łaski każdorazowego rządu, lecz budowanie społeczności katolickiej, które zacząć należy od parafii, od związków parafjalnych w duchu Chrystusowym organizowanych i tym duchem przejętych ¹⁾. Wśród tych, których dziełem jest odrodzenie katolickie na Węgrzech, pierwsze miejsce należy się biskupowi Ottokarowi Prohászka.

Było to jeszcze w wieku zeszłym; odwiedzałem znakomitego patriotę chorwackiego, ś. p. biskupa Strossmayera, w jego rezy-

¹⁾ Adalbert Bangha: „Die katholische Erneuerung Ungarns“ w *Schönere Zukunft* (1928 Nr 5).

dencji w Diakowarze. Przechadzaliśmy się po parku, zaszła rozmowa o Węgrach. „Ci ludzie — mówił z irytacją biskup — dotychczas są poganami; Boga, którego my, chrześcijanie, czcimy, nie znają: do wyrazu Bóg dodają zawsze: węgierski (Magyar Isten) — i tylko do tego swego narodowego Boga się modlą“.

Założyciel jugosłowiańskiej Akademii umiejętności, inicjator i wódz wielkiego jugosłowiańskiego przeciw Węgom przedewszystkiem skierowanego ruchu, biskup Strossmayer, Węgrów nie znosił i słowa powyższe były wybuchem jego żywego, gwałtownego temperamentu.

Niemniej jednak w sądach najniesłuszniejszych kryje się nieraz odrobina prawdy, z której korzysta niechęć, aby ją wyolbrzymić. Ową odrobiną prawdy w słowach biskupa było powszechne wówczas, w epoce tryumfującego liberalizmu, zubożenie dla religii. „Inteligencja węgierska — pisze Dr. Eberle — traciła zmysł do *Credo*, tych zaś, co wierzyli, mało obchodziły sprawy nauki i kultury“¹⁾.

I właśnie wtedy, w r. 1889, pojawia się na widowni młody, zaledwo lat 30 liczący, profesor teologii w Gran (Esztergom, Ostrzyhom), wyniesiony w r. 1905 na stolicę biskupią w Székesfehérvár (Stuhlweissenburg), ks. Ottokar Prohászka, człowiek gorącego serca, głębokiej pobożności, rozległej wiedzy, wielki kaznodzieja, świetny pisarz, bystry psycholog i kierownik dusz — i jego to w znacznej mierze dziełem, że Węgry katolickie mają dziś wyraźnie katolickie oblicze, że „inteligencja wróciła do lekomyślnie porzuconych ołtarzy“.

„*Cecidit corona capitis nostris* — czytamy w artykule ojca Bangha, napisanym pod pierwszym wrażeniem śmierci biskupa — pod obuchem ciosu, który na nas spadł, płaczemy jak dzieci nad grobem ojca, i nie umiemy jeszcze objąć tego, co przez śmierć jego stracił nie tylko katolicyzm węgierski, nie tylko genjusz Węgiek, ale i Europa chrześcijańska; to nowy dla nas Trianon, zabierający nam część znaczną ojczyzny; nie terytorjum tracimy tym razem, lecz duszę wielką, ogromnych rozmiarów, najkosz-

¹⁾ „Zum Tode des Bischofs Prohászka“ (w *Schönere Zukunft* 1927. Nr. 29).

WOJSKO POLSKIE

Sztab Czerwony Oddz. II.

Biblioteka

Nr. 2080

towniejszą perłę w naszym skarbcu duchowym. O Boże, który nam go zabrałeś, dziękujemy Tobie, żeśmy go mieli!"¹⁾).

Słowa te wymownie świadczą o uczuciu, jakie zmarły budził ku sobie — i to nie tylko wśród katolików; czcili go protestanci, nawet Żydzi. Protestancki wydział teologiczny w Budapeszcie wywiesił chorągiew żałobną, albowiem mówi jego dziekan, Dr Kovats — zmarły był ozdobą całego chrześcijaństwa. Pierwszy, który wystąpił z hojną ofiarą na pomnik biskupa, był też wyznawcą Kalwina. Z licznych pism biskupa²⁾ zostały przełożone na język nasz przez ks. T. Libińskiego T. J. dwutomowe *Rozmyślenia o Ewangelji*. Dają one prawo zaliczyć go do ludzi z genjuszem religijnym: „Cechą genjusza religijnego — powiedział niegdyś E. Dimnet, mając na myśli kard. Newmana — stancwi bezpośrednio, łatwe, a głębokie ujmowanie rzeczy boskich“.

„*My Creator and myse'f* — mawiał kard. Newman — mój Stwórca i ja — to są dwie istoty, których istnienie jest absolutnie pewne, jasne, jak światło dnia, poza tą pewnością niema nic pewnego“ — i z tego uczucia, z tego stanu duszy, w którym drobnieje, zaciera się i ginie wszystko, co nie jest w bezpośrednim związku ze sprawą najważniejszą, ze stosunkiem duszy do Boga, wypłynęła cała filozofja kard. Newmana. W przeciwieństwie do cechującego ową filozofję kontemplacyjnego nastroju, u ks. Prohászki brał górę pęd do czynu, do wylania energii swej na zewnątrz, a źródłem tego było niezmiernie intensywne czucie swego ja: nie „mój Stwórca i ja“, lecz „ja i wszystko inne“³⁾. „Zwyczajną pokonywującą świat potęgą jest świadomość, że moje ja więcej warte niż wszystkie inne rzeczy“⁴⁾. Tylko, broń Boże, nie w tem znaczeniu, że wszystko istnieje dla mnie. Są inne byty, niezliczona ich mnogość, a dla nich jestem tylko drobiazgiem, czemś obcem. Cucie swej jaźni, jej nieskończonej wartości nie jest wynoszeniem siebie ponad innych, lecz czuciem indywidualnej nieśmiertelności i wieczności. Im indywidualność jest potężniejsza, tem głębiej to czuje. „Ja czuję nieśmiertelność,

¹⁾ „Ungarns Trauer“ w *Schönere Zukunft* (1927, Nr. 29).

²⁾ Przytaczamy kilka tytułów: *Bóg i świat, Ziemia i niebo, Spaczenie intelektualizmu, Katolicyzm nowoczesny, Kultura a terror*.

³⁾ *Rozmyślenia o Ewangelji* t. I, str. 423, Kraków 1926.

⁴⁾ *ibid.*

nieśmiertelność tworzę" (Mickiewicz). „Ja czuję, że bezbrzeżne jest to życie moje" (Lermontow), a czucie to przenosi poza zmienność i znikomość i stawia przed ideą Boga, przed Bytem absolutnym... „gdyśmy z Bogiem byli sami..." (Słowacki). Więc nie jest afirmacja Boga ślepym fideizmem, ani też nie opiera się na syllogizmie; Boga odkrywa człowiek w sobie: „od początku tak było, że we własnej świadomości znajdował człowiek Boga" ¹⁾). Pomimo to—ubolewał biskup — „ta sama zawsze w przeczeniu niedorzeczność; mówią niemasz Boga, a przecież Boga widzimy, czujemy i pragniemy: nieskończony świat nosimy w sobie, samowiedzę niepodzielnej jaźni". I to właśnie jest obrazem i podobieństwem Boga, więc „czcijcie we własnym wnętrzu Boga jako pierwszą przyczynę twórczą i cel wszechrzeczy..." „O Boże, jesteśmy wstawieni w byt Twój jak ziemia w sferę przyciągania i oświecenia słonecznego..." ²⁾). „Ufam, Panie, ku Tobie pręży się moja dusza, Tyś moją wiosną" ³⁾).

Tyś moją wiosną—wiosenny wiew poezji przenika *Rozmyślanie*, jakieś wielkie i naogół tak rzadkie u apologetów, czy kaznodziei umiłowanie natury. „Biskup Prohászka — opowiada Dr J. Eberle ⁴⁾ — korzystał z każdego wolnego świątecznego dnia, ażeby iść za miasto i błąkać się po górach i lasach i łąkach: radością, przypominającą św. Franciszka z Assyżu, przejmował go kwiat każdy, brzęczenie pszczoły, szmer strumyka, lecący w słoneczne błękity śpiew skowronka". „Dusza — pisze biskup w przedmowie do *Rozmyślań* — tak jest wrażliwa i tak czuła na dotknięcia świata zewnętrznego, ulega urokowi dolin, Tatrzańskich, morza, czarownego zachodu słońca, wzrusza ją odgłos dzwonu wieczornego, rozlegający się po wzgórzach, dreszczem przejmuje tęsknota mistyczna wraz z pełną tajemniczego szeptu ciszą rozlana po katedrach gotyckich, do łez pobudza uśmiech pierwszych kwiatów, wyrosłych na mogile cmentarnej". I wszystko to „sięga w głąb duszy i treść swą we mnie przelewa. ". „Na wdzięcznych kształtach świata zewnętrznego stylizuje się mój świat wewnętrzny, do niemej ich muzyki uczy się śpiewać moja dusza". Wszystko to mówi o niebie, niebem jeszcze nie jest, lecz prze-

¹⁾ ibid., str. 62. ²⁾ ibid., I, str. 123. ³⁾ ibid., I, str. 130.

⁴⁾ W „Zum Tode des Bischofs Prohászka" w *Schönere Zukunft* (1927, Nr. 29).

nosi w świat ducha: „roztwierają się dalekie perspektywy Królestwa Bożego, gdzie Bóg już nie tylko tworzy i kształtuje, ale sam wchodzi do wnętrza swych stworów, by w myśli człowieka i w człowieczym sumieniu, w weselu i cierpieniu, w pragnieniu i modlitwie, we łzie i uśmiechu, w życiu i śmierci stylizować i kształcić dusze według niezrównanego wzoru“. Ta szczęśliwa świadomość życiotwórczego działania na duszę obu otaczających ją światów: przyrody i łaski — nie zamykała biskupowi oczu na bolesny, a znamionujący atmosferę wieku naszego fakt, że „dusza człowieka nowoczesnego jest zatruta, niezdolna do silnej wiary“ ¹⁾. Każdy z nas jest w mniejszym lub większym stopniu lunatykiem na tym świecie... żyje ów lunatyk, porusza się jakby we śnie... albowiem żyje w nim człowiek pełen samego siebie, a drzemie człowiek boży²⁾. Partackie to życie, płytkie, plotkarskie, bezstylowe...³⁾ „Kumanie się z grzechem i nędza moralna...“ Diczaje człowiek w swym życiu uczuciowym „wbrew lakierkom, pachnidłom i frakom“; kultura jest tu tylko blichtrzem, zaś życie jego umysłowe cechuje jałowość myśli, niezdolnej wyjść z frazeologii buntu przeciw Bogu i prawu moralnemu i niezdolnej zrozumieć, że bunt ten rzuca buntownika w niewolę innej potęgi i wyściska na nim piętno bestjalności: „Kto ziemią się karmi i na brzuchu pełza, temu nie wyrosną skrzydła... brak mu zmysłu do wielkich rzeczy“ ⁴⁾.

Co robić, jaką radę dać tym, którzy choć w słabym stopniu ów brak w sobie czują? Samą obecność uczucia tego można już brać, zdaniem biskupa, za dowód Łaski i z pomocą tą, a bez szczególnego trudu, dojść można do uświadomienia sobie, że „co cię osłabia, co sprawia, że więdniesz, to nie może być prawdą, nie może być bytem realnym...“, a czy jest coś, coby bardziej do więdnienia, do uwiędnięcia starczego się przyczyniało, niż zamieszkanie i przybywanie w nizinach niewiary... „Jeśli nie wierzysz w świat ducha, ujrzysz dokoła siebie bezrozum“ ⁵⁾. Jakże z bezrozumu nie chcieć się wydobyć, nie chcieć poza powłoką jego szukać jakiejś głębszej Bożej treści? Wejźdźmy we wnętrza nasze, w potrzeby serca, a zobaczymy, że własne ja, własne

¹⁾ Rozmyślania o Ewangelji, t. I, str. 62.

²⁾ *ibid.*, I, str. 25. ³⁾ *ibid.*, II, str. 305. ⁴⁾ *ibid.*, II, str. 385.

⁵⁾ *ibid.*, I, str. 202.

serce, jest naturalnem źródłem religii: „Ty jesteś, Panie, jesteś we mnie! Gdy wejrzę w głęb mej duszy, wydaje mi się, jak gdybym z głębokiej pieczary wзираł na świat wzniośle piękny, subtelny, tonący w olśniewającym blasku, w Ciebie patrzę. Boże, Ciebie widzę na dnie swego jestestwa“ ¹⁾. To przeświadczenie o ogromnem, decydującem w rzeczach religii znaczeniu wewnętrznego głosu, czyli głosu i świadectwa sumienia, przejmując wszystkie rozmyślenia, nadając im charakter jakiejś teologii eksperymentalnej, wypływającej z najgłębszych przeżyć wewnętrznych: „Jakże cię kocham, świecie mój miły, czysty, boski, świecie mój wewnętrzny, naznamianowana jest nademną światłość oblicza Bożego“ ²⁾, w tym świecie czerpie moc swoją świadoma siebie, skierowana do ideału woła; nazywamy to moralnością: „to moja strefa klimatyczna, jej leśne żywiczne zapachy“.

Ale i tam, w tej strefie, na wyżynach życia w służbę Bożą przeistoczonego, „z obliczem zasłoniętem objawia się Pan...“ „Nie znam psychologii Boga; bezwątpienia inna jest, niż moja, skoro nie jestem ani pierwszą przyczyną, ani celem ostatecznym, ani bytem absolutnym ³⁾ — i daremnie w otchłanie te zapuszcza się myśl nasza; tworzymy sobie tam pojęcia, „w których więcej ciemności, niż jasności“, ale w ciemności tej busolą — serce“ ⁴⁾.

Zawsze serce, serce jest tym czynnikiem zasadniczym, który stwarza potęgę życia wewnętrznego. Co pomoże geniusz, gdy brak serca? Powiem więcej: „bez serca niema geniusza“ ⁵⁾ — i na wołaniu serca, na tem objawieniu wewnętrznem, na moralnej podstawie wiary oparł się biskup, stale na pierwszy plan wysuwając tak zwany dowód moralny, najczęściej przez teologów lekceważony i pomijany albo przytaczany od niechcienia, niby zbędny dodatek do niezwruszonych, murowanych dowodów rozumowych. Ks. Prohászka intuicyjnie umiał odgadnąć, gdzie leży stanowisko najmocniejsze, które wobec ducha czasu zająć trzeba. Temu w znacznej mierze przypisać należy jego wpływ na epokę. Ale, niestety, dawało to także powód do podejrzenia go o sprzyjanie t. zw. „modernizmowi“, zwłaszcza w owych smutnej pamięci latach, kiedy szły na indeks pisma głosiciela dogmatyzmu moralnego, a jednego z najgłębszych myślicieli katolickich, X. La-

¹⁾ ibid., I, str. 294. ²⁾ ibid., I, str. 295. ³⁾ ibid., I, str. 69. ⁴⁾ ibid., I, str. 48. ⁵⁾ ibid., I, str. 58.

berthonnière'a, kiedy w każdym, kto mówił o doświadczeniu religijnem, o religii wewnętrznej, o religii, jako przeżyciu, o moralnych i mistycznych pierwiastkach poznawania religijnego, wietrzono wroga, zdradziecko pracującego wewnątrz, w samym Kościele, nad jego zniszczeniem. Gdy, powołany w r. 1909 na członka Akademii węgierskiej, biskup Prohászka wygłosił tam inauguracyjny odczyt o „Przesadach idealizmu“, dopatrzono się w tem herezji modernistycznej i wynikiem gwałtownych krytyk i napaści było wniesienie dwóch jego pism na listę Indeksu. Gdy wiadomość o tem nadeszła, biskup zamknął się w swej rezydencji, trzy dni spędził w odosobnieniu, przechadzał się — opowiada Dr Eberle — po parku, rozmyślając i ważąc, w końcu wszedł na ambonę, przeczytał dekret Kongregacji Indeksu, przyjął wyrok w pokorze i wygłosił wspaniałe kazanie o autorytecie władzy kościelnej.

Kultura ma dwie strony: techniczną i ideologiczną. Nigdy postęp techniczny nie szedł, nie pędził tak oszałamiająco szybkim krokiem i nigdy ideologia kultury nie była tak uboga. Jedno z drugim jest w związku. Wszystkie bowiem z ujarznienia natury wynikające możliwości rozkoszy używania przywiązują do dobrobytu materialnego, empiryzm zaś naukowy z odkryciami swemi i wynalazkami, czyniącemi naturę służebnicą człowieka, zdecydowanym jest wrogiem metafizyki. Wobec tego ideologia bez pierwiastka metafizycznego, bez religii, staje się nietylko ideologią zubożoną, ale prosto jej negacją. Ujmując wszechświat jako ogromny mechanizm, w którym człowiek jest kółkiem malutkiem, odrzuca ona wolność woli, zamieniając ją determinizmem ślepej przyczynowości. Powinność ustępuje miejsca konieczności; postępowaniem człowieka kierują wtedy, jak się wyraził prof. Spektorski ¹⁾, nie motywy, lecz motory. Kultura ludzka spada do poziomu kultury mrówek, czy termitów.

Na gruncie tej pozytywno-deterministycznej, umyślnej krótkowzroczności śmiesznie bezsilnemi są wszelkie próby rozumowego uzasadnienia wiary. Empiryzmowi zewnętrznemu, uznającemu to tylko, co się da pochwycić zmysłami, przeciwstawić można tylko empiryzm wewnętrzny i na tem oparty dogmatyzm mo-

¹⁾ W książce „Chrześcijaństwo i kultura“ (po rosyjsku), Praga 1919.

ralny, potężne *De profundis*, wydobywające się z duszy *in terra deserta, iniquosa et invic*.

I ze stanowiska tego wydawał nieraz biskup sądy może zbyt bagatelizujące racjonalizm filozofji, „tej wątłej córy ludzkiego umysłu, pozbawionej, z powodu swej niedokrwistości, powołania na rodzicielkę pokoleń silnych...”¹⁾. „Filozofja, wykształcenie są to rzeczy dobre, lecz jedynie jako ozdoby życia; na kanapie, w salonie, przy dymiącej herbacie, mogą te rzeczy być na miejscu“, ale nie dają tego, co najpotrzebniejsze, nie dają światomości, wznoszącej ponad doczesność. Więc tylko politowanie budzi filozofja taka, „gdy dusza przez tęczową tkanekę myśli i uczuć, tęsknot i ideałów, przeczuć i pragnień, modlitw i uniesień wchłania w siebie nieskończoność, gdy rytm istnienia zmienia się w psalmodję wiary“²⁾.

„Wierzę w żywot wieczny i ku wieczności pielgrzymuję z pieśnią na ustach“ — woła ks. Prohászka. A ludzie wyobrażają sobie, że smutne jest to zapatrzone w wieczność życie, bo „nie kocha rozkwitej ziemi, błękitnego nieba, wonnej róży, marmuru lśniącego, a marzy o śmierci“³⁾. Przeciwnie, życie religijne, życie święte kocha to wszystko, lecz sięga dalej, bardzo daleko i „stwarza harmonję między ziemią a grobem, rozkwitem róż a znikomością, czasem a wiecznością“. Świętość jest szczytem człowieczeństwa. Święci to „owe góry Boże, sterczące w niebie, w wieczność... na dole równina płaska, myśli banalne i nudne ludzi tuzinkowych, a oni zstępują, jak Mojżesz, z gór swoich, z obliczem promiennem i poruszają ludzkość do wypraw krzyżowych nie tylko o święty Grób, ale przedewszystkiem o Żywot wieczny“⁴⁾. Nie grzeszmy przeciw własnej według obrazu Bożego stworzonej naturze i idźmy ich wzorem. Są to nadludzie, olbrzymy ducha, najwyższy wyraz tych twórczych sił dziejowych, które w religji, w życiu Bożem się skupiają: „to najcieplejszy, najpotężniejszy prąd ciągnący przez historję“. A chciano go zniszczyć: „wypalano religijność, niby wrzód, pogardę na nią rzucano, piętnowano, jako zacofanie i niższość umysłową; kwasem krytyki i szyderstw chciano ją wypłenić...“⁵⁾. Jacyż to partacze owi bu-

¹⁾ Rozmyślenia o Ewangelji, I, 117.

²⁾ *ibid.*, I, 35. ³⁾ *ibid.*, II, str. 365.

⁴⁾ *ibid.*, II, str., 369 — 370. ⁵⁾ *ibid.*, I, str. 36 — 7.

downiczowie kultury, którzy w pomysłach i zboczeniach instynktu religijnego nie umieją dojrzeć i docenić mocy żywiołowej, nie-zniszczalnej, która w nim działa" ¹⁾). Jest to moc, która wlatuje ponad ogniska i związki ciała i krwi, nie zna odrębności narodowych, nie zna słupów granicznych i rogatek; Karpaty, czy Alpy, czy kanał Angielski dla niej nie istnieją, innym mówi językiem, innych szuka skarbów, stwarza życie duchowe, buduje społeczność, w której znikają kraje, języki, narody — społeczność dzieci Bożych ²⁾). Kościół nazywa to „Świętych Obcowaniem“, w społeczności tej starajmy się zrobić miejsce dla siebie.

Tajemnica uroku — pisze ks. prof. Cz. Falkowski ³⁾ — jaki roztaczał biskup Prohászka w swem życiu i pismach, bezsprzecznie tkwi w tem, że był przede wszystkim kapłanem, kapłanem w najszlachetniejszym znaczeniu współczesnem, o głębokim umyśle i gorejącem sercu. „„, „miał zwyczaj często, gdy wszystko naokół było pogrążone we śnie, spędzać godziny nocne w modlitwie, w domowej kaplicy przed *Sanctissimum*, nazajutrz zaś zrana, bezpośrednio po Mszy, zapisywać swe myśli — plon obcowania z Bogiem...“. Piękną była śmierć jego: umarł na ukochanej swej placówce, na ambonie, w kościele uniwersyteckim w Budapeszcie, podczas konferencji wielkanocnej o żalu doskonałym: wielki mówca zaczął nagle się jękać, słaniać, aż padł w ramiona słuchaczy. Na chwilę tylko odzyskał przytomność, by wyszeptać dwukrotnie imię Jezus.

¹⁾ *ibid.*, ²⁾ *ibid.*, II, str. 387 — 8.

³⁾ „Pamięci wielkiego biskupa“, „Słowo“ (wileńskie) z 14. XII. 1927.

V.

TRAGEDJA WĘGIER

„Kochałem Węgry — czytamy w pamiętnikach gen. Dembińskiego — jak młodzieńczą miłość moją; biło mi serce dla kraju tego jak dla mojej własnej ojczyzny!” Słowa te powtórzyłby niejeden z nas. Węzłem ścisłym spoiła historia Polskę i Węgry; byliśmy — i oni, i my — przedmurzem Chrześcijaństwa przeciw muzułmańskiemu Wschodowi; w obronie Chrześcijaństwa na czele hufców polskich i węgierskich poległ król Polski i Węgierski Władysław Warneńczyk; Węgry dały nam królową Jadwigę, którą czcimy, jak świętą; dały Stefana Batorego, największego z królów naszych; Jagiellonowie — w osobach Władysława II i Ludwika II — zajmowali tron węgierski od r. 1490 do 1536, t. j. do strasznej klęski pod Mohaczem. W bitwie tej zginął Ludwik II; wraz z nim runęły Węgry. Rozpadły się na trzy części: część największa ze stolicą Budapesztem przeszła pod panowanie tureckie; Siedmiogród stał się księstwem lennem pod zwierzchnictwem sułtanów; niezależność zachowały tylko zachodnie i północno-zachodnie ziemie pod berłem królów Habsburgów, ale była to niezależność nominalna; Habsburgowie prowadzili politykę centralistyczną, a potrzebując pieniędzy i żołnierzy, ogołacali kraj.

Klęska, którą król Sobieski zadał Turkom pod Wiedniem, była początkiem końca ich potęgi; na mocy pokoju zawartego w r. 1699 zagarnięte niegdyś przez Turków terytorjum wróciło pod berło prawowitych królów, ale pustoszone w ciągu 1½ wieku i wyludniane, zostało uznane za prowincję zawojowaną i stosownie do tego traktowano ludność. Wywołało to powstanie, na czele którego stanął książę Siedmiogrodu, narodowy bohater Wę-

gler, Jerzy Rakoczy. Zakończyło się klęską, po której Siedmiogród z nawpół niezależnego państwa spadł do poziomu jednej z prowincyj w monarchji Habsburgów. W ten tragiczny dla Węgrów sposób jedność ziem węgierskich została przywrócona. Dzieła tego dokonali Habsburgowie, wzmocniło ich powagę; mogli więc odtąd doprowadzać do skutku, bez szczególnych przeszkód, swoje centralistyczne i germanizatorskie plany.

Z natury rzeczy węzły polsko-węgierskie rozluźniały się od bitwy pod Mohaczem coraz bardziej. Dopiero w r. 1849, gdy Węgry powstały przeciw Austrii, odżyła stara przyjaźń. Młodzież Polska szła tłumnie na Węgry i biła się mężnie. Większe jeszcze znaczenie miała, zdaniem historyków węgierskich¹⁾, pomoc, jakiej dostarczyli Polacy pod postacią całego zastępu wykwalifikowanych oficerów. Dość wspomnieć generałów Dembińskiego, Wysockiego, Bułharyna, przedewszystkiem zaś Bema, którego geniusz wojskowy zajaśniał w czasie tej wojny pełnym blaskiem. „Imię Twoje — pisał Kossuth w reskrypcie do niego — stało się nierozdzielne z historją Węgier; złączone z nią na zawsze, będzie jej wieczystą chlubą“²⁾.

Po r. 1849 sprawa polska poczęła schodzić z widnokładu myśli politycznej Węgier. W epoce przetwarzania się Austrii (1859 — 1867) po klęskach wojny z Francją (1859) i Prusami (1866), gdy podniesiono ideę federacji, która wśród polityków polskich znajdowała gorących zwolenników, Juljusz Andrassy, największy z węgierskich mężów stanu, napisał w roku 1865 memoriał przeciw sfederowaniu Austrii, a za dualizmem. Federacja, zdaniem jego, oznaczała wysunięcie kwestji słowiańskiej, sławizm zaś albo ciążyłby ku Rosji, albo, jeślihy się stał austrosławizmem, to na trupie Węgier. „Sztuczna rekonstrukcja korony czeskiej — pisał tam — i zrzeszanie się ziem słowiańskich wokoło niej dałyby początek wewnątrz Austrii dziełu, które musiałoby się poza granicami jej skończyć“³⁾. Żądał przeto, ażeby liczebną przewagę Słowian w Cislitawji zrównoważono wzmocnieniem politycznym elementu niemieckiego, bo w przeciwnym razie rząd musiał-

¹⁾ Dr. Adrian Divéky: „Węgrzy a Polacy w w. XIX“ (1919) s. 105.

²⁾ ib. str. 105 — 106.

³⁾ J. Wertheimer: „Graf Juljus Andrassy. Sein Leben und seine Zeit.“ t. I, Wien 1910.

by nie raz w jednej połowie państwa zwalczać to, coby popierał w drugiej. Na posłuchaniu u cesarza projekt swój przedstawił niemal jako ultimatum. „Austria—powiedział—o ile się nie przetworzy w państwo dualistyczne, wyrzucona będzie nietylko ze Związku niemieckiego, ale z cywilizowanej Europy“.

Zwyciężył. Po stworzeniu zaś dualistycznej Austro-Węgierskiej monarchji uznał, że jedynym oparciem dla Węgier mogą być tylko Prusy. I w r. 1870 energicznie się oparł polityce Beusta i wszelkim projektom przymierza z Francją. Pobicie Prus przez Francję, prowadząc za sobą upadek hegemonji pruskiej w Niemczech, wznowiłoby, w mniemaniu jego, w rządzących sferach Austrii dążność do wskrzeszenia starej centralistycznej polityki, „a to—pisał do niego baron Eötvös—byłoby chyba największym ciosem, jakiby ojczyznę naszą spotkać mógł“. Politykę swoją Węgrzy narzucili cesarzowi i wytrwali w niej aż do upadku monarchji.

Traktat Berliński, który pchnął w roku 1878 Austro-Węgry na Balkany i jeszcze ściślejsem przymierzem połączył z cesarstwem niemieckiem, pogrzebał ostatecznie wszelkie romantyczne rojenia w zakresie stosunków polsko-węgierskich. W społeczeństwie węgierskiem utrzymało się mniemanie, że skoro państwo polskie nie istniało, nie było potrzeby brać w rachubę narodu polskiego. Tak też sądzili wodzowie polityczni, ludzie nie idei, a czynu, zapatrzeni w Bismarcka i Berlin, czciciele siły.

Zwiąawszy losy swoje z cesarstwem niemieckiem, zrozumieli jednak Madjarzy w czasie wojny światowej, jakie im stąd groziło niebezpieczeństwo. Armje austro-węgierskie nie były w stanie podołać naciskowi Rosji. Dopiero z początkiem wiosny 1915 r. marsz. Mackensen, pobiwszy Rosjan na głowę pod Gorlicami, począł wyzwalać Galicję z pod okupacji rosyjskiej. Ale właśnie ta pomoc niemiecka czyniła Austrię jeszcze bardziej zależną od Niemiec, przeistaczając ją w państwo niemal wasalne. Trudno to było znieść dumnym potomkom Arpada; musieli pomyśleć o wzmocnieniu stanowiska swojego oraz państwa, którego część stanowili. I wtedy to nastąpił ich zwrot ku ignorowanej przedtem Polsce.

Wśród wielkiej wojny światowej—pisze Bobrzyński—powinna była Polska „zdobyć się na objaw, któryby woli jej wskrze-

szenia państwa własnego dał świadectwo, a takim objawem, zrozumiałym dla swoich i dla obcych, mogła być tylko siła zbrojna, walcząca za Polskę i dźwigająca jej sztandar na polach bitew" ¹⁾). Legjony stawały się reprezentacją narodu polskiego; krwawe ich usiłowania wywalczyły akt 5 listopada. Mając w legionach wymowne świadectwo energii i żywotności patriotyzmu naszego, Węgry poczuli wówczas w Polsce sprzymierzeńca, z pomocą którego mogliby w przyszłości przeciwważyć nacisk germanizmu.

Prawie cały czas wojny przebywałem na wsi, pod Mińskiem. Wiadomości ze świata, zwłaszcza z państw centralnych, a tembardziej z Warszawy i Krakowa, przechodząc przez sito cenzury wojskowej, były więcej, niż skąpe, wyczułem jednak ewolucję, odbywającą się na Węgrzech, rozumiałem, że w Europie Madjarzy byli jedynym narodem, dla którego wskrzeszenie Polski czy to niepodległej zupełnie, czy za własną jej zgodą złączonej z Austrią i Węgry, stanowiło bezpośredni, najżywotniejszy interes. Myśl tę wyrażałem na szpaltach „Dziennika Petrogradzkiego“ w r. 1917 ²⁾).

Sympatję do sprawy naszej budzili wśród Węgrów jeszcze przed wojną poseł Kovacs, bar. A. Nyary i zaszczytnie znany u nas historyk i publicysta prof. Divéky. W roku 1915 z ich inicjatywy oraz bar. Syntinis'a, Rady trzydziestu kilku Komitatów wnoszą do Izby poselskiej rezolucję, domagającą się od rządu, aby przy zawarciu pokoju interwenjował na korzyść Polski. Wkrótce potem wódz stronnictwa konstytucyjnego, hr. Juljusz Andrassy (syn) porusza kwestję polską w prasie, a potem w sejmie — i wywody jego stają się podstawą programu, głoszącego niepodzielność Królestwa polskiego i utworzenia z niego i z Galicji osobnego organizmu państwowego w obrębie monarchji Habsburgów. Dalej jeszcze idą opozycjoniści G. Ugron i hr. Teodor Batthiány; ten ostatni kładzie kropkę nad i, obnaża w sejmie groźne dla Węgier dążenia pangermanizmu i żąda stworzenia w stosunku do Polski *fait accompli* jeszcze przed końcem wojny. Chce on Polski niepodległej i zjednoczonej „Państwo — woła — z 20 milionami ludności, zawdzięczające naszej pomocy wolność, będzie chyba stało przy nas, jako wierny sprzymierzeniec“. Trialistyczny program hr. Andrassy'ego przejmował obawą

¹⁾ „Wskrzeszenie Państwa Polskiego“, Kraków, 1920.

²⁾ „Legjony Piłsudskiego, a sprawa polska“, Nr. 1950—1955.

premiera, hr. Stefana Tisza. Ale w opinii publicznej węgierskiej przeważała myśl Andrássy'ego. Pamiętano o roku 31 - m, 49 - m i 63 - m, nie wierzono, aby naród, który w walce z caratem przelewał krwi tyle i przecierpiał takie męczeństwa, mógł o tej przelanej krwi, o tych męczeństwach, o przekazanej przez ojców tradycji zapomnieć. Węgrzy byli wtedy jedynym w Europie narodem, który w najszerszych swych warstwach, przez uchwały komitetów dawał wyraz woli, żądającej odbudowania niepodległej Polski, parlament węgierski — jedynym w Europie, z którego trybuny rozlegały się w sprawie polskiej głosy życzliwe i szczerze.

W listopadzie 1918 roku państwo austro - węgierskie runęło. Runęło, bo tego żądał, w imię zasady samostanowienia narodów, człowiek, który w owej chwili rozstrzygał o losach świata — prezydent Wilson.

Na Węgrzech wybuchła rewolucja. Na czele rządu rewolucyjnego stanął hr. Karolyi, osobisty przyjaciel Poincaré'go — wódz stronnictwa, które przed i w czasie wojny stale przeciw przymierzowi z Niemcami występowało. Rachował na to, że państwa Ententy zechcą to uwzględnić i zrozumieć, że naród węgierski wojował po stronie Niemiec i Austrii, zmuszony do tego koniecznością, i że stronnictwa większości, z premierem, hr. Tiszą na czele, robiły w roku 1914, co mogły, aby wojnie zapobiec. Rachuby zawiodły. Oddał wtedy rządy w ręce bolszewika, czy komunisty, Beli Kuhna. Nastąpił okrutny terror komunistyczny, który trwał przeszło trzy miesiące. Jeśli Węgry skazano na zagładę, to przynajmniej niech ginąc zarażą zwycięzców tym jadem, który dobrowolnie w organizm swój wpuścili. Sądzymy, że tą desperacką logiką kierował się Karolyi w chwili powzięcia swego postanowienia.

W walce z komunizmem rósł opór, naród męźniał i pod wodzą adm. Horthy'ego zrzucił w końcu jarzmo nienawistnej bandy. Zwyciężył rewolucję siłą przywiązania do odziedziczonej po przodkach tradycji religijnej i monarchicznej. Gdy naród nasz, dorwawszy się do niepodległości, nic pilniejszego nie widział, jak tradycji się wyrzec i odrzucić daleko od siebie ową ideę majestatu królewskiego, symbolizującego majestat Rzeczypospolitej, którą natchnionemi słowami wysławiał Mickiewicz w prelekcjach Paryskich, którą tak głęboko odczuł Siekwiewicz w *Ogniem*

i Mieczem; — gdy głupio się poddając prądom, idącym od republik sowieckich, ogłaszał u siebie republikę ludową — naczelnik państwa węgierskiego, admirał Horthy, po wyzwoleniu ojczyzny od komunistów, stawał się w oczach każdego Węgra stróżem korony św. Stefana, strzegącym jej aż do chwili, w której włożoną zostanie na głowę jej prawowitego władcy, a posłowie jego w państwach europejskich występowali i występują dotąd, jako delegaci królewskiego rządu węgierskiego.

I razem z tą tak chwalebnie świadczącą o zdrowiu i równowadze moralnej narodu czcią dla przeszłości dziejowej, głęboko uświadomiły sobie Węgry znaczenie religii, jako potęgi duchowej i niewzruszonej ostoji przeciw inwazji nihilizmu politycznego i moralnego. Bolszewizm rozbił się o twardy mur katolicyzmu; nigdy nie otaczano kapłanów taką czcią, jak w czasie rewolucji, nigdy lud nie wykazywał w sposób tak serdeczny swego przywiązania do Kościoła. Krew męczenników stała się nasieniem, które obecnie wydaje plon. Oto co mówił na jednym ze zgromadzeń wyborczych ówczesny minister wyznań i oświaty, Stefan Haller: „ze Wschodu przyszło niebezpieczeństwo bolszewizmu i na Wschodzie powstać powinna myśl zbawcza, która Europę uzdrowi i wzajemne stosunki narodów ułoży na nowej podstawie. Tą myślą — powszechna chrześcijańska solidarność narodów, ich wyzwolenie wewnętrzne, łączność i przymierze. Nie wątpię, że myśl ta ciałem się stanie, że zastąpi Wilsonowską Ligę i że mocniejszą się okaże, niż wszelkie twory dyplomacji“. „My, Węgrzy, mamy prawo wołać do wszystkich innych narodów: Wyzwólcie się, jak my już siebie wyzwoliliśmy. Nie macie dotąd możliwości ani wydobycia z siebie głosu chrześcijańskiego, ani rozporządzania sobą; nie posiadacie rządów chrześcijańskich, stoicie, jak my przed kilku miesiącami, pod międzynarodowym socjalistyczno-żydowsko-masońskim jarzmem i ci, którzy w waszym imieniu przemawiają, nie o tem mówią, co wy czujecie i czego chcecie, ale tylko o tem, co stanowi interes żydowstwa i masonji. Więc beczynn timerze patrzycie, jak nas niszczą, nawet cieszyć się wam każą, że oto się rozwalą wschodnie przedmurze chrześcijaństwa i uniemożliwione będzie istnienie państwa, które chce być chrześcijańskim nie z imienia tylko, lecz z zasady“.

Słowa te wyjaśniają wszystko. W trudach zmagania się z najzacieklejszym wrogiem duchowej kultury człowieka Węgrzy zrozumieli, że chcąc istnieć, muszą stać się państwem chrześcijańskim nie z imienia tylko lecz i z zasady. „Wznieśmy wzrok nasz — pisał hr. Albert Apponyi — ku zasadom wiecznym, które zobowiązują nas, jako chrześcijan, do wysiłków; torujmy drogę wzajemnemu zbliżeniu się ludzi dobrej woli ze wszystkich krajów i narodów”.

Rozumiemy teraz, dlaczego nawet we względnie zachowawczym *Journal des Débats* pisano, że *le repos du monde exige, que le magyarisme soit détruit dans ses racines* (Nr. z dn. 17 stycznia 1919), rozumiemy, dlaczego w miarę oporu narodu węgierskiego przeciw bolszewizmowi rosła niechęć sfer rządowych w Anglii, nawet we Francji, dlaczego w chwili najkrytyczniejszej dla Węgier, gdy utworzony w Arad rząd narodowy dla stłumienia bolszewizmu przenosił się do Szegedynu, tameczny komendant francuski, pułkownik Bétrise, zarządził rekwizycję armat, ażeby przeszkodzić powodzeniu antyrewolucyjnego, narodowego ruchu. Słowem, wzięto Węgry we dwa ognie: z jednej strony rewolucja, z drugiej — łoże masońskie potężne wpływem swoim na rządy państw Ententy oraz poparciem judaizmu. Wolalbym o masoni nie mówić, otoczyła ona siebie tajemnicą i kwestję tę poruszając, wchodzimy w ciemność, w której się błądzi nieomal poomacku. Ale, o ile trudno określić wpływ łoż w każdym poszczególnym wypadku i uchwycić linię działania, którą one sobie wytknęły, to, co się tyczy idei zasadniczej, daje się ona dość łatwo dopatrzyć poza przezroczami zasłony z rozmaitych ponętnych haseł utkanej, którą masonja się owinęła. Idea ta jest negacyjna, streszcza się w antytradycjonalizmie. Zburzenie porządku państwowego i społecznego, a przede wszystkim tej jego głównej podstawy, jaką jest religja — oto cel masonji. Judaizm zaś, stojąc sam bardzo mocno na gruncie swojej tradycji, skupiał zawsze całą energję swoją w niszczeniu pierwiastka tradycji w tych wszystkich społeczeństwach i narodach, wśród których działał. Jest to wynikiem wiekowych prześladowań żydów. Żydzi nietylko z tem się nie kryją, ale przeciwnie chlubią się z tego. „Żydzi — pisze Nachum Goldmann, — mogą tylko mieć w nienawiści dzisiejszy porządek społeczny. Należą więc wszędzie do opozycji, stoją wszę-

dzie po lewej stronie, wśród reformatorów i rewolucjonistów, wśród tych, co burzyć chcą stare formy życia, a popierać nowe; negacyjno - krytyczny kierunek pracy i działania judaizmu nadaje mu ogromną wartość dziejową, stanowi przedmiot jego uniwersalnego posłannictwa ¹⁾).

W antytradycjonalizmie judaizm i masoneria zeszyły się ze sobą i nie dziw, że żydzi z wrodzonym sobie sprytem i sprawnością zajęli w łóżach stanowiska kierownicze. Zdobycie Węgier było dla bolszewizmu niezmiernej doniosłości triumfem, ułatwiającym zwycięski jego pochód na Europę. Przez Węgry pędził na Austrię, aby podać rękę Bawarii, która dawszy żydowi Kurt-Eisnerowi powalić starodawną dynastję Wiltelsbachów, przygotowana już była godnie przyjąć żyda Trockiego. Ale ten plan rozbiły bohaterskie wysiłki narodu węgierskiego; naród ten uratował Europę — przynajmniej w owej chwili—przed najstraszniejszą od czasów tatarskich inwazją.

I czem masońska Europa odpłaciła? Gdy zabrano się do tworzenia nowego rządu, według wskazań palatyna Węgier, arcyksięcia Józefa, wydało się to przerażonym kierownikom państw Ententy zapowiedzią możliwości powrotu Habsburgów. Przeciwno temu zaprotestował ich komisarz generalny — i Węgry musiały ustąpić. Czyżby mniejszem złem dla Europy było najście bolszewików i przeistoczenie jej w taką samą pustynię, jaką jest Rosja dzisiejsza, niż powrót któregoś z usuniętych monarchów, niż nawet objęcie tronu w małym królestwie węgierskiem przez członka jednej z dawnych dynastji?

Warunki zaś pokoju, które podyktowano Węgom w Neuilly, przeszły wszystko, czego oczekiwali najczarniejsi pesymiści. Państwo węgierskie przedstawiało urodzajną, szeroką płaszczyznę od wschodu i północy otoczoną górami, których rzeki ku sercu państwa płynęły, stanowiło, jak to jeszcze stwierdzał Elizeusz Réclus, rzadką, a doskonałą jedność geograficzną, dzięki której, pomimo wzajemnych tarć, niechęci i nienawiści między narodowościami terytorjum węgierskie zamieszkującemi, wszystkie żyły i zżywały się ze sobą pod tym samym porządkiem politycznym.

¹⁾ Von der weltkulturellen Bedeutung und Aufgaben des Judenthums. München 1916.

Tę jedność geograficzną zniszczono, terytorjum państwa, spustoszonego przez kilka miesięcy rządów bolszewickich i dobitego przez okupację rumuńską, zredukowano do $\frac{1}{3}$ -iej dawnego obszaru. Państewko to odgraniczono od świata, zamykając je między trzema mocarstwami, którym oddano do podziału $\frac{2}{3}$ ziem korony św. Stefana. Sprawy narodu swego i kraju bronił przed arbitrami losów Europy największy z mówców węgierskich, Albert hr. Apponyi. Mówią, że zaimponował im znajomością języków, wiedzą polityczną, bystrością, wymową wreszcie, czerpiącą moc swoją w wielkiej miłości, ale daremnie zadawał im pytanie, czy naprawdę są skłonni uważać, że przez tysiąc lat światem rządziły obłąd i głupstwo, skoro tysiąc lat istniało to, co oni w tej chwili uważają za niedorzeczne i szkodliwe, mianowicie państwo węgierskie? Wielcy arbitrowie byli niewzruszeni: ich organy np. „Tems” krzyczały o *intolérables prétentions des Mogyares*.

Skazane przez państwa Ententy na tortury powolnego konania, Węgry wyciągnęły rękę do Polski. Pozostawiając nawet na stronie tradycje i reminiscencje historyczne, powinniśmy byli wzajemnie się zbliżyć, łączyła nas bowiem jedna rzecz, a bardzo ważna, jeden wielki zaszczyt, ten, że świat miał nas w nienawiści. W oczach świata, t. j. w oczach kół, kierujących opinią publiczną i polityką, Polska i Węgry przedstawiały czynnik zachowawczy. Węgry, będąc w owej chwili w położeniu najcięższem, jakie się da pomyśleć, umiały jednak zgnieść bolszewizm u siebie i, zgniótlszy, stworzyć rząd narodowy, a rząd ten umiał skrzepować, sparaliżować wszelkie ku bolszewizmowi skłaniające się związki zawodowe i skasował loże masonskie, tę intelektualną i agitacyjną podstawę prądów przewrotowych.

Stanowczości tej i odwagi Polska nie miała i mieć nie chciała. Bolszewizmowi obłudnie przeciwstawiono u nas jakąś przez demagogów prowadzoną Polskę chłopską i robotniczą, jakąś złagodzoną kopję republik sowieckich. Ale było to przeciwne, przynajmniej wówczas jeszcze, naturze polskiej, wychowała nas przeszłość katolicka i szlachecka i wycisnęła na duszy narodu—znamię, którego nie mogły zmazać wysiłki naszych bolszewików. Słuszne były słowa, które Wojciech Dzierżuszki wkładał w „Mesjanizmie” swoim w usta dziwaka, mądrego Anglika: „Międzynarodowa klika znienawidziła was na równi z Kościołem

katolickim i ta właśnie nienawiść obudziła we mnie pewien szacunek dla was”.

Ludzi zasługujących na szacunek jest w Polsce wielu, bardzo wielu, ale nie zasługuje na szacunek polska myśl polityczna, co mówię—polska bezmyślność polityczna.

Ręki, którą Węgry wyciągnęły do nas, nie uścisnęliśmy. Ale nie tylko dlatego, że już wówczas fascynowała nas Rosja sowiecka: Węgry zaliczone zostały przez państwa Ententy do narodów „nieczystych”, myśmy zaś szli pokornie i bezmyślnie na pasku Francji, wystrzegając się wszelkiego dotknięcia do narodu „nieczystego”. Po zamachu majowym (1926) przyszły czasy nieco lepsze. W r. 1928 przybył do Warszawy w celu zawarcia i podpisania paktu o nieagresji ówczesny węgierski minister spraw zagr. p. Walko. Był człowiekiem zanadto inteligentnym, aby brać na serjo zabawkę, jaką był pakt taki między dwoma państwami niemającymi wspólnej granicy; ale mógł uważać i zapewne uważał to za pierwszy i może doniosły w następstwach krok, któryby pobudził Polskę do śmiałej a płodnej inicjatywy. Tak też zrozumiał misję pana Walko Francuz, przyjaciel Węgier, René Dupuis¹⁾. Przymierze polsko-węgierskie wzmocniłoby, zdaniem jego, Polskę przeciw Niemcom i wzmocniłoby, czego nie dodał, przeciw sowietom. Wzmocniłoby tem silniej, że dziś do przymierza tego niezawodnie przystąpiłaby Austria. Zbliżając się do Budapesztu — pisał — rząd polski tem samem przyjmował rolę arbitra między Węgrami a Małą Ententą, która przeciw Węgrom stworzona została. Państwowi środkowo-europejskim brakowało dotychczas punktu oparcia, tym punktem stałaby się Warszawa. Jedna tylko Polska mogłaby zebrać na gruncie neutralnym waśniące się strony i być ich tłumaczem (*truchement*) nie tylko we wzajemnych ich sprawach, ale i przed Europą. Zadanie wdzięczne. Ale do tego byłiby potrzebni ludzie o wielkiem sercu i szerokiej myśli.

Tych nie widać. Czytałem niedawno interesujący szkic p. Jana Starzewskiego „Zasadzki psychiczne służby zagranicznej”²⁾. Autor omawia tam „zniekształcenia profesjonalne” u dyplomatów, przedstawia ich niebezpieczeństwo. Zamiast ludzi wi-

¹⁾ René Dupuis „Le problème Hongrois” (Paris, 1931) poz. s. 76—84.

²⁾ W piśmie „Polityka Narodów” (Warszawa, 1933, Nr. 1—2).

dzimy, „widma ludzi“, ostrożnych w swych słowach aż do błęd-
nicy, piszących martwe raporty, W uroczystej sztywności swo-
jej zapominają że „*il vaut mieux ne rien faire, que faire des
riens*“. Czy może być inaczej? Ludzie żywi rodzą się tam, kędy
płynie ożywczy prąd idei. Zamiast ożywczych prądów wielkiej
idei żyjemy w wyziewach zgnilizny sowieckiej i dobrowolnie,
z rozkoszą zgniliznę tę wchłaniamy w siebie.

VI.

FRANCJA, WĘGRY, POLSKA ¹⁾

Wiedeński korespondent *Czasu* słusznie określił toczące się w Brucku (1921 r.) układy między Węgrami a Czechami, jako wielką dyplomatyczną przegraną Polski. Sam fakt, że rozpocząć się mogły, już świadczył o kapitulacji Węgier, o wyrzeczeniu się z ich strony wszelkich roszczeń do ziem, stanowiących odwieczną własność Korony św. Stefana, a przez traktat wersalski przyznanych Czechom. Oczywiście, nie z dobrej woli żegnali się Węgrzy z nadzieją odzyskania Słowaccyzny i Ruskiej krainy. Uczynili to pod przymusem, wskutek rozpaczliwej sytuacji, w której ujrzeli siebie, wobec lodowatego milczenia, jakim stale u nas, w naszej dyplomacji, odpowiadano na wszelkie z ich strony zabiegi w celu zbliżenia się do nas.

Niedawno bawiąc w Warszawie, wyraźnie odczułem tam, w kołach, czerpiących natchnienia swoje z ulicy Miodowej, atmosferę nierezonującego filoczeskiego entuzjazmu, nierezonującej ślepej wiary w czeską życzliwość i uczciwość. „Węgry — mówiono mi — są fałszywym przyjacielem; przychodząc z propozycją pomocy w sierpniu, chcieli nas wplątać w awanturę, z której byśmy się nie wyplątali“. To zaś, że Czesi wówczas „ostrzyli noże swoje“ na nas, polegało, jak mi tłumaczono, na nieporozumieniu, którego winę ponosimy przede wszystkim my sami, nasza uparta nieustępliwość w sprawie Śląska Cieszyńskiego.

Z drugiej strony słyszymy również o zdumieniu ludzi nam obcych, ale nie obcych polityce, żeśmy dopuścić mogli do układów czesko-węgierskich; czyśmy już zrezygnowali — pytają — z rze-

¹⁾ Jacques Bainville: „Les conséquences politiques de la paix“ (Paris, 1921).

czy tak niezbędnej dla nas, jak wspólna z Węgrami granica? Odpowiedź na pytanie wydaje mi się łatwą i prostą; tylko, niestety, upakarzającą jest dla nas. W ciągu 150 lat niewoli nauczyliśmy się dostosowywać do myśli i woli tych, co panowali nad nami, a oduczaaliśmy się od myślenia własnymi mózgami. Zwłaszcza w zaborze rosyjskim uchodziło to za szczyt mądrości politycznej odgadywać, czego od nas chciano w Petersburgu i według tego postępować. Okoliczności się zmieniły, ale tą samą drogą kroczymy nadal. Miejsce Petersburga zajął Paryż. Daleką, ma się rozumieć, jest ode mnie myśl protestowania przeciw instynktowi całego narodu, który słusznie się zwrócił do Francji, w niej oparcia szukając. Wśród wielkich mocarstw Francja jedynem jest życzliwie dla nas usposobionem. Lecz właśnie dlatego zrozumieć powinniśmy, że z innem należy nam iść do niej uczuciem, niż to, które cechowało nasz stosunek do Rosji. Dla Rosji byliśmy katorżnikiem, którego duszę zadręczyć, a siły wyzyskać chciała; Francja widzi w nas sprzymierzeńca — i w interesie jej leży, aby sprzymierzeniec ten był silny. Mamy więc i prawo i obowiązek szczerze z Francją mówić o tem, co za warunek siły naszej uważamy, a to tem bardziej, że w poglądzie na Rosję nie znaleźliśmy tam dotąd ani śladu zaciętrzewionego jakiegoś doktrynerstwa; przeciwnie, stwierdzamy rzetelną i usiłującą ponad wszelkie uprzedzenia się wznieść troskę o przyszłość i dobro ojczyzny.

Z tego stanowiska napisał redaktor głośniego dziennika *Action française*, Jakób Bainville, swoją książkę o politycznych konsekwencjach pokoju.

Francja więcej, niż kto inny, przyczyniła się do stworzenia Czecho - Słowacji; ale czy w razie potrzeby może ona liczyć na pomoc czeską? Pytanie to postawił Bainville.

Czechy, rozumuje on, mają w obrębie swoim koło trzech milionów Niemców, — i to nakazuje im być bardzo ostrożnymi, „ostrożność zaś nazywa się inaczej neutralnością, od neutralności zaś bezwarunkowej, absolutnej tylko krok jeden do poddania się“ (*asujétissement*)...

Anglia, — dowodzi dalej autor — zniszczywszy flotę niemiecką wojenną i handlową, dopięła swego celu; Włochy, zagarnąwszy nie tylko włoskie, ale nawskroś niemieckie obszary

dawnej monarchji Habsburgów i prześcigając w zaciekłości zacieklą politykę wynarodowienia, którą przed wojną prowadziły w ziemiach polskich Rosja i Prusy, usiłują wytępić w Połudn. Tyrolu wszelkie ślady niemieckości. Obydwa państwa przestały interesować się Francją. Francja stoi więc sama naprzeciw Niemiec, które wypłacić jej muszą kontrybucję ogromną, taką, że jeszcze przyszłe pokolenie uiszczać się z niej będzie. Niemcy poczytują to za krzywdę, Francja zaś ze względów ekonomicznych w żaden sposób należnego jej odszkodowania wyrzec się nie może. Słowem, możliwości porozumienia między obu narodami autor nie przewiduje — nawet w razie znacznych ustępstw ze strony Francji; „Zresztą — dodaje on — nad tą ostatnią hypotezą lepiej się nie zatrzymywać; nawet myśleć o niej niebezpiecznie“. Czyli sytuację mamy tę samą, co po roku 1871; tylko role się zmieniły, bo odtąd Niemcy ideą odwetu żyć będą. Jest zaś ich 60 milionów przeciw 40 milionom Francuzów, że zaś ludność Francji się nie zwiększa, więc stosunek ten w przyszłości mniej jeszcze korzystny będzie dla Francji. W dodatku Niemcy teraz, po upadku dynastji swoich i tronów, stanowią jedność mocniej jeszcze zwartą, niż przed tem. Pobito ich, zdawało się, że zmiażdżono, tymczasem z wojny wyszli wzmocnieni i skonsolidowani. Ażeby temu zapobiec, jeden był sposób: sprzyjać wszelkimi środkami wszystkim tendencjom partykularystycznym; ale te miały właśnie podstawę swoją w dynastjach, które zwalono...

Krótkowzroczność twórców traktatu potępia Bainville najmniej energicznie, niż Dillon w swojej głośniejszej książce. „Czterech panów — pisze on — zasiadło w Wersalu, ażeby Europę obdarzyć pokojem; władza ich była ogromna, taka, jakiej nigdy jeszcze nie widziano; mieli losy ludzkości w ręku“. Ale, niestety, nie tyle byli mężami stanu, ile teologami; teologiem nawet był tak antyteologiczny w pozorach swoich Clemenceau, tylko teologiem nie Biblii, lecz idei ewolucyjnej. Ewolucja zaś zabrania w czemkolwiek bądź cofnąć się wstecz, więc jeśli jedność swoją osiągnęli Niemcy już przed pół wiekiem, to byłoby pracą daremną usiłować ją teraz osłabić. W rezultacie „zbałkanizowano połowę Europy, byle nie zbałkanizować Niemiec“ — i stworzono dzieło nielogiczne, w którym jedno z drugim się nie trzyma.

Wśród nowopowstałych państw jedna Polska, według Bain-

ville'a, jest naturalną sojuszniczką Francji, jej strażnicą na wschodzie. Ale cóż stąd, skoro jest tak słaba! Wszystkie nowoczesne państwa i państewka zawdzięczają — dowodzi autor — swój rozwój i swoją moc zasadzie monarchicznej; te narody, co nie miały dynastji wskazanej im przez historję, szukały panującego wśród obcych dynastji; powołany monarcha nacjonalizował się prędko, przynosił ze sobą stosunki z zagranicą, doświadczenie polityczne, metody rządzenia, nieraz nawet — jądro personelu administracyjnego; obecność jego działała uśmierzająco na walki stronnictw, Polska tego nie chciała, *elle essaye denouveau ce qui l'a jadis tuée*...

A położenie jej jest gorsze, niż Francji, najgorsze, jakie się da wyobrazić. „Wzięta we dwa ognie potrzebuje nieustającej opieki i pomocy naszej“. Rozdarcie Prus przez korytarz gdański i odebranie im Śląska Górnego — oto dwa dziś najdotkliwsze, zdaniem Bainville'a, ciosy dla Niemiec. Odtąd polityka ich wytężona będzie ku zniszczeniu Polski. Dopiero po usunięciu z drogi tej wschodniej strażnicy Francji można będzie na Francję się rzucić. Pamiętajmy zaś, że wojska Rosji bolszewickiej, która prowadzi dalej politykę caratu, stały w sierpniu pod Warszawą; sądzono powszechnie, że wybiła ostatnia dla Polski godzina, i w Berlinie czekano na to. „Cud nad Wisłą“ przeszkodził wykonaniu szeroko przez Niemcy pomyślanego planu; odłożyły to na później; przygotowania jednak wszystkie istnieją i „posłużą innym razem“... „asystowaliśmy przy jeneralnej repetycji niemieckiego odwetu“... „mieliśmy przed sobą obraz grożącej nam katastrofy; *c'est ce qu'on appellera l'alerte de 1920*“. A Czechy co na to? „P. Tušar zajmował się organizowaniem Ligi neutralnych skierowanej przeciw Polsce, a zatem na korzyść Niemiec“...

Rozbieżność w dążeniach politycznych między Polską a Czechami, czyli między obu państwami, na których Francja oprzeć się chce, każe autorowi poruszyć kwestję federacji naddunajskiej. Gdyby jednak federacja taka mogła dojść do skutku, „to pierwiastkiem twórczym byłaby narodowość nie najliczniejsza, lecz najtęższa i najwięcej ducha wojskowego mająca w sobie“. Węgrzy albo Jugosłowianie, albo Węgrzy. Węgrzy „mają zmysł narodowy silny i wolę twardą“ ... „jedni z pierwszych w Europie stanęli przeciw rewolucji i zdołali ją stłumić u siebie, zdają się powo-

łani do skryształizowania wszystkich żywiołów zachowawczych w sąsiedztwie swoim". Bainville chciałby z tego powodu jakieś ententy między Węgrami, Rumunją i Bułgarią, ale czy jest to możliwe — zapytuje — czy Węgry nie będą grawitowały w stronę Berlina?

Z toku myśli jego wpływa, że strażnicą wschodnią Francji, wierną i pewną może być tylko Polska, ale Polska silna, więc złączona ścisłym przymierzem z Węgrami. Wyraźnie tego Bainville nie powiedział, zostając pod wpływem tak powszechnego we Francji uprzedzenia przeciw madyaryzmowi, natomiast bardzo wyraźnie zaznaczył on charakter, jaki zdarzenia lat ostatnich nadały Francji, wydobywając z duszy narodu „instynkt głębokiego wstrętu do ducha rewolucji w jego azjatyckich postaciach“, ... „nie domyślając się tego, Francja stanęła wszędzie w Europie na czele potęg, opierających się machinacjom bolszewickim“ ... „już nie pociągamy, jak niegdyś, ludzi z lewicy, za to konserwatyści świata całego zwracają oczy swoje ku nam“ ... „przestaliśmy oddawna, zwłaszcza zaś od Warszawy, faktorować rewolucjom, jesteście antytezą bolszewizmu i anarchji“...

Ale za tym zdrowym instynktem narodu polityka rządu idzie dotąd krokiem żółwim, ociągając się i oglądając na wszystkie strony. Zanadto ulega wpływom żywiołów krańcowych, które w ciągu 50 lat rządziły Francją, nie umie się wyzwolić z rozmaitych pozostałości psychozy wojennej. Popierając nawpół bolszewickie nowotwory państwowe, a odmawiając poparcia jednemu narodowi, który miał odwagę pod znakiem krzyża i korony św. Stefana wystąpić do jawnej walki z bolszewizmem, nie jest ona ową „antytezą anarchji“, jakąby chciał w niej widzieć Bainville.

Lecz głos instynktu, czyli to, co jest irracjonalne w duszy człowieka, głębszym i silniejszym bywa nad wszelkie rezonowania i w końcu bierze górę. W tym zaś wypadku instynkt godzi się z rozumem politycznym. Więc zamiast niewolniczo nadsluchiwać, co mówią w Paryżu, w ministerstwie spraw zagr., dyplomaci nasi mieliby nierównie wdzięczniejsze zadanie, gdyby z własną inicjatywą w rozmowach swoich z Francją wystąpić zechcieli.

„Ofiarujemy wam pomoc — mówili nam delegaci węgierscy w sierpniu r. 1920, ale nie możemy wam jej narzucać; waszą to jest

rzeczą jej żądać i nam wobec aljantów waszych drogę ułatwiać". Ale pomocy tej nie zażądano, aby się nie narażać tym, którzy wówczas, na równi z Niemcami, cieszyli się z niepowodzeń naszych i przeszkadzali dowozowi amunicji...

Wmawiać sobie i innym, że Węgrzy, z którymi nas łączy absolutna tożsamość interesów, są naszym ukrytym wrogiem, rzeczywistym zaś przyjacielem są Czechy, od których chwilowo nas oddala drobne, przelotne nieporozumienie — to znaczy chcieć widzieć rzeczy inaczej, niż one są, a to jest — powtórzmy za Bainville'em słowa Bossuet'a — „największą rozpustą umysłu“ (*le plus grand déreglement de l'esprit*).

VII.

WĘGRY, CZECHY, POLSKA ¹⁾

Korytarz czeski w kierunku Rosji — czytamy w broszurze A. Dorien'a — otwiera bolszewizmowi drogę do Europy; wobec tego tylko wspólna polsko - węgierska granica stanowiłby mogła zaporę przeciw niebezpieczeństwu bolszewickiemu: Nie jest to naturalnie spostrzeżenie nowe. Poruszałem to już nieraz, *Czas krakowski* tę samą kwestję podnosił przy każdej sposobności. Teraz p. Dorien sumiennie ją i wszechstronnie rozpatrzył i wyświecił, stawiając nas w końcu przed tą przygniatającą oczywistością, że „Czechy zamykają żelazną sowiecko - niemiecką obręcz, która ścisnęła Polskę”. Złamać tej obręczy niema możliwości. Więc co robić? „Uderzyć w pokorę — odpowiadają nam — przepraszyć Czechy za wszystkie dawniejsze złe humory z powodu utraty Cieszyna i prosić o opiekę; wszak pewniejsi są i lepsi od bolszewików i od Niemców“...

Oto sytuacja, w którą z karygodną lekkomyślnością wepchnęli nas byli kierownicy naszej polityki zagranicznej. Na przyjacielskie propozycje węgierskie, na ofiarowywaną przez nich pomoc w epoce napaści bolszewików odpowiadano albo tchórzliwym milczeniem, albo nieprzystępną pychą. Jakgdyby przymierze z Francją, a raczej zależność od niej równała się zakazowi układów czy rozmowy z państwem, w którym panowali Habsburgowie i które ich nie zdradziło! Nie zadano sobie trudu sprawdzić, jakie poglądy na sprawę Węgier ścierały się ze sobą w Paryżu i czy ci, co na czele rządu tam stali, byli rzeczywiście tylko manja-

¹⁾ A. Dorien: „La question d'une frontière commune entre la Pologne et la Hongrie“ (1921).

kami, dla których rzeczą najpilniejszą był nie interes Francji, lecz naprzykrzanie się tym, którzy w czasie wojny po stronie niemieckiej walczyli zmuszeni do tego niezależnymi od nich warunkami. Gorzkie owoce tych przeoczeń, tej ciasnoty widnokręgu i tchórzostwa myśli musi teraz zbierać obecny minister spraw zagranicznych.

Z tych przeoczeń naszych w zakresie pośredniczenia między Węgrami a Francją przedewszystkiem, potem między Węgrami a Rumunją, z dobrowolnego ustąpienia ze stanowiska, zajęcie którego wprost niezbędnem było dla podniesienia naszego moralnego i politycznego autorytetu, — słowem z bezmyślnej ślamazarności naszej, znakomicie skorzystał sprytny i wytrwały gracz, jakim jest min. Beneš. Zawarłszy sojusz z Rumunją i Jugosławją, osaczywszy i obezwładniwszy Węgry, łaskawie im obiecał swoją wszechmożną protekcję, podejmując się roli ich adwokata wobec reszty państw małej Ententy. Polska znalazła się „poza nawiasem” jak wyraża się *Czas*, i płacić musi „koszta nieodświadczenia swych kierowników”. Pozostaje jej — pisze *Dziennik Poznański* — smutnie stanąwszy na uboczu, rozmyślać o zręczności min. Benesza, który „niejako pod nosem dyplomacji polskiej” stworzył małą Ententę i w jej orbitę wciągnąć chciałby Węgry.

Jeśli mamy w Czechach szczerego, wypróbowanego i szlachetnego przyjaciela, to jest nim Adolf Černý. Niedawno, jak się dowiadujemy, umieścił on w *Prager Presse* artykuł, w którym przepowiadając bliskie urzeczywistnienie upragnionej polsko-czeskiej ugody, oparł swój optymizm — na czym? na naszym osamotnieniu politycznem. Innego wyjścia dla nas, jak zbliżenie się do Czech, zdaniem jego, niema. Tę myśl jego podchwyciono w Czechach, zalewając ją nacjonalistycznym sosem. Więc cześć i chwała Beneszowi, który osamotnienie Polski przeprowadził i Węgry od Polski odciągnął. Dzięki temu z ugodą Czechom śpieszyć nie trzeba; Polskę — woła *Trybuna* — trzymamy w ręku — i jeśli do nas chce iść, niech wie, że krzywdzącego Rosję traktatu ryskiego nie uznajemy i obecność polskich wojsk Żeligowskiego na Litwie potępiamy.

Słowem, dla przypodobania się Francji, tej potężnej aliantce i protektorce, wypuściliśmy z rąk taki atut polityczny, jakimby

mogła być przyjaźń z Węgrami i dopuściliśmy zamknięcie siebie w jednej obręczy, Węgier—w drugiej. Ale czy przynajmniej było to rzeczywiście życzeniem Francji, czy leżało w jej interesie? Na to drugie odpowiadamy energicznym *nie*. Niestety, polityka Francji na wschodzie Europy nie była i nie jest dotąd ani stanowcza, ani wyraźna. Powojenna antyniemiecka psychoza, przedwojenne rosyjskie sympatje i wreszcie zaciągnięte w czasie wojny zobowiązania względem formacyj państwowych, które na gruzach Austro-Węgier powstały, mącą tam wzrok i stają w poprzek istotnym interesom. Dotąd tułają się tam po dziennikach ministerjalnych (np. *Temps*) utopje o przyszłym polsko - rosyjskim przymierzu, skierowanem przeciw Niemcom; więc przestrzegają nas, byśmy nie marzyli o rozszerzaniu się ku wschodowi i nie dążyli do osłabienia Rosji, a nie rozumieją, że przyszła Rosja, jakakolwiek będzie, zostanie sprzymierzeńcem naturalnym Niemiec, że ostrze tego przymierza przedewszystkiem przeciwko nam się zwróci i że przeto ze wszystkich konieczności politycznych najpilniejszą dla Francji, najbardziej nagłą jest wzmocnienie Polski.

Co się zaś Węgier tyczy, to stosunek Francji do nich, zarówno opinji publicznej, jak i polityki, był od początku szczególnie chwiejny. Zrazu pisano, nawet w dziennikach konserwatywnych, o gruntownem wykorzenieniu madyaryzmu z Europy, po tem spostrzeżono się, że jednak ten madyaryzm jest elementem ładu, mogącym skupić koło siebie wszystkie inne elementy ładu tam, na wschodzie, ale nie chciano wyciągać stąd wniosków, ażeby nie przeszkadzać rozwojowi własnego dzieła, jakim było państwo Czechosłowackie.

Ale przecie Czechy poszły w kierunku niezbyt dla Francji pożądanym. Nie przeciw Niemcom, jakby tego życzono we Francji, stworzoną została mała Ententa, lecz wyłącznie przeciw Węgrom. Państwo węgierskie składało się z 63 komitatów, obecnie ma ich tylko 23! I Czechy wraz z Jugosławią i Rumunją są wobec Węgier absolutnie tym samym związane węzłem, jaki łączył mocarstwa rozbiorowe względem nas, czyli są spółką zbrojecką, albo, delikatnie mówiąc, Towarzystwem wzajemnych ubezpieczeń. Antywęgierski zaś charakter tego szanownego towarzystwa tem samem zmusza do daleko idącej ustępliwości wzglę-

dem Niemiec, idącej na rękę planom angielskim i włoskim. We Francji zaczynają już rozumieć, że wszystkie naddunajskie, t. zw. sukcesyjne państwa przeznaczone są stać się łupem gospodarczej ekspansji niemieckiej.

Co wobec tego mają począć Węgry przez wielką Ententę na łup małej Entencie wydane? Naturalnie, innej drogi nie mając, ubiegać się muszą o życzliwość Niemiec. Polityka polska (czy polsko-francuska) automatycznie ich w objęcia germanizmu rzuca. Między ofiarą, a jej napastnikami nastąpić musi w stosunku do Berlina licytacja *in plus*—i Węgrom pozostaje się oprzeć na potężnym w Czechach elemencie niemieckim, co tem bardziej się przyczyni do przewidywanego już przez J. Bainville'a uzależnienia Czech od polityki niemieckiej.

Przypomnijmy jeszcze, że tak ciężkie dla Węgier warunki traktatu w Trianon zaostrożono żądaniem wykluczenia dynastji od tronu. Takie brutalne wmieszanie się obcych mocarstw w wewnętrzne sprawy narodu — przyczem wysunięto na czoło, w czasie próby powrotu uczynionej przez króla Karola, interwencję Francji—oczywiście wzmocniło patriotyzm węgierski i osiągnęło skutek wręcz przeciwny zamierzonemu. Autorytet dynastji, który upadł po katastrofie 1918 roku, znów począł wzrastać — i pod grozą ultimatum opuszczający Węgry Karol IV zyskał w oczach kraju aureolę patrioty-wygnańca, prześladowanego przez obcą przemoc.

I to otworzyło oczy Francji, może nie całej, lecz w każdym razie—ludziom i stronnictwom, idącym w rozmaitych, nawet przeciwnych kierunkach. Więc z jednej strony monarchistyczna *Action Française*, z drugiej głośnie dzienniki, jak *Matin*, *Echo de Paris*, *Eclair*, *Excelsior*, *Liberté*, rozpoczęły kampanję za powrotem Habsburgów, bo to jedno mogłoby postawić zaporę przeciw pochłonięciu Austrii przez Niemcy i przeciw poddaniu Węgier supremacji włoskiej. Ze szczególną energią przemówił w tej sprawie na szpaltach *Eclair* p. Emil Buré, były współpracownik Brianda, równocześnie zaś hr. Juljusz Andrassy podniósł w rozmowie z korespondentem *Echo de Paris*, że powrót króla Karola pociągnąłby za sobą utworzenie bloku antyniemieckiego; Węgry, Polska i Rumunja.

To wszystko dowodzi, że antymadjaryzm nie stanowi nie-

wzruszonego artykułu wiary w *Credo* politycznem Francji. A zatem należałoby w porozumieniu z Francją zbadać i wyjaśnić sprawę naszego zbliżenia do Węgier, nie bacząc na głosy ulicy, na okrzyki zgrozy ze strony figur, których ideałem w czasie wojny był rozszerzony przyłączeniem „gubernji” krakowskiej „Prywiślinskij Kraj”.

Jeden ze znawców stosunków węgierskich pisał w *Czasie* (z 8 czerwca 1921), że „od chwili powstania małej Ententy pod egidą Włoch, a wbrew interesom i dążeniom Francji, i Francja i Polska muszą jasno spojrzeć w oczy nowej sytuacji i nakreślić nowy plan swej polityki we wschodnio-środkowej Europie”... „Francja, której wpływ został tam tak znacznie ograniczony, i Polska postawiona między Rosją, Niemcami, a małą Ententą, muszą znaleźć przeciwwagę wobec wrogich im potęg — i w pierwszym rzędzie wchodziłyby tu w rachubę Węgry”. Ten naród patriotyczny, z krwi i kości żołnierski, z tak wybitnymi organizacyjnymi i politycznymi zdolnościami, obrawszy sobie, w odpowiedzi na dokonane na nim rozbiory, za hasło: „nie, nigdy”, zabrał się z niesłychaną energią do pracy i osiągnął w zakresie konsolidacji politycznej, społecznej i gospodarczej wprost zdumiewające rezultaty. Pomimo gospodarki bolszewickiej i rabunków rumuńskich Węgry są dziś, w porównaniu z nami, krajem bogatym; państwo, choć podbite i podzielone, zdołało dwa razy potroić swoją walutę w stosunku do nas; minister skarbu zapowiedział wstrzymanie prasy bijącej banknoty.

Ale skoro tak bezmyślnie, czy też rozmyślnie, zaniedbano u nas wszelkich starań w rzeczy tak pilnej, tak niezmiernie na całą przyszłość ważnej, jak stworzenie wspólnej granicy z Węgrami, to w jaki sposób — powtarzamy postawione na początku pytanie — mamy poza ściskającą nas obręczą wyciągnąć rękę do Węgier i czy wyciągnięcie to i zbliżenie się do nich mogłoby mieć jakąś realną dla nas wartość?

Słyszymy z wielu stron odpowiedź, że *nie*, że pozostaje nam jedno: apel do wspaniałomyślności czeskiej — i że wszystkie nadzieje złożyć trzeba w akcji miłego Czechom obecnego posła naszego w Pradze.

W końcu grudnia 1918 roku, w epoce Moraczewskiego, zapytano mię — nie oficjalnie, lecz przez osobę trzecią, ale zaufa-

na, — czybym przyjął poselstwo w Pradze. Widocznie rachowano na moją znajomość spraw słowiańskich, na moją przedwojenną działalność w kierunku zbliżenia Słowiańszczyzny zachodniej do Polski, na długoletni, dobry, koleżeński stosunek, który mię łączył z prez. Masarykiem od roku 1890 aż do wybuchu wojny. Odpowiedziałem bez wahania, a odmownie. Jasną już wtedy rzeczą była dla mnie absolutna, *fatalna* niemożliwość porozumienia się, ściślej mówiąc, *zrozumienia* się z Czechami — i równie jasno widzę teraz, że misja posła naszego w Pradze, gorącego przyjaciela Czechów, Erazma Piltza, przypuszczając nawet dobrą wolę ze strony polityków czeskich, nie wyda owocu. W najlepszym razie dadzą się naprędce i na krótko załatać jakieś tam dziury.

Gdyby źródłem niechęci i nieufności w społeczeństwie naszym względem Czech był tylko Śląsk Cieszyński, gdyby innych przeciwieństw, jak polityczne i ekonomiczne, między nami, a nimi nie było, to przy wielkich z obu stron staraniach i wielkiej zręczności zdołanoby może nad przepaścią, dzielącą oba narody, przeciągnąć jakiś, naturalnie chwiejący się, niepewny most. Ale przeciwieństwa leżą tu głębiej, sięgają aż do dna duszy narodu, duszy zaś swojej żaden naród z dnia na dzień nie zmieni.

Najgłębszą zaś treść duszy czeskiej stanowi idea słowiańska. Pod hasłem idei tej nastąpiło odrodzenie narodu czeskiego na początku wieku zeszłego. Czesi są jedynym na świecie narodem z wielką przeszłością historyczną, który nie odróżnia w sobie pierwiastka narodowego od pierwiastka plemiennego; każdy Czech jest w świadomości swojej Czecho-Słowianinem (*Čecho-Slovan*). Wielu, wielu znałem Czechów, ale mógłbym na palcach zliczyć tych, co byli Czechami tylko, bez dodatku słowiańskiego. Takim był prez. Masaryk i gdy pierwszy raz to wygłosił, jako twórca stronnictwa realistycznego, (t. j. na gruncie rzeczywistości stojącego, nie zaś na marzeniu) poczytywano to mu za dziwactwo i dziwactwo to przysparzało mu wielu niechętnych.

Ale czecho-slawizm byłby rzeczą obojętną dla nas, albo w niektórych wypadkach nawet sympatyczną, bo ułatwiającą nam stosunki z pobratymczym narodem, gdyby nie to, że wskutek warunków historycznych idea słowiańska odrazu przybrała w Czechach charakter jaskrawo rosyjski. W walce z germanizmem je-

dyną oporą ideową, miłością i nadzieją była daleka, potężna Rosja. Tą nadzieją karmił się, żył naród czeski aż do wybuchu wojny — i doczekał się jej urzeczywistnienia. Czyli „Čecho-Slován“ był w głębi duszy swojej czecho-rosjaninem — i w tem tkwiło niebezpieczeństwo dla nas. Rosyjskie sympatje w Czechach i wogóle w Słowiańszczyźnie dawały znakomity atut do rąk nacjonalistycznym stronnictwom w Rosji w ich rusyfikacyjnych zapędach. Czechy stawały się posterunkiem rosyjskim na Zachodzie przeciwko nam, jako „zdrajcom idei słowiańskiej“. Z tem walczyłem, na tem polegała moja działalność słowiańska, tą myślą się kierowałem, zakładając z prof. Marjanem Sokołowskim „Klub Słowiański“ w Krakowie, oraz pismo „Świat Słowiański“. Starłem się wytworzyć nie antyrosyjski, bo to było niemożliwe, ale przynajmniej antycarski prąd na Słowiańszczyźnie. Jeden z agentów rosyjskich na Austrię, Dymitr Wergun, denuncjował mię w „Słowiańskim Wieku“, jako najzaciętszego wroga Rosji, jako twórcę katolickiego panslawizmu i wskrzesiciela idei Jagiellońskiej, „usiłującej złączyć w jedno Polskę, Czechy i Kroację“. Niestety, wszystko to było tylko pragnieniem mojem, któremu wcale nie odpowiadały wyniki pracy. Miałem przyjaciół, nawet kółka przyjacielskie i pisma, np. „Slovansky Přehled“ zacnego A. Černego w Pradze, ale wszystko to było bez wpływu.

Każdego roku odbywały się w Austrii zjazdy dziennikarzy słowiańskich. Jeździliśmy na nie, aby obecnością swoją paraliżować wpływy wrogich nam żywiołów, usiłujących zjazdy te przekształcać w wielkie rusofilskie manifestacje.

Na jednym z takich zjazdów w Raguzie, w roku 1901, starłem się bardzo ostro z Dym. Wergunem. Zaraz potem największa gazeta czeska *Narodni Listy* umieściła denuncjatorski artykuł wstępny przeciw mojej osobie i moim niesłowiańskim i antyrosyjskim knowaniom. Od tego też czasu aranżerowie zjazdów poczęli uważać obecność moją za niepożądaną i używać rozmaitych wybiegów, aby mnie do głosu nie dopuszczają. W zabawny sposób wyszło to na jaw w Abbazji, wiosną r. 1905. Na Zjazd ten pojechałem wprost z Moskwy, z pierwszego polsko-rosyjskiego Zjazdu, który się odbył w gościnnym domu p. Al. Lednickiego i na którym obecni Rosjanie (kwiat inteligencji) uchwalili popierać polskie żądania autonomiczne. W Abbazji postanowiłem prze-

forsować uchwałę z wyrazem sympatji dla Zjazdu moskiewskiego i dla tych opozycyjnych grup rosyjskich, które oświadczyły gotowość wywieszenia na sztandarach swoich hasła autonomji polskiej. Ale uchwała taka byłaby ze stanowiska Słowian skandalem, oznaczałaby votum nieufności względem oficjalnej polityki rosyjskiej, a zatem „zdradę“ idei słowiańskiej w jej prawowiernej rosyjskiej szacie. Odrzucenie zaś mego wniosku mogłoby narazić na przykrości ze strony polskiej. Więc dla załagodzenia sprawy chwyciono się następującego fortelu: w porozumieniu z kilku dziennikarzami polskimi, zabarwienia nacjonalistycznego, dla których wszelka Rosja: carska i antycarska, oficjalna i antyoficjalna, była równie wstrętna, obrano mię wice-prezesem Zjazdu i uproszono, abym referat swój wycofał, natomiast myśli w nim wyrażone mogłem wygłosić, jako wice-prezes, w wielkiej powitalnej mowie. Mowy zaś takie, ze względu na swój uroczysty charakter, nie pociągają za sobą ani dyskusji, ani uchwał, a właśnie tego uniknąć chciano. Musiałem się zgodzić. I cóż? Zaledwo do wrażeń moich z moskiewskiego Zjazdu przeszedłem, jak na całej sali powstaje pomruk: „to polityka, dość, nie chcemy słuchać“. A kto rozpoczął i rej w tem wodził? Sekretarz Zjazdu, przyjaciel nasz, sympatyczny i kochany człowiek Fr. Hovorka. — Proszę teraz wejść w psychikę narodu, w którym człowiek uczciwy, wykształcony, znający nasz język, historję i literaturę, zżyty z nami, uważał za rzecz niedopuszczalną słowo, powiedziane w obronie Polski, gdy się zwracało przeciw Rosji, przeciw rusyfikacyjnej polityce rządu.

Przez ideę słowiańską wszedł w krew i kość narodu czeskiego kult Rosji, — Rosji, jako siły, bez względu na to, jaką siła ta jest, carską, czy bolszewicką. Słusznie powiedziano, że „cała geneza państwa czeskiego powstała na idei militarne go oparcia Czech o Rosję i ekonomicznej jej eksploatacji przez handel i przemysł czeski“ (Czas z 12.V-1917). Dlatego tak domagają się Czechy czesko-rosyjskiego korytarza przez Galicję Wschodnią, stąd podziemna ich tam robota, stąd alarmujące w prasie czeskiej artykuły i depesze o prześladowaniu Rusinów przez Polskę, o niecierpliwości, z jaką ludność ruska oczekuje wyzwolenia z pod jarzma polskiego.

Ale choć *czesko-rosyjskość* tak głęboko zapadła w duszę

czeską, nie chcę twierdzić, że każdy Czech jest „*čecho - slovan*“, t. j. mówiąc ściślej, „*čecho-rus*“. Przed laty jeden z najgłośniejszych dziś polityków czeskich, Karol Kramár, powróciwszy do Pragi po dłuższym pobycie nad Newą, przedstawił w szeregu artykułów wrażenia swoje. Były one jednym wielkim hymnem entuzjazmu na cześć Rosji i jej polityki. Więc wysławiał autor także mądrą i przewidującą politykę rusyfikacyjną rządu w Król. Polskiem, jedną tylko dodając nieśmiałą uwagę, tę mianowicie, że owa polityka całkowicie słuszną będąc w stosunku do szlachty polskiej, bywa, niestety, czasami trochę „za mało obiektywną“ wobec ludu polskiego.

Przeciw monstrualności poglądu tego ostro wystąpił wówczas dzisiejszy prezydent Masaryk, nie ze szczególnej jakiejś do nas sympatji, — tej w nim nigdy nie dostrzegłem, ideowo stał zbyt daleko zarówno od patriotycznej tradycji naszej, jak i od zabarwionej konserwatywnie polityki Koła Polskiego w Wiedniu. Ale napiętnował — i to w wyrazach silnych — rusyfikowanie Królestwa Polskiego, zrobił to ze stanowiska nie słowiańskiej, lecz *humanistycznej* idei sprawiedliwości. W humanizmie, w ideale *der reinen Menschlichkeit* (*čisto človectvi*) upatruje Masaryk, zgodnie z poprzednikiem swoim, Palackim, nic wiążącą odrodzenie czeskie w w. XIX z reformacyjnym ruchem religijnym czeskim w w. XV z Husem i Chelczyckim.

I na humanizmie stojąc, był Masaryk, przynajmniej przed wojną, stanowczym przeciwnikiem wszelkiego nacjonalizmu, wszelkiej słowiańsko-rosyjskiej polityki w Czechach, jako przesiąkniętej nienawiścią do Niemiec. Chciał porozumienia i zgody z żywiołem niemieckim w ojczyźnie swojej, trzymał się zdaleka od panslawistycznych knowań, ostentacyjnie nie brał udziału ani w dziennikarskich zjazdach słowiańskich, ani w zainicjowanym przez pp. Kramařa i Dmowskiego kongresie słowiańskim w Pradze, w r. 1908. Natomiast sympatyzował Masaryk z agitacją czeską na Słowacczyźnie Węgierskiej, uważając kraj ten za odłam Czech.

Więc jeśli prez. Masaryk dziś jeszcze ten sam pogląd na stosunki czesko-niemieckie wyznaje i jeśli ma za sobą idącą pod temże hasłem grupę zwolenników, to oczywiście grupa ta dążyć musi do porozumienia z Niemcami. Jest to postulatem zarówno

idealistycznego humanizmu, jak i tej *realnej* polityki, którą Marsaryk całe życie głosił. Niemcy stanowią w dzisiejszem państwie czeskiem żywioł zbyt silny liczebnie i kulturalnie, ażeby wolno było go lekceważyć.

Czyli w ściskającej nas żelaznej obręczy jej czeska część ma nietylko zewnątrz, ale i wewnątrz (t. j. duchowo) dwie strony, dwa oblicza: jedno zwrócone ku Rosji, drugie ku Niemcom. Czesi stają się ogniwem, łączącym ze sobą te dwa najgroźniejsze kolosy państwowe, które w przeszłości dokonały rozbioru Polski i w przyszłości mogą ten wspólny cel sobie postawić.

Wynika stąd, że zachowanie niepodległego bytu państwowego w tej strasznej obręczy nakłada na nas obowiązek niesłychanych wysiłków i trudów. Więc jedno z dwojga: albo jeśli nie czując się zdolnymi do tego, zgadzamy się już na skromne autonomiczne bytowanie w jakiejś przyszłej Rosji, to oczywiście powinniśmy już dziś dążyć do jaknajściślej łączności i przyjaźni z Czechami, którzy mogliby dla nas być pożytecznymi opiekunami w owej przyszłej rosyjsko-słowiańskiej federacji, stanowiącej ostateczny cel ich polityki — albo, jeśli pragniemy niepodległość państwową zachować, to niema dla nas innego wyjścia, jak przełamać straszną obręcz, w której nas zamknęto, ażeby podać rękę Węgrom, jako jedynemu narodowi, z którym nas łączy tożsamość moralnych, politycznych i ekonomicznych interesów. Jedynym środkiem do tego zniesienie prowizorium czeskiego na Rusi Węgierskiej i ustalenie wspólnej między nami, a Węgrami granicy. Jest to koniecznością nie dla nas tylko, lecz także dla Francji. Bez tego znaczenie Francji na wschodzie od Niemiec zostanie bardzo prędko unicestwione.

VIII.

NIEMOC POLSKA ¹⁾

Utkwiła mi w pamięci z młodych lat moich karykatura w Berlińskim *Kladderadatsch'u*, przedstawiająca z powodu zaprzestania *Kulturkampfu* i rozpoczęcia układów z Rzymem *den Gang Bismarcks nach Canossa*. Boso, w pokutniczej koszuli, z powrozem na szyi, ciągniony przez dwóch mnichów w procesyjnym pochodzie zakonów i instytucji katolickich, siedł biedny Bismarck, z głową pochyloną i z wyrazem głębokiej skruchy na twarzy, złożyć u stóp tronu papieskiego akt czołobitności i poddaństwa. Obraz ten żywo mi się przypomniiał, gdy w listopadzie 1921 roku nasz ówczesny minister spraw zagranicznych jechał do Pragi.

Podróż ta oznaczała przede wszystkim wyrzeczenie się z naszej strony owych marzeń o Śląsku Cieszyńskim, które jeszcze dzień przed tem w taki zapał wprawiały naszą „Warszawkę”. Dalej, podpisując traktat z Czechami, nasz minister tem samem stwierdzał, że Polska ostatecznie opuszczała Węgry, owo jedyne w Europie państwo, które miało odwagę stać na zasadach chrześcijańskich i monarchicznych, a w r. 1920 ofiarowywało nam zbrojną pomoc przeciw czerwonym hordom, z którymi jawnie solidaryzowały się wówczas Czechy. W ten sposób w Pradze dochodziła do skutku nowa manifestacja naszego półbolszewizmu, w której, niestety, rząd miał za sobą większość społeczeństwa.

¹⁾ Artykułu tego napisanego w listopadzie 1921 roku żadne z pism polskich nie odważyło się wówczas wydrukować. Wyszedł w przekładzie węgierskim, w gazecie „Magyarsag”.

Nie rzucam z tego powodu kamieniem na ówczesnego ministra K. Skirmuntta; wszystko, czy prawie wszystko, co w Pradze mówił i robił, było dyktowane z Paryża, i tak samo postąpiłby każdy z jego poprzedników. Ponieważ zaś dla ogromnej większości społeczeństwa naszego, któremu prasa nasza systematycznie wpajała i wpaja antyniemiecką suggestję, wola Francji jest prawem, wiarą, sumieniem, świętością, więc min. Skirmuntt był tu wyrazicielem instynktu czy duszy narodowej polskiej w tej postaci, jaką jej dzisiejsze warunki nadały.

Musimy przeto zdać sobie sprawę z tego, czem jest wola Francji i uprzytomnić sobie istotne cele polityki francuskiej. Od roku 1870 Francja kierowała się ideą odwetu; z tego powodu szukała przymierza z Caratem; dopięła tego, związała się z Rosją — i odtąd nierozzerwalność i konieczność tego związku stały się zasadniczym dogmatem myśli politycznej francuskiej. Wskutek tego koncepcję Polski niepodległej Francja uparcie odpychała aż do ostatniej możliwości. Ale Rosja carska w końcu upadła. Wobec tego nie pozostało dla Francji innego wyjścia na wschodzie, jak oprzeć się przeciwko Niemcom na Polsce, jako tymczasowym surrogacie Rosji. Ale jest to surrogat nędzny, przynoszący Francji więcej może troski, niż korzyści, o czem w prasie francuskiej piszą często, najsilniej zaś to zaznaczał J. Bainville w swoich *„Les conséquences politiques de la paix“* (1921). Że jednak innego zastępcy dawnej Rosji niema, więc chcąc nie chcąc Polskę w tej roli wychowywać trzeba. Popierając, dzięki temu, wszystkie dążenia i plany polskie przeciw Niemcom skierowane, Francja między Polską a Niemcami wykopała przepaść, poprzez którą żaden genjusz dyplomatyczny dziś mostu nie przerzuci. — Ale nie mniej zależy Francji na tem, aby Polska nie była przeszkodą rozrostowi przyszłej „trzeciej“ Rosji, gdy ta sięgnie ręką po ziemię przez Rosję uważane za odwiecznie rosyjskie. Dlatego to póki Litwę uważano za satellitę Bolszewji, z Francji stawiano opór wszelkim naszym aspiracjom do połączenia ziemi Wileńskiej w taki lub inny sposób z Polską; politykę tę nieco zmieniono z chwilą, gdy w Paryżu przeważyło zdanie, że Litwa jest pionkiem w ręku raczej niemieckim, niż rosyjskim. — W każdym razie, według koncepcji francuskiej, Polska musi być słabą od wschodu, zależną jedynie od łaski Francji. Oto dlaczego zaka-

zane zostało przymierze z Węgrami, natomiast zaś nakazano poddanie się dyrektywie politycznej Czech, jako wypróbowanego posterunku Rosji na Zachodzie.

Zastanówmy się, jakie mogą być następstwa tej na daleką metę obmyślanej polityki. Mamy przeciwko sobie dobrze zasłużoną niechęć całej antybolszewickiej Rosji bez różnicy stronnictw; z grupą Sawinkowa, jedyną, co budowała przyszłość swego kraju na porozumieniu z nami, zerwaliśmy w sposób brzydki; Węgry są za górami; Niemcy oczywiście pałają żądzą zemsty i wyczekują sposobności ku temu. Skoro więc owa trzecia Rosja powstanie i zażąda od nas zwrotu litewsko-białoruskich oraz wołyńskich terytoriów, co pocznie Polska osamotniona, osaczona, ściśnięta w żelaznej rosyjsko-czesko-niemieckiej obręczy? — Broniąc się od Niemiec, a nie mając przeciw Rosji i Czechom pomocy ze strony Francji, nie będzie miała Polska innej drogi przed sobą, jak wejść w obręb Rosji, w charakterze prowincji autonomicznej. I to w najlepszym razie; w planach polityki francuskiej nie przewidziano możliwości, że Rosja i Niemcy porozumieć się mogą w celu dokonania nowego rozbioru Polski. Słowem, zerwanie z Węgrami i podróż do Pragi były pierwszymi etapami polityki, której logicznem zakończeniem musiałoby być wyrzeczenie się na rzecz Rosji niepodległego bytu państwowego.

Pisałem o tem w lipcu 1921 w „Tygodniu Polskim“ (Nr. 30), ale przeszło to bez echa, obaw moich nie rozumiano. Dopiero w listopadzie „Czas“ Krakowski powołał się na moje słowa („Powrót widma“ Nr. 2551). W tym organie ludzi, u których umiejętność myślenia politycznego jest tradycją, zrozumiano słuszność mojej diagnozy i realność niebezpieczeństwa „powrotu do Prywislinja“, jeśli za pierwszą „ofiara złożoną na ołtarzu Francji pójda inne jeszcze“... I pomyśleć, że dla wskrzeszenia widma, któreby nas zgrozą przejmować powinno, nie cofnięto się przed czynami, które trudno delikatnym wyrazem określić. Dotyczą one sprawy powrotu króla Karola IV na Węgry.

Staął on na ziemi węgierskiej w dniu 21 października 1921 r. ażeby ponownie tron swoich przodków objąć. Nikt tam prawa do tego nie zaprzeczał pomazańcowi Bożemu ukorowanemu koroną Św. Stefana, dla której Węgry żywią cześć bez granic. Wprawdzie czyn jego miał pozory zamachu, ale na czele

stał doświadczony polityk, były prezes parlamentu Rakovszky, teki zaś ministrów przyjęli były premier Friedrich oraz hr. Juliusz Andrassy, przyjaciel nasz, który uparcie słowem i piórem sprawę niepodległości Polski poruszał wówczas jeszcze, gdy nikt ani we Francji, ani w Anglii o tem nie myślał. Ich udział świadczył, że zamach miał szanse powodzenia. Nie udał się, bo stanął w poprzek temu regent, adm. Horthy, rozporządzający całą siłą zbrojną; czynił to z obawy przed groźnem niebezpieczeństwem, na jakie ze strony Europy mógł narazić Węgry niespodziany powrót króla. W całej bowiem masonji, we wszystkich wielkich i małych ententach powstał nieopisany popłoch.

Naszemu posłowi w Peszcie kazano wtedy też z protestem wystąpić przeciw powrotowi dynastji. Po co? Jakie mieliśmy prawo wtrącać się w wewnętrzne sprawy Węgier? Czem Habsburg na tronie węgierskim mógł nam być groźny? Ale pójdźmy dalej. Po upadku powstania 63 r., gdy Rosja i Prusy za wspólny cel postawiły sobie zgładzić z oblicza ziemi imię Polski, a Polaków na Moskali i Prusaków przerobić, ces. Franciszek Józef podał nam rękę, obdarzył Galicję instytucjami autonomicznymi (on osobiście, nie parlament), spolszczył, wyraźniej mówiąc, wskrzesił uniwersytet Jagielloński, po nim Lwowski, dał nauce naszej, literaturze, sztuce, kulturze możność wspaniałego rozkwitu. Pomysłmy, co by się z tem wszystkiem stało, z tem, co ostoję stanowi i wyraz duchowego życia narodu, gdyby wszystko to nie znajdowało w owem strasznym dla nas 40-leciu bezpiecznego schronienia i opieki w monarchji. Habsburgów? Z ust głupców słyszymy ciągle, że ces. Franciszek Józef robił to we własnym interesie; niechże wskażą nam takiego monarchę — z wyjątkiem chyba dobrych królów z bajki—któryby świadomie przeciw własnemu interesowi działał! Nie przeczę, że coś się w Galicji w ostatnich latach przed wojną popsło, ale nie cesarz był temu winien, lecz demokratyczna reforma prawa wyborczego, którą wymusił na nim potężniejszy od wszystkich monarchów duch czasu.

Wraz z utworzeniem t. zw. piątej kurji wyborczej, wypęzli w Galicji z kryjówek swoich najpodlejszego gatunku demagogdy, ci sami, co później wśród „suwerenów“ Warszawskich zasiedli. Mając, jako posłowie, zapewnioną bezkarność, postanowili rozpętać wśród ludu najniższe namiętności i apetyty, w Wiedniu zaś,

z trybuny parlamentarnej, przed rządem Wiedeńskim i Europą dyskredytować Polskę. Zaciekły swój atak wymierzili przede wszystkim przeciw Kołu Polskiemu. Dawało to znakomity atut do rąk wszystkim nieprzyjaciółom Polski. Koło traciło na sile, na powadze, tej wielkiej powadze, jakiej używało w państwie. Co miało począć? Poszło na układy; dla salwowania solidarności narodowej dopuściło do siebie demagogiczne żywioły, rozmaitych Stapińskich, i wraz z tem trujący pierwiastek zgnilizny moralnej. Nie sędzę, aby na tem wygrało... Słabi nigdy nie mają słuszności — i z osłabionem Kołem, z dążeniami i interesami polskimi coraz mniej liczono się w Wiedniu. Ale, powtarzam, nie było w tem osobistej niechęci cesarza — i elementarne uczucie przyzwoitości moralnej nakazuje mieć w poszanowaniu jego pamięć i nakazuje również wobec prawowitego następcy jego, oraz przebywających w Polsce członków dynastji zachować przyjacielską życzliwość.

Niestety o tem u nas nie pomyślano; dżentelmenów w naszych sferach rządzących nie mamy. Lecz nie dość tego. Korzystając z zawieruchy, państwa małej Ententy zapragnęły wspólnymi siłami zorganizować zbrojną zbójczą napaść, ażeby ograbić i ostatecznie zmiażdżyć odbudowujące się Węgry. Gdy groźny brytan zaszczeka, malutki Żużu czuje się w obowiązku wtórować mu swoim piskliwym hau hau. I to hau hau usłyszeliśmy z Belgradu. Poselstwo polskie, dementując pogłoskę, iż Polska dlatego do małej Ententy nie przystępuje, że ta ostatnia ujawnia agresywne wobec Węgier zamiary, oświadczyło, że, „rząd Polski w każdym wypadku gotów jest poprzeć małą Ententę przeciwko restauracji Habsburgów i gotów jest również do niej przystąpić“. (Czas Nr. 252). Niczego podobnego Francja jednak od nas nie żądała. Przeciwnie; nie domyślano się u nas, że Francja w skrytości sprzyjała zamiarowi króla Karola; gdy zaś zamiar się nie udał, to wraz z innemi mocarstwami postawiła *Veto* zbrodniczym pożądlivościom Serbji, Rumunji i Czech. Więc czemu mamy ów krok poselstwa naszego tłumaczyć? Węgry ofiar od nas nie wymagały. „Nie żywiliśmy — czytamy w *Nemzeti Ujsag* — żadnych przesadnych nadziei, wiedząc, że Polska należy do mocarstw sprzymierzonych i że do nich w decyzjach swoich musi się stosować“. Ale w strasznej wyjąt-

kowo tragicznej chwili, gdy naród z tak żywym uczuciem dumy i godności zmuszony był pod naciskiem tryumfujących w państwach i wielkiej i małej Ententy żywiołów destrukcyjnych, detronizować własnego króla, gdy tem samem własną ręką zadawał cios idei monarchicznej, stanowiącej jeden z zasadniczych pierwiastków w jego uczuciu patriotycznym i czyniącej z niego ostatnią na świecie ostoję ładu na poszanowaniu tradycji opar- tego — w takiej chwili naród ten spodziewał się jakiegoś dobrego słowa z Warszawy. „Bywają sytuacje—czytamy dalej w wymienionej gazecie — w których i dobre słowo liczy się za czyn“. I tak łatwo było słowo to wyrzec! Chodziło o to, czy Węgry mają nadal istnieć, czy nie. Za istnieniem Węgier oświadczyły się państwa wielkiej Ententy. Więc rachowano na Węgrzech, że do tej akcji przyłączy się Polska, że wtedy właśnie swoje dobre słowo wypowie. „Tego jednak — z goryczą stwierdza *Nemzeti Ujsag*—rząd Warszawski nie zrobił“, zrobił zato coś więcej, „zawiadomił Czechy i Serbję, że ich zamiary moralnie popiera“, dał swoje *placet* na okrutne podeptanie narodu węgierskiego i na uśmiercenie państwa.

Powtarzam raz jeszcze, że tego hańbiącego czynu, tego poniżenia siebie Francja od nas żądać nie mogła, ponieważ sama inną drogą szła i do rozbójniczej wyprawy nie dopuściła. Poniżać siebie dla osiągnięcia jakiegoś realnego celu jest rzeczą, delikatnie mówiąc, nieładną, lecz poniżać siebie bez celu, ot tak, dla sportu, jest rzeczą nietylko nieładną, ale i niemądrą...



IX.

MAŁA ENTENTA ¹⁾

Trzy mocarstwa dokonały niegdyś rozbioru Polski. Było to zbrodnią; nie zaprzeczali temu ani uczciwi Niemcy, ani uczciwi Rosjanie; wiemy o łzach ces. Marii Teresy. Ale zbrodnia pomyślana była genialnie: złączyła ona węzłem solidarności na całe 1¹/₂ stulecia trzy rywalizujące ze sobą i wrogie potęgi. W roku 1914 postanowiono wymazać z mapy Europy monarchję Habsburgów. W tym celu powstała Koalicja; rosła i potężniała z dniem każdym, przystępowały do niej rozmaite państwa i państewka, z rozmaitych części świata i o nazwach prawie nieznanych. W pochodzie nie zabrakło oczywiście Polski. Ci sami ludzie, którzy uciekając od rządów carskich znaleźli byli we Lwowie schronienie i możność pracy naukowej i literackiej, entuzjastycznie witali zagarniające „iskoni russkij Lwow“ wojska carskie i, jako politycy konsekwentni i trzeźwi, wzdychali za chwilą, gdy waleczni Dońcy „oswobodzą“ Kraków i staną na Wawelu. Człowiek, który później unieśmiertelnić miał imię swoje wraz z p. p. Dąbskim i Barlickim, jako twórca traktatu, oddającego Sowiетom, po zwycięskiej wojnie, ziemię, co przed wojną w ręku polskim były — p. St. Grabski, ten sam, co we Lwowie za czasów austriackich zaciętą prowadził walkę z Polakiem, namiestnikiem Bobrzyńskim, przybywał w lutym 1915 r. do Petersburga, jako kurjer rosyjski gubernatora Bobrinskiego, do ministra Sazonowa. Tak ówczesną misję p. St. Grabskiego określał w rozmowie ze mną Hipolit Korwin-Milewski. Działo się to w chwili, kiedy Przemyśl kapitulował. Austria zdawała się już rozbitą na miazgi — i Sa-

¹⁾ Jean Desthieux: „La Petite Entente“ (Paris, 1922).

zonow całe trzy dni kazał czekać Grabskiemu na audjencję, dając do zrozumienia, że nic go czołobitne propozycje czy prośby jakichś tam Polaków z Galicji nie obchodzą; Galicja jest w posiadaniu Rosji, niech pokornie czeka na wyrok.

Wbrew jednak nadziejom Sazonowa, Austro-Węgry podźwignęły się wkrótce z katastrofy i dopiero w 3½ lata potem cel koalicji osiągnięty został — państwo Habsburgów istnieć przestało, ale wraz z tem wyszło na jaw, że między zbrodniczym, ale z niepospolitą przenikliwością opracowanym i wykonanym planem, uknutym przez Fryderyka II i Katarzynę, a pomysłami tryumwiratu Clemenceau — Lloyd-George — Wilson — różnica była ta, że te ostatnie stanowiły nieudolną, w następstwach zgubną, pocztą zaś w zaślepieniu namiętności gmatwaną sprzecznych pożądań i dążeń.

Mogą mi zarzucić, że przesadzam, że zburzenie monarchji nie było dla Koalicji z góry powziętym zamiarem, że różnolita Austria rozpadła się, bo rozpaść się musiała. Dla poparcia tezy mojej przytoczę drobny, ale charakterystyczny szczegół. W r. 1913 zaszczylił mnie wizytą w Krakowie głośny publicysta angielski, p. Seton Watson, autor książki, w której pod pseudonimem *Scotus Viator* demaskował madjaryzacijną politykę rządu węgierskiego na Słowacyzynie. Oświadczył mi, że ma założyć wielką *Revue* dla obrony małych, a uciskanych narodów i prosił o współpracownictwo. Na temat ten zawiązała się rozmowa i po chwili było dla mnie rzeczą jasną, o co właściwie p. Watsonowi chodziło. Bardzo go mało interesowały losy narodów uciskanych w imperjum rosyjskiem, uwagę swoją skierowywał wyłącznie w stronę Austro-Węgier, przeciw Niemcom i Madjarom, gnębiącym inne ludy monarchji. Zwracał się do mnie, jako prezesa Klubu Słowiańskiego w Krakowie, a zatem przyjaciela Słowian; Polak, występujący przeciw Austrii, o której mówiono, że Polacy w niej rządzą, byłby dla niego nad wyraz pożądanym nabytkiem. Zapytałem go, jak długo zamierza w Krakowie bawić. Tego dnia — odpowiedział — odjeżdża do Lwowa; nigdy tam nie był i nikogo nie znał. Zaproponowałem mu listy polecające do kilku wybitnych Polaków. Nie chciał, wiedział już z góry, że Lwów jest miastem ukraińskiem, stolicą kraju okrutnie przez klikę panów polskich ciemżonego — i tylko u Ukraińców zamierzał

szukać informacji. Zrozumiałem, że miałem przed sobą agenta jakiejś wielkiej, międzynarodowej, ale o zabarwieniu angielskiem kliki, mierzącej nietylko w Austro-Węgry. — Współpracownictwa oczywiście odmówiłem. „Austria — powiedziałem mu — jest dziś w Europie jedynym państwem, gdzie Polacy mogą po polsku mówić, myśleć i działać i mają pewne znaczenie polityczne; zniszczenie Austrii byłoby dziś nieszczęściem dla nas, pismo zaś pańskie z samego założenia swojego stanie się placówką, gdzie przedstawiciele rozmaitych bardzo młodych i bardzo „postępowych“ narodów prześcigać się będą w szkalowaniu Polski, jako wroga ludzkości i narzędzia jakiejś czarnej reakcji. Położenie nasze wśród narodów, które pan bronić chcesz, porównać można z położeniem magnata, który, straciwszy mienie i ciężko na kawał chleba pracując, znalazł się w otoczeniu dorabiających się i dorobkiewiczów o ciemnej przeszłości; wesoło i swojsko w kompanii tej mu nie będzie; w gronie narodów ujarzmionych zajmujemy stanowisko odrębne, na innym stoimy poziomie i inne mamy ideały“.

Przyszła wojna i p. Seton Watson otworzył przyłbicę. Mam pod ręką komplet wydawnictwa włoskiego z owych czasów p. t. „*La Voce dei Popoli*“. Na czele jego stał przyjaciel mój Zanotti Bianco, autor doskonałej książki o Polsce, najszlachetniejszy utopista, przejęty wówczas myślą i wiarą, że wszystkie narody uciśnione, gdziekolwiek są i jakiegokolwiek są, połączyć się muszą i połączą się, pomimo sprzecznych interesów i dążeń, w jeden zgodny chór. W zeszycie czerwcowym z r. 1918 znajduję artykuł p. Watsona. Austria już dogorywała, ale autora gnębiła z mora, że może ktoś podać jej rękę pomocy. „Jeśli Austro-Węgry istnieją dotychczas — dowodził — to na nieszczęście dla świata, (per la disgrazia di tutti) a to dlatego, że w budowie społeczności europejskiej stanowią one część środkową i zasadniczą, a są pozostałością wieków średnich, więc ci, co państwo to zachowaćby chcieli, są „reakcjonistami, których celem ukrytym jest wskrzeszenie średniowiecza w wieku dwudziestym“, o ile zaś do stronnictw liberalnych należą, to dają dowód dobrego serca, lecz słabej głowy“.

Wiemy na kogo wyraz „*Wieki Średnie*“ działa, jak czerwona płachta. Dla p. Watsona, Szkota i purytanina, samo istnienie monarchji katolickiej, „papistycznej“ w środku Europy było obrazą

Pana Boga, za nim stała opinia jego kraju, za opinią tą — potężna organizacja międzynarodowa, jaką są loże masonskie, wraz ze sprzymierzonym z niemi wielkim kapitałem, w którym wpływ nie lada mają żydzi. I wspólnymi siłami monarchję wykreślono w końcu z listy państw istniejących; cesarza zaś i króla pozbawiono nie tylko korony, ale i mienia i osadzono, jak niegdyś Napoleona, na dalekiej wyspie, w warunkach materialnych takich, że sprowadzić musiały jego przedwczesną śmierć. Słowem, powtórzono to samo, tego samego dokonano mordy, co przed stu laty na osobie cesarza Francuzów.

Masom zaś wmawiano, że zniszczenie monarchji naddunajskiej niezbędne było, jako silny cios na Niemcy, które, jako całość jednolita i zwarta, zmiażdżyć się inaczej nie dawały. Państwa, które na gruzach Austro-Węgier powstały, zawdzięczające byt swój przedewszystkiem Francji, stanowić miały szereg posterunków, stojących na straży powalonych, a pomimo to groźnych jeszcze Niemiec. Jeszcze w lipcu r. 1921 p. Briand z trybuny parlamentarnej tłumaczył wymownie, iż państwa małej Ententy, do których także Polskę zaliczał, są sprzymierzeńcami Francji i tworzą razem ową przewagę, której Francja wobec Niemiec na gwałt potrzebuje; p. Poincaré zaś, streszczając ten wykład w „Revue des deux Mondes“, wychwalał mówcę szczególnie za to, że tak jasno (lumineusement) wykazał niebezpieczeństwo, na jakie naraziłaby Francję wszelka pobłażliwość względem powalonych i słusznie deptanych Węgier.

Ale oto dziś wybitny publicysta Jean Desthieux dzwoni na alarm i woła, że mała Ententa jest spiskiem przeciwko Francji, zorganizowanym przez kilku ludzi „złej wiary, ambitnych i bez sumienia. *Et je dirai leurs noms*“. Są to Benesz i już nie żyjący Take Jonesco i Vesnić; gościli nie jeden raz w Paryżu, „przyjmowaliśmy ich jako przyjaciół, a oni przybywali, jako zdrajcy“.

P. Desthieux nie jest pierwszym, co zwątpił o Czechach, jako strażnicy Francji przeciw jej wrogom. To samo już głosił przed nim Bainville w znakomitej pracy swojej „Les conséquences politiques de la paix“. „Co robił p. Benesz — pyta on — gdy bolszewicy szli na Warszawę? zajmował się organizowaniem ligi neutralnych, skierowanej przeciwko Polsce, a zatem na korzyść Niemiec“... Polska zaś jest naturalną sojuszniczką Francji

na wschodzie. W żywotność jednak Polski równie mało wierzył Bainville, jak w przyjaźń Czech. Dlaczego? Bo Polska tą samą idzie drogą, która ją w przeszłości prowadziła ku zgubie (*Elle essaye de nouveau ce qui l'a jadis tuée*). Jak dawniej, tak teraz drży na samą myśl o monarchji. A przecież wszystkie nowoczesne państwa i państewka czerpały moc swoją w zasadzie monarchicznej; te narody, co nie miały dynastji, wskazanej im przez historję, szukały panującego wśród obcych dynastji, powołany monarcha nacjonalizował się prędko, przynosił ze sobą stosunki z zagranicą, doświadczenie polityczne, metody rządzenia, nieraz nawet jądro personelu administracyjnego; obecność jego działała uśmierzająco na walki stronnictw. Lecz Polska tego nie chce... Węgrzy jedni na wschodzie mają, zdaniem Bainville'a „silny zmysł narodowy i twardą wolę”... „oni byliby powołani do skryształowania wszystkich żywiołów zachowawczych w sąsiedztwie swoim”.

Z toku myśli autora wypływało, że Polska oprzeć się musi o Węgry i wraz z Węgrami stać się ową strażnicą Francji, którą miały być Czechy. Ale wniosku tego wyciągnąć autor nie miał odwagi. Powinni byli mu dopomóc kierownicy polityki polskiej i w kierunku idei tej działać na Paryż, w lot korzystając z zarysowującego się w opinji zwrotu. Właśnie wówczas, na samym początku wiosny 1921 r., wkrótce po wyjściu książki Bainville'a, bawił w Paryżu ówczesny nasz minister spr. zagr. Niestety, odrazu uległ prądom, idącym tak z kancelarji ministerjum spraw zagranicznych, jak też z salonów politycznych, gdzie królowała dostojna „matka Czecho-Słowacji” (*la mère de la Tchéco — Slovaquie*), pani Berthelot. Poseł węgierski w Paryżu, Praznovsky, zapragnął odbyć konferencję z naszym ministrem. Cóż mu na to minister nasz? Ze wspaniałą otwartością, która Bismarcka cechowała w chwilach, gdy rozporządzał losami Europy, odpowiedział, że Polska nie ma wogóle nic do mówienia z Węgrami. Byłem wtedy w Warszawie i byłem świadkiem oburzenia posła węgierskiego, hr. Csekonics'a, gdy wiadomość ta nadeszła. Odczuł ją jako policzek, narodowi węgierskiemu wymierzony..

Opryskliwe lekceważenie uznawano za dowód mądrości dyplomatycznej. W Europie nie było zaufania do Polski, posądzano ją o zagrażające pokojowi knowania imperjalistyczne. Uprzedzenia te postanowiono rozwiąć. Niech więc Polska potulną będzie,

jak baranek, i pokorną wobec Sowietów i wobec Czech, niech dla przypodobania się im poniewiera, gdzie może i jak może, zachowane, monarchistyczne, „burżuazyjne“ Węgry, a wtedy przeznaczony pan Cziczeryn i kochany p. Benesz nie będą mieli serca nas krzywdzić i nie przeszkodzą nam srożyć się w stronę Niemiec i tam zdobywać łaskę dalekiej, a możnej opiekunki. Takbyśmy określił politykę ówczesną naszą w stosunku do Węgier i do Małej Ententy.

Jakże odmiennie Desthieux, starając się wniknąć w istotę myśli politycznej naszej, ocenia duszę Polski, jej poczucie dumy i godności narodowej: „Za dużo — pisze on — mają Polacy interesów wspólnych z Węgrami, ażeby zgodzili się iść na pasku Czech i służyć małej Entencie; nie mają oni nic do czynienia w tem consortium zwycięzców, którzy się zawzięli w rozszarpywaniu powalonej ofiary“... „Czyż można się dziwić, że dwa narody, jak Polska i Węgry, jednakże nieszczęśliwe, choć jeden zwycięski, a drugi zwyciężony, jednakże ubogie, jednakże zagrożone przez katalizmy bliskiej przyszłości (par de proches déstins) chciałyby porozumieć się ze sobą; jeśli nie czują potrzeby trąbienia o tem przed Europą, to dla tego, że w ich wzajemnym pociągu nie ma żadnego bluffu. Każdy Polak wie, że wśród sąsiadów swoich może tylko na Węgry liczyć — i każdy Węgier wie, że w razie potrzeby mógłby tylko z Warszawy otrzymać pomoc“.

A słów tych wcale nie dyktowało jakieś uczucie przyjaźnielskie względem obu narodów, zwłaszcza zaś względem Polski. Desthieux już Francuzem i tylko Francuzem, egoistą narodowym, pragnącym całą duszą jednej rzeczy dla Francji: pokoju — ażeby wydobyć się mogła z powojennego zubożenia. Pod tym kątem patrzy na sprawy europejskie. Nowo utworzone państwa są dla niego przedmiotem niechęci i pogardy. Powstały z wojny, wojna jest ich prawem bytu, małpowanie wielkich państw i wielkopanstwowa żarłoczność — pobudkami ich polityki; rządzone są przez błaznów (des paltoquets), których przy najlepszej woli trudno brać na serio. Z tego stanowiska jest wielką kwestją, czy restauracja starego państwa polskiego była rzeczą pożądaną dla Francji; wszak samem istnieniem swoim państwo to zmusza Rosję i Niemcy do wznowienia starego przymierza i przyszłość Polski jest więcej niż niepewna. Pomimo to, ponieważ dziś

Polska jest z natury położenia swojego posterunkiem Francji na wschodzie, więc podtrzymywać ją teraz trzeba przeciw zakusom jej wrogów, którzy zarazem są wrogami Francji, nie zaś poświęcać ją dla interesu czeskiego, który w tym wypadku interesem jest obu głównych wrogów: Sowietów i Niemiec.

Czechy były pieśczochem koalicji, w pierwszym rządzie Francji. Wbrew protestom słowackim, wcielono kraj ich do Czech. Słowaków w Czecho-Słowacji jest więcej niż trzy miliony. Niemców—trzy miliony, Węgrów—miljon, Rusinów prawie $\frac{1}{2}$ miliona. Czyli w 14 milionowem własnem państwie Czesi stanowią mniejszość, reszta mieszkańców państwa tego, czyli jego większość o tem tylko marzy, aby z pod władzy czeskiej się wyłamać. Takie państwo jest tworem sztucznym. Jeśli potężna Anglja ustąpić musiała przed Irlandją, to jakże przypuścić, że Czesi zdołają się utrzymać wobec mniejszości swoich, wobec grawitujących w znacznej części ku Węgrom, Słowaków i Rusinów, Czesi to rozumieją i dotychczas trzymają się terrorem, ale niepewni jutra, utworzyli wraz z Rumunją i Jugosławją tak zwaną Małą Ententę, wyłącznie przeciw Węgrom skierowaną. Choć wyniszczone, okrojone przez te trzy państwa i za przyzwoleniem wielkiego tryumwiratu (Wilson, Lloyd-George, Clemenceau), odarte z $\frac{2}{3}$ -ich posiadłości swoich, Węgry, zredukowane do rozmiarów i roli małego państewka, jednak żyją jeszcze i tem są niebezpieczne. Według wiadomości Desthieux'a Take Jonescu przyjeżdżał do Warszawy w styczniu 1921 roku z gotowym planem rozbioru Węgier, za co granica polsko-czeska miała być posunięta ku południowi, aż do kolei żelaznej Koszyce — Bogumin. W każdym razie w październiku tegoż roku Mała Ententa, korzystając z zamieszek wewnętrznych węgierskich z powodu sprawy nieszczęśliwego króla Karola, zabierała się już do wykonania planu tego. Mocarstwa wielkiej Ententy stanęły na przeszkodzie.

„I mybyśmy mieli—woła Desthieux — w tych obławach na Węgry sprzyjać narodom, które nie mają ani historii takiej, jak Węgry, ani pochlubić się mogą ich męstwem — narodom, które poznaliśmy, jako obłudne i chciwe, bez honoru i bez sumienia, niegodne ani zaufania naszego ani przyjaźni“.

Dziwicząca w słowach tych nota antypatji do małej Ententy pochodzi stąd, że p. Benesz zamierzył nadać jej charakter filo-

sowiecki i filoniemiecki. Że w roku 1920, gdy się zdawało, że Polska miała już paść pod ciosami czerwonych hord, prasa czeska stała albo po ich stronie, albo wraz z rządem oświadczała neutralność swoją — o tem wiemy wszyscy, ale nikt nigdy u nas wierzyć nie chciał w możliwość bliższych czesko-niemieckich stosunków, których dowody Desthieux dostrzegł w kilku przemówieniach Benesza: „Pragę z Moskwą wiążą wspólne interesy i wspólne plany, między zaś Pragą a Berlinem istnieje tajne a serdeczne porozumienie“. Czyżby duszą porozumienia tego był prezydent Masaryk?

Prez. Masaryk pierwszym jest Czechem, którego poznałem w r. 1891 za pierwszego pobytu mego w Pradze. W stosunku zaś listownym byłem z nim wcześniej jeszcze z powodu rozbioru jego pracy o Kirejewskim i o słowianofilstwie rosyjskiem, którą w „Przeglądzie Polskim“ Tarnowskiego umieściłem. Umysł niepośledniej miary, rozległy; charakter prawy, imponujący ogromem odwagi cywilnej. Wspaniały jej dowód dał Masaryk, ogłaszając publicznie, już w pierwszych latach swojej działalności na polu nauki to, o czem filologowie i historycy wiedzieli, a nie odważali się wyjawić — mianowicie, że tak zwany Rękopis Króldworski ze wszystkimi poematami swemi z prastarych czasów pogańskich, rękopis, na którym oparło się całe odrodzenie czeskie, z którego patrjoci brali wiarę w moc ducha słowiańskiego i otuchę w walce z przemocą niemiecką, był tylko falsyfikatem, falsyfikat zaś był dziełem Wacława Hanki, który w tem pobudką patrjotyzmu się rządził. Publiczną tajemnicę odsłaniał Masaryk w imię etyki narodowej. Kilku młodych ludzi zgrupowało się wtedy koło niego i to się stało zawiązkiem stronnictwa realistów, które wystąpiło z hasłem, że do osiągnięcia ideałów narodowych iść będzie drogą realną, to znaczy drogą prawdy nie zaś cekliwego marzycielstwa, karmiącego się sfałszowanemi bajkami.

Z bajek zaś owych wypływał cały panslawizm czeski. Masaryk panslawistą nie był; on jeden w społeczeństwie swoim wygłosił — nowy dowód odwagi cywilnej — że się czuje Czechem, nie zaś Czecho-Słowianinem (čechoslovan); rozumiał, że od panslawizmu tylko krok do panrusycyzmu. Umiał przytem rozróżniać — też rzecz rzadka u Czechów — Rosję carską i Rosję opozycyjną — i nie ukrywał sympatji do tej drugiej Rosji. To było

powodem, że trzymał się zdaleka od wszelkiej akcji o charakterze słowiańskim, bo do każdej takiej akcji rozmaici krzykacze patriotyczni, prowadzeni przez agentów rosyjskich, umieli doczepiać jakąś etykietę Petersbursko - Nowowremieńską. Byłem na wszystkich prawie kongresach słowiańskich w Austrii, Masaryka nie spotkałem na żadnym.

Gdy premier hr. Kazimierz Badeni upadł, broniąc żądań czeskich przeciw oporowi Niemców, ożywiło to i ociepliło chłodne zazwyczaj stosunki Polaków i Czechów: nastąpiły jeden po drugim zjazdy polsko-czeskie, nacechowane niezwykle serdecznością. Na żadnym Masaryka nie było. Wyraziłem z tego powodu zdziwienie moje. A on na to: „Dobrze się stało, że Badeni upadł; dawał nam więcej, niż powinien był dać; jakie mamy prawo narzucać Niemcom w Karlsbadzie, w Eger i wszędzie, gdzie oni większość stanowią, język czeski, jako urzędowy“. Czy potrzebuję dodawać, jak byłem zdumiony, pierwszy raz słysząc słowa takie z ust Czecha.

Masaryk ma siebie za spadkobiercę idei Palackiego, o którym napisał piękną rozprawę; przez Palackiego jest spadkobiercą reformacji czeskiej, która, wyprzedzając Marcina Lutra, wypowiedziała w osobie Jana Husa jeszcze w wieku XV wojnę Rzymowi w imię wolności myśli i sumienia, — w osobie zaś Piotra Chelczyckiego, założyciela gmin braci Morawskich, szła znacznie dalej, głosząc ideały, które za dni naszych odżyły w naukach Lwa Tołstoja. Dostosowując marzenia i dążenia reformatorów czeskich do czasów naszych, określa je Masaryk wyrazem *Humanizm*, w znaczeniu, jakie nadawali temu Lessing i Herder (die reine Menschlichkeit). W ten sposób myśl czeską, myśl Husa, Chelczyckiego, Komenjusza zlał Masaryk z ideałami mistrzów literatury niemieckiej w wieku XVIII, ściślej jeszcze mówiąc, z ideologią wolnomularstwa, jak ją streszczał i podawał Lessing w słynnym dialogu swoim z r. 1777 p. t.: „Ernst und Falk“.

Widzimy stąd, jak ścisłym węzłem duchowym łączył dzisiejszy prezydent republiki czecho - słowackiej Czechy z Niemcami. Dodajmy do tego jeden za myślą jego przemawiający, w chwili zaś obecnej niezmiernie ważny wzgląd praktyczny. Czesi mniejszością będąc we własnym państwie, mając przeszło 3 miliony Słowaków i tyleż Niemców, dokładnie zdają sobie

sprawę z tego, że Niemców nie zczechizują nigdy; chcieliby przeto zgody z nimi, aby mając spokój z ich strony, módz wszelkie swoje wysiłki czzechizacyjne ku Słowaczyźnie skierować.

A myśl ta nie jest czemś dziś nagle zrodzonem, sięga daleko w przeszłość i dużo energii wkładali Czesi w sprawę tę jeszcze przed wojną; sięgnę tu znowu do wspomnień osobistych, a odległych. Przybywszy raz do Pragi pociągami rannym i naprędce przebrawszy się w hotelu, wyruszyłem do prof. Masaryka, aby go jeszcze w domu zastać. Spotkałem go na schodach, wychodzącego. Szedł wysłuchać referatu nauczyciela ludowego Kalala, zajmującego się agitacją czeską wśród Słowaków. Zabrał mnie ze sobą. Po chwili znalazłem się w jednej z wielkich sal Pragi; przepełniona była po brzegi; co Praga miała wybitnego w sferach nauki, literatury, polityki, wszyscy byli tam. Z zazdrością pomyślałem, czy możnaby coś podobnego wyobrazić w Krakowie, czy odczyt skromnego nauczyciela ludowego mógłby ściągnąć *tout Cracovie*, poczynając od tytułowanych panów i pań, a kończąc na robotnikach... Wieczorem zaproszono mnie na ucztę w licznej gronie profesorów, polityków, dziennikarzy. Prezydował sam wielki Rieger „ojciec narodu czeskiego“. Posadził mię po prawej stronie, Kalala po lewej. Podkreślam, że byłem gościem niespodzianym, nikogo o zamiarze wycieczki mojej do Pragi nie uprzedzałem: honorowano nie mnie, a Kalala; na jego cześć wznoszono toasty, od powodzenia agitacyjnej działalności jego i jego towarzyszy wszyscy obecni uzależniali przyszłość Czech.

Czyż nie jest więc rzeczą jasną, że polityka czeska jest Janusem o podwójnym obliczu: jednym zwróconem ku Rosji drugim ku — Niemcom i że w razie zatargu naszego, wojny z państwami temi, nie z nami pójdą Czechy, lecz z niemi przeciw nam. Nie byłem w stanie pojąć, jak mogli nie widzieć tego, nie rozumieć politycy nasi, jak mogli łudzić siebie i nas myślą o jakiejś potężnej 80 miljonowej Entencie, która broniłaby nas i przeciw Rosji i przeciw Niemcom. Broniłaby nas tylko przeciw Węgrom, co znaczy, że przetworzyłaby nas w narzędzie Czech, Rumunji i Jugosławji przeciwko jednemu narodowi i państwu, z którym nas rzeczywista wspólność interesów jednoczy.

Przykro mi jest, bardzo przykro przeciw Czechom wystę-

pować. Jestem w położeniu człowieka, który, zmuszony okolicznościami, rzuca starego, dobrego przyjaciela, a zwraca się do kogoś znajomego mu tylko zdaleka i mało. W ciągu lat tylu byłem rzecznikiem wzajemnego zbliżenia się Polski i Czech, tyle razy zwiedzałem Pragę, tylu wybitnych znałem Czechów, mile ich dotąd wszystkich wspominam, a byli między nimi ludzie oddani nam szczerze i serdecznie. Stoją w tej chwili przedemną ś. p. Edward Jelinek, z żyjących Adolf Černý, ten tak szlachetny liryk, a długoletni redaktor „Przeglądu Słowiańskiego“ w Pradze, w którym prace swoje nieraz umieszczałem, który otworem stał zawsze dla każdej skargi polskiej na dzikość polityki russyfikacyjnej w Polsce. Ale wszystko to działo się przed wojną, w innych warunkach. Myślą moją wówczas było odciągać Czechy i Słowiańszczyznę zachodnią od caratu, przeciwdziałać szerzącej się tam propagandzie rosyjskiej: chciałem ściślejszego spojenia Czech z Austrią. Sympatyzowałem z aspiracjami czeskiemi w obrębie monarchji, zdążającemi do przekształcenia jej z dualistycznej w federacyjną. Wszak na tem stanowisku stali w epoce 1860—67 politycy polscy w Austrii. Urzeczywistnienie tego należało oczywiście do dalekiej przyszłości. Narazie przeciwstawiałem panrusycyzmowi austrosławizm. Tajemnicy z tego przed Rosjanami nie robiłem i tezę moją uzasadniłem w „Tygodniku Moskiewskim“ ks. Eug. Trubeckiego (1909 roku Nr. 19 — 20). Austrosławizm—dowodziłem tam—nie jest sławizmem, jakiegoby pragnęli Słowianie, lecz bądź co bądź daje im rękojmię swobodnego rozwoju kulturalnego, a tychby nigdy nie dał ów rusosławizm, który, inspirować politykę Rosji, doprowadził Polaków do tego, że „jest dla nich rzeczą obojętną, czy Warszawę russyfikować będą Rosjanie, czy germanizować Niemcy“...

Dziś Austrii niema i niema mowy o austrosławizmie; niemożliwy jest również polonosławizm, bo nie przyłożymy ręki do zniszczenia Węgier, które wspólnym jest celem Czechów i Jugosłowian. Wszechsilny zaś, silniejszy ponad wszelkie interesy ekonomiczne, czy polityczne instynkt, zrośnięty z duszą czeską, chorwacką, serbską, pędzi ją, pomimo oporu jednostek, w objęcia Rosji. Przyjmowaliśmy tu, w Wilnie, niedawno dziennikarzy jugosłowiańskich. „Nie chciałbym żyć—mówił jeden z nich—gdybym uwierzyć miał, że Rosja nie odrodzi się i nie powstanie w daw-

nej potędze“. Innemi słowy: „życie straciłoby dla mnie urok, gdybym utracił wiarę, że Rosja odzyska wszystko, co jej zabrali Polacy—i więcej jeszcze, bo Galicję Wschodnią“. Którko i jasno. A mówił to nie Serb prawosławny, ale Chorwat katolik, wychowany w tradycjach bardzo dalekich od prawosławia i Wschodu.

Odwiedzałem w zeszłym jeszcze stuleciu wielkiego biskupa Strossmajera. Choć nie koronowany, był, jak król, w narodzie swoim, miał prawo bez samochwalczej przesady powiedzieć o sobie: „ja i ojczyzna to jedno“. Niezlomne bowiem wzniosł podstawy pod gmach kultury chorwackiej. Założył w Zagrzebiu Akademię Umiejętności, Uniwersytet, Galerję obrazów; zdolniejszą młodzież własnym kosztem wychowywał; w Djakowarze, stolicy swojej, zbudował też własnym kosztem okazałą Katedrę, która stała się jedną z głównych atrakcyj południa słowiańskiego dla podróżników, artystów i uczonych. I cóż z ust jego posłyszałem? „*Jedini spas Slavenstva je u Rusiji*“ (Niema zbawienia dla Słowiańszczyzny poza Rosją). Próbowałem opowiadać mu o dzikiej polityce rządu rosyjskiego w Polsce, o prześladowaniu Kościoła katolickiego. Słuchał niechętnie, zwracał rozmowę na inne tory—bo „*jedini spas Slavenstva je u Rusiji*“—i niedługo potem, ze słowami temi, z tą swoją *idee fixe* przeniósł się starzec ten do innego bytu—i stamtąd błogosławi dzisiejszym wykonawcom myśli swojej w Jugosławji i Czechach i ich sprzymierzeńcom polskim.

Ci ostatni doprowadzili dzieło swoje do końca. Ścisnęli Polskę w żelaznej rosyjsko-niemiecko-czeskiej obręczy. Dusimy się w niej i uduszeni będziemy przy pierwszym wielkim kataklizmie europejskim. Wydostać się z obręczy możnaby, podając rękę Węgrom i wspólna granica z Węgrami jest najpilniejszą potrzebą naszą, warunkiem zachowania bytu niepodległego. Nie wiem po raz który to już powtarzam.

I zdaje się, że do tego wniosku doszedł Jean Desthieux. Ale nie dopowiadając ostatniego słowa, stanął bezradny. Bo chciałby pokoju, a tu nowa wojna, nowe niebezpieczeństwo wciągnięcia Francji w jej wir! Czyż mało przelano krwi i wylano łez? Nie wątpi on, że Polska i Węgry byłyby pewniejszym dla Francji oparciem na Wschodzie, niż Czechosłowacja, gotowa do zdradzieckich zmów z Rosją Sowiecką i Niemcami. Ale jak łamać Francji

to, co sama na nieszczęście własne stworzyła, i z tego powodu wchodzić w zatargi z innemi państwami? Polegać zaś tylko na siłach Polski i Węgier — niepodobna, za słabe są. I rozprawę swoją zakończył publicysta francuski znakiem zapytania, tym samym, jakim ja rozważania powyższe zamykam. Żyjemy w prowizorium stworzonem przez traktat wersalski, o którym za Dillo-nem powtórzyć można, że rozpałił do białości wszystkie niena-wiści międzynarodowe, że wszędzie porozrzucił wszelkie możliwe środki wybuchowe. Z prowizorium tego nie wyprowadzi żaden Bismarck, wyprowadzićby mogli tylko bohaterowie ducha, którzyby zdołali uczucie patriotyczne zwyrodniałe i zatrute namiętnościami nacjonalizmu i imperjalizmu podnieść do rozumienia idea-łów, które świecą ludzkości całej

X.

O KWESTJI SŁOWIAŃSKIEJ

(ZE WSPOMNIENI I WRAŻEŃ)

I.

Przyjaciele moi wyrażali nieraz w rozmowach ze mną zdziwienie swoje, że po tylu latach pracy nad budzeniem sympatyj słowiańskich w Polsce występuję teraz za przymierzem z Węgrami. To mi daje sposobność do przedstawienia—na tle wspomnień osobistych—kwestji słowiańskiej, jak wyglądała przed wojną i jak się zarysowuje dziś.

Polityką czynną nie zajmowałem się nigdy; zajmowały mię idee polityczne i ich wpływy na dążenia i walki narodów. Wyrażnie zaś uświadamiałem sobie konieczność, zwłaszcza dla narodu naszego, bliższej znajomości i dokładnej orjentacji w zagadnieniach politycznych, które epoka nasza wysuwa. Do zagadnień takich należy kwestja słowiańska. Pomimo to rzeczy i sprawy słowiańskie nietylko nie znajdowały łatwego do nas dostępu, ale nawet źle widziany był ten, kto żywszy do nich interes wyjawiał. Ileż to razy, gdy mowa była o Serbach, słyszałem z ust ludzi wykształconych i inteligentnych pogardliwy wyraz „świnopas”, jako określenie narodu tego i zarazem znak do zamknięcia nudnej dyskusji o nudnym przedmiocie. Nie zadawano sobie trudu zastanowić się, że przed wojną naród serbski wśród bardzo ciężkich warunków politycznych i przy bardzo małych środkach materialnych dokonywał rzeczy zdumiewających w zakresach nauki, kultury i pracy gospodarczej, w czasie zaś wojny wytrwałością w walce i bohaterstwem w cierpieniu wywołał podziw wśród najzaciętszych wrogów swoich. Ale cóż to nas mogło obchodzić?

Serbowie pasą świnię — i basta. Zresztą — dowodzono — i Serbja i wszystkie inne narody słowiańskie są rzeczą Rosji; co nam do nich.

Pogląd ten, raczej nastrój, był jednym z objawów gwałtownej reakcji antypolitycznej, która tak jaskrawo zaznaczyła się u nas po roku 1863. Przed tem, w epoce 1831 — 1863, licząc na pomoc zagraniczną, wszystkimi sposobami popularyzowaliśmy sprawę naszą na Zachodzie. Potem, zniechęceni, powiedzieliśmy sobie, że powinniśmy rachować tylko na samych sobie, na swoją własną pracę. Ale myśl tę słuszną w zasadzie doprowadzono do absurdu; straciliśmy kontakt polityczny z Europą i dotkliwie dziś czujemy, jak mało mamy ludzi, umiejących ją o sprawie naszej informować. Nastąpiło jakieś sparafjanie naszej myśli politycznej, w której wówczas powstał następujący niedorzeczny syllogizm: wszelkie zetknięcie się z Rosją w sferze idei jest dla nas niebezpieczne; ideę słowiańską uważają w Rosji za jej posłannictwo dziejowe; więc nie wolno nam idei tej dotyczyć; to nam grozi zrusyfikowaniem duszy naszej.

Jest rzeczą całkiem naturalną, że w walce swojej z germanizmem Słowiańszczyzna zwracała wzrok swój ku Rosji; stamtąd wyczekiwała pomocy; myśl o dalekiej potężnej opiekunce otuchą dla niej była w uciskach pracy powszedniej; idea słowiańska przybierała zabarwienie rosyjskie. Szeroko, dzięki naszemu bojaźliwemu stronieniu od niej, korzystały z tego wrogie nam w Rosji żywioły. Skupiały się one w Petersburskiem Słowiańskiem Towarzystwie Dobroczynności i w redakcji gazety „Nowoje Wremia“ koło osoby jej właściciela i kierownika, Aleksego Suworina. Miały swoją agencję w Wiedniu, w rosyjskiem czasopiśmie „Sławianskij Wiek“, na czele którego stał korespondent „Nowoje Wremia“, zaciekły agitator, Dymitr Wergun. Wszystkie wymienione instytucje i pisma szerzyły z niezmordowaną energją nieważność do Polski; była ona „zatrutem ostrzem“, jak się wyraził był niegdyś Jerzy Samarin, „które latynizm wbił w serce Słowiańszczyzny“, była główną przeszkodą do urzeczywistnienia jedności słowiańskiej. W ten sposób opasywano nas murem złośliwych uprzedzeń i głos organu Suworina wydawał się nieuświadomionym pobratymcom naszym głosem całej Rosji; idea słowiańska przeistaczała się w narzędzie do niszczenia jakiejś wysnionej

polsko-jezuickiej intrygi. Narzędzie to wrogom naszym odebrać, znamie myśli polskiej wycisnąć na idei, którą przeciw nam obrócić usiłowano, i wystąpić z poglądem polskim na kwestję słowiańską — to nam nakazywał zdrowy rozsądek polityczny. Niestety, ci, którzy to rozumieli, byli bardzo nieliczni. Przyzwyczajono się patrzeć na wielki świat słowiański, jako na własność prywatną pana Suworina i jego przyjaciół i protektorów; wyciągnięcie ręki do Słowian równoznaczne było, w mniemaniu wielu, z pójściem na służbę do najgorszych wrogów naszych w społeczeństwie rosyjskiem.

Ale na przekór słowianofobom sama przez się narzuciła się nam w r. 1897 sposobność do zajęcia lub przynajmniej do podminowania posterunków, które akcja nowowremieńców wystawiła była przeciwko nam w Słowiańszczyźnie.

Polityką wewnętrzną austriacką kierował wtedy hr. Kazimierz Badeni. Pomimo woli, party siłą silniejszych od niego okoliczności, stawał się on rzecznikiem praw czeskich przeciw Niemcom i w obronie praw tych padał w walce, która przybrała była rozmiary, grożące rewolucją. Wywołało to w społeczeństwie czeskiem uczucie wdzięczności dla nas, któremu postanowiono dać publiczny manifestacyjny wyraz. W tym celu tłumnie zjechali do Krakowa wybitni politycy, dziennikarze i literaci czescy. Ludność krakowska witała ich entuzjastycznie; na bankiecie wygłosiłem po czesku mowę o duchowej łączności naszej z Czechami i Kroacją na podstawach idei, które rozwijał niegdyś Mickiewicz w wykładach swoich w Collège de France. Wspominam o tem, gdyż stało się to pierwszym krokiem do poważniejszej pracy nad wytworzeniem polsko-czesko-kroackiej wzajemności. Po kilku miesiącach rewizytowaliśmy Czechów w Pradze z powodu uroczystości Palackiego; zaraz potem znowu witał ich Kraków przy odsłonięciu pomnika Mickiewicza. Ale oczywiście ani mowy bankietowe, ani artykuły dziennikarskie nie były środkiem dostatecznym do utrwalenia wśród Słowian jakiejś głębszej dla nas sympatii. Powinniśmy byli starać się wszechstronnie zbadać wielki, pokrewny nam, a duchowo obcy świat, ażeby mózgi pójść tam z powagą znawców ich przeszłości i teraźniejszości, ich dążeń i nadziei. Dopiero wtedy mógł pogląd polski na kwestję słowiańską zdobyć szersze uznanie i wpływ.

W tej myśli założyliśmy w Krakowie „Klub Słowiański”; jednym z głównych inicjatorów był prof Marjan Sokołowski, człowiek z niepospolicie szerokim widnokregiem umysłowym, zapalony badacz wzajemnych oddziaływań pierwiastków zachodnich i wschodnich w dziejach kultury polskiej. Popierana przez niego myśl zyskiwała powoli zwolenników i dzięki temu mógł wkrótce powstać, jako organ „Klubu Słowiańskiego”, miesięcznik „Świat Słowiański”.

Ale wyrazy „Słowiański”, „Słowiańszczyzna” kłuły w oczy niektórych zacietrzewieńców naszych; upatrywali poza nimi jakieś „ugodowe” zamiary. W tym duchu rozwinęli wśród łatwo zapalnej młodzieży gorliwą agitację, głównie przeciw mojej osobie skierowaną. Studenci lwowscy, korzystając z mego pobytu we Lwowie, wtargnęli do sali, w której miał się odbyć mój wykład publiczny i uniemożliwili jego wygłoszenie — w Krakowie zaś urządzono wiec, ażeby dać na nim wyraz oburzeniu na całą moją „słowiańską” działalność...

W tym samym czasie działalność tę odmiennie i nieco przenikliwiej osądzał Dymitr Wergun: „Zdziechowski jest zaciętym wrogiem Rosji, — pisał on w swoim „Słowiańskim Wieku” — jest organizatorem katolickiego panslawizmu dla walki z Rosją, wskrzesicielem idei Jagiellońskiej, która niegdyś z Polską zspoliczowała Czechy i Kroację”. Istotnie, w miarę sił naszych zwalczaaliśmy Nowowremieńszczyznę — i właśnie wśród Słowian-katolików usiłowania nasze znajdowały najżywszy oddźwięk.

II.

Na zjeździe dziennikarzy słowiańskich w najcudowniejszym zakątku Europy, w Dubrowniku (Raguza) w r. 1901 miało miejsce burzliwe zajęcie. Zjazdy takie odbywały się każdego roku w rozmaitych słowiańskich miastach Austrii. Braliśmy w nich udział, ażeby obecnością swoją paraliżować wrogie nam wpływy. W tym celu miałem w Raguzie referat o zadaniach prasy słowiańskiej. Według utartego zwyczaju musiałem w zakończeniu referatu sformułować wynikający z niego wniosek, czy wnioski i Zjazdowi podać do uchwały. Treścią wniosku mego był naturalnie postulat sprawiedliwości, oparty na uznaniu prawa do bytu dla każdego narodu słowiańskiego — i naturalnie komunał ten zostałby jedno-

głośnie uchwalony. Ale nie o to mi chodziło, lecz o zdemaskowanie Nowowremieńskiej obłudy. Dodałem więc do wniosku niewinne z pozoru słowa: „zgodnie z poglądami największych myślicieli i poetów słowiańskich” — i jako największych myślicieli rosyjskich wymieniałem Włodz. Sołowjewa i Borysa Cziczierina. Doprowadziło to do wściekłości Dym. Werguna. Był więc zdemaskowany; nie mogąc jednak przyczepić się do samego wniosku, wystąpił w namiętnej przemówieniu przeciw treści referatu, w którym słowianofilstwo typu Nowowremieńskiego napiętnowałem jako „słowianofagję”. Miało to być, jego zdaniem, zniewagą wymierzoną narodowi rosyjskiemu i jego posłannictwu. W słowach patetycznych, głosem płaczącym zwracał się nie tylko do członków Zjazdu, ale i do publiczności w łóżach i na galerji, wołając, że mieszkańcy starego słowiańskiego Dubrownika nie powinni dopuścić, aby w ich ojczystym grodzie intryga polska bezczęściła najwyższą świętość słowiańską: ideę braterskiej jedności. Niech w dowód szlachetnego gniewu odrzucą całą przedłożoną rezolucję. Słowem, Wergun wpadł w pułapkę. Propagandę poglądów najdostojniejszych myślicieli, jakich Rosja miała, jej proroków, przedstawiał, jako zamach na Rosję, jako wyrządzoną jej krzywdę. Zrozumieli to rozsowniejsi i bystrzejsi wśród obecnych dziennikarzy, ale znaleźli się między nimi także ludzie złej wiary oraz prostacy, patrzący na każdego dziennikarza rosyjskiego z nabożeństwem, jakgdyby był ambasadorem Rosji; w ich mniemaniu obraza takiego „ambasadora” była obrazą narodu i państwa rosyjskiego. Zaznaczało się rozdwojenie, mój wniosek mógł upaść. Musiałem przeto ostro odpowiedzieć Wergunowi, delegacja zaś polska zażądała — pod groźbą, że opuści salę obrad—uchwalenia mego wniosku w całości, bez poprawek. Wniosek uchwalono. Od tego czasu aranżerowie Zjazdów poczęli uważać obecność moją za niepożądaną i używali niekiedy zabawnych dyplomatycznych wybiegów, aby mnie do głosu nie dopuścić. Wkrótce po Zjeździe Dubrownickim pojawił się w Młodoczeskich Narodnich Listach denuncjatorski artykuł wstępny, zwrócony przeciwko mojej osobie i w ogóle przeciw „złym” Polakom, który, korzystając z licznej przewagi swojej, krzywdzą na Zjazdach naród rosyjski w osobach jego dziennikarzy.

Następstwa artykułów podobnych mogły być niebezpieczne

dla mnie, jako poddanego rosyjskiego. Z tego powodu postanowiłem wciągnąć do walki księcia Espera Uchtomskiego — i w tym celu, wkrótce po zjeździe, do Petersburga się udałem. Ks. Uchtomski, przyjaciel cara z czasu, gdy ten był następcą tronu, i towarzyszył jego w podróży po Azji, stał wówczas na czele redakcji „Petersburskich Wiadomości”. Gazeta mało była czytana w Rosji i nie miała wpływu, ale używała powagi zagranicą, zwłaszcza w Słowiańszczyźnie, ze względu na stosunki jej redaktora z Dworem, którym przypisywano znaczenie, jakiego w rzeczywistości nie posiadały. — Pochodzenia tatarskiego, z twarzą wybitnie mongolską, czuł się też Uchtomski azjatą w duszy. Poeta z powołania, wnosił poezję do polityki. Przejęty cudownym panazjatyckim snem o posłannictwie Rosji, która, duchowo do Azji należąc, powinna była cały ów wielki świat miłośnie ogarnąć i berłu Białego Cara poddać, obojętnie, nawet niechętnie traktował wszelkie zamiary ekspansyjne ku Zachodowi skierowane. Z tej strony chciał spokoju i dlatego gotów był do ustępstw w stosunku do narodów, zaludniających zachodnią część imperjum, szczególnie zaś w stosunku do Polaków. Jak daleko ustępstwa te sięgnąć mogły o tem wyobrażenia jasnego nie miał. Powściągliwy w sprawach polityki, był natomiast za bezwzględną tolerancją w rzeczach religijnych — i z tego stanowiska pisywał artykuły w kwestji „prymirenja” Polaków z Rosjanami. — Wyłożyłem mu swój pogląd na kwestję słowiańską, z którym się zgodził tem łatwiej, że sam dla wymienionych powodów propagandę panslawistyczną zwalczał. Po rozmowie przysłał do mnie reportera, który pod dyktówkę moją napisał artykuł redakcyjny o zjeździe w Dubrowniku, przeciw występom Werguna i jego przyjaciół wymierzony. Odtąd też „Petersburskie Wiadomości” umieszczały na podstawie sprawozdań w krakowskim „Czasie” sympatyczne oceny działalności naszego „Klubu Słowiańskiego”. Krzyżowało to w pewnej mierze antypolską agitację czeskich „Narodnich Listów” i innych posterunków rosyjskich w Austrii.

Dzięki takim epizodom, jak Dubrownicki, otwierały się stopniowo oczy przeciwników naszych w domu; przedstawiali podawać patriotyzm nasz w wątpliwość, naiwność ich jednak w sądach o kwestji słowiańskiej nie umniejszała się wcale. Przytłoczony wymowny przykład. W sferach rządowych powstała była myśl

urządzenia wielkiej wystawy słowiańskiej w Petersburgu; obecność naszą uznano tam za niezbędny warunek powodzenia. W tym celu zwrócono się do ś. p. ordynata Adama Krasińskiego, przedstawiając jemu ekonomiczne i nawet polityczne korzyści, jakie z obecności naszej wypłynąć dla nas mogły. Ordynat stanowczej odpowiedzi nie dał; postanowił wprzód zbadać opinię ogółu. Na zebraniu, króre zwołał w Krakowie, wystąpiłem przeciw udziałowi stanowczo i energicznie. Wystawa miała być olbrzymią manifestacją jedności wszechsłowiańskiej w duchu zasad polityki rządowej, rusyfikatorskiej; udział nasz przeto oznaczałby wobec całego świata ostateczne z naszej strony wyrzeczenie się wszelkich dążeń do poprawy warunków naszego bytu, byłby haniebną kapitulacją, a tryumfem wrogiej nam mocy. Zdanie moje przeważyło, lecz stanowiska mego nie zrozumiano. Z rozmaitych stron zapytywano mię potem, jak godzę w sobie dwie sprzeczności: prezesostwo w Towarzystwie, noszącem miano słowiańskiego, i agitację przeciw wystawie słowiańskiej. Pytający nie domyślali się, że mogło istnieć w kwestji słowiańskiej polskie stanowisko i polski pogląd.

Niedługo potem referent do spraw słowiańskich w „Nowoje Wremia“ w drodze z Petersburga do Pragi zboczył do Krakowa i między jednym pociągami a drugim wpadł do mnie, dowiedziawszy się o mojem przeciw wystawie działaniu. Do stanowiska i zdania mego, jako „przedstawiciela idei słowiańskiej w Polsce“, przywiązywał szczególną wagę. Użył w ciągu dwóch godzin całej wymowy, aby mię przekonać. Od udziału naszego, według słów jego, zależał przyszły do nas stosunek społeczeństwa rosyjskiego, rządu, sfer dworskich i ludzi, ze zdaniem których liczył się monarcha. Słowem, *być albo nie być*. Nie przyjmując wezwania, z którem się Rosja do nas zwracała, podpisywaliśmy wyrok na siebie... Rozmowę tę, której świadkiem był prof. Łoś, zaliczam do przyjemniejszych chwil w życiu! Mój gość miał minę człowieka, niespodzianie przegrywającego wielką stawkę! Długo i miasternie opracowywany plan rozbijał się o nasze *non possumus*. Wystawa, ten wielki, w pomyśle jej inicjatorów, akt hołdu narodów słowiańskich przed caratem nie doszła, z powodu abstynencji naszej, do skutku. Pochlebiam sobie, że było w tem trochę mojej zasługi.

Rzecz jasna, że zwalczając oficjalną i nowowremieńską Rosję, musieliśmy stale ze względu na słowian podkreślać, że istnieje inna, lepsza i szlachetniejsza Rosja, — Rosja Sołowjewów i Cziczerynow, z którą porozumienie byłoby łatwiejsze dla nas, a pożyteczniejsze dla nich. Ta lepsza Rosja przyszła do głosu po wojnie japońskiej. Czekaliśmy, co powie.

III.

Pod wrażeniem wstrząśnień wewnętrznych i przeobrażeń, które wojna japońska spowodowała w Rosji, znany parlamentarzysta czeski, dr. Karol Kramař doszedł był do przekonania, że nowowremieńskie, a przez rząd popierane słowianofilstwo, do szerzenia którego w społeczeństwie czeskim sam się był dużo w młodości przyczynił, bankrutowało w Rosji, Czechom zaś nie tylko pożytku nie przynosiło, ale szkodziło im, zrażając do nich naród polski wraz z jego reprezentacją parlamentarną, stanowiącą czynnik wpływowy w życiu Austrii. Jak wszyscy Czesi, niechętnem okiem patrzył Kramař na przymierze z ces. niemieckiem, które z rokiem każdym coraz bardziej przeistaczało się w zależność i groźne było dla przyszłości Czech. Pragnął zbliżenia się do Rosji — i jeśli marzenie kiedykolwiek unosiło tego trzeźwego człowieka poza rzeczywistość, to sądzę, że widział siebie w roli ambasadora Austrii w Petersburgu, przygotowującego zaczepno-odporny, austrjacko-rosyjski, przeciw Niemcom skierowany sojusz. Oczywiście, o doprowadzeniu do skutku sojuszu takiego nie mogło być mowy wśród istniejących okoliczności, ale torowanie drogi w tym kierunku było ze stanowiska czeskiego rzeczą pożądaną, wobec zaś tego rozsądek polityczny wymagał nie zniechęcania, lecz zjednywania Polaków. Dać odprawę p. Suworinowi i jego przyjaciółom politycznym, rozpocząć zaś flirt z liberalną opozycją rosyjską było rzeczą łatwą, ale i bezcelową z powodu węzłów, łączących Suworinowski nacjonalizm ze sferami rządzącymi w Rosji — i, nie bawiąc się w ideologię, dr. Kramař, jako polityk czynu, wpadł na śmiały pomysł pojednania obu przeciwnych obozów rosyjskich na gruncie idei słowiańskiej, do której postępowcy wszelkich odcieni żywili wyraźny wstręt, jako do ulubionego hasła żywiołów reakcyjnych. Dla urzeczywistnienia powziętego zamiaru niezbędne było oczyszczenie idei

słowiańskiej w jej rosyjskiej interpretacji; należało jej dać nowe oświecenie, przykryć nieco pierwiastki prawosławia i rosyjskości, natomiast zaś głośno zaznaczyć, że nie stoi ona na przeszkodzie swobodnemu rozwojowi poszczególnych narodów słowiańskich, przynajmniej w dziedzinie kultury.

Z tą myślą przybył Kramar wiosną 1908 roku do Petersburga, wszedł w stosunki z najgłośniejszymi politykami rosyjskimi, oraz z Kołem Polskim, niejednemu umiał trafić do przekonania. Miał długą rozmowę z ówczesnym premierem, Stołypinem, i wszystko to utwierdziło go w rokosznym złudzeniu, że jego „neoslawizm” stanie się słubnym pierścieniem prawicy i lewicy w Dumie, że znajdzie poparcie u kierowników nawy państwowej rosyjskiej i wpłynie na zmianę ich stanowiska wobec Polski w duchu dla niej przychylnym, że wskutek tego neoslawizm pociągnie Polaków, że złagodzą się, może nawet znikną przeciwieństwa i zgrzyty we wzajemnych stosunkach Rosji i Polski, że wywoła to sympatyczny oddźwięk w Galicji, że oddźwięk ten doprowadzi do zwrotu w usposobieniu i polityce Polaków galicyjskich, i ci, zamiast być nadal czynnikiem pośredniczącym między sławizmem a germanizmem w parlamencie, przechyłą się na stronę słowiańską. Monarchja Habsburgów może strząsnęłaby wówczas z siebie niewolniczą zależność od Berlina. Dla Czech, dla całej Słowiańszczyzny austriackiej i bałkańskiej otwierały się nowe, a ponętne widnokreśli...

Plan był pomyślany szeroko. Jego twórca zapragnął dlań sankcji uroczystej. W tym celu zainicjował Zjazd Słowiański w Pradze, w lipcu tegoż 1908 roku i nadał mu rozmiary kongresu politycznego, którego członkowie powinni byli być opatrzeni wszyscy w mandaty od krajów swoich i stronnictw. Podążyłem do Pragi w charakterze przedstawiciela Polaków na Białej Rusi. Jechałem pełen wojowniczych zamiarów, wiedząc, że stawią się tam licznie prowodyrowie polakożerczego nacjonalizmu. Nastrezczała się dogodna sposobność do obnażenia wobec delegatów z całej Słowiańszczyzny ich słowianofilskiej obłudy. Jakież było moje zdumienie, gdy już w wagonie, wiozącym nas, Polaków, z Krakowa do Pragi, przekonałem się z rozmów ze współtowarzyszami swymi z obozu demokracji narodowej, iż dalecy od wszelkich zamiarów zaczepnych, jechali w usposobieniu bez-

względnie pojednawczem — i to ci właśnie, którzy dotąd trzymali się najdalej od wszelkiej akcji słowiańskiej, z lekceważeniem i niechęcią na nią patrząc. Na razie zdezorientowany, prędko zrozumiałem, że rola moja w Pradze będzie z natury rzeczy bardzo małą, że na kongresie politycznym pierwsze skrzypce trzymać będą nie literaci i uczeni, ale leaderzy wielkich stronnictw politycznych, pomiędzy którymi, zwłaszcza zaś między p. p. Kramarem i Dmowskim, może już zostały omówione zarysy obrad i uchwał.

Przyjechawszy na miejsce, zobaczyłem, że nawet nie było z kim się procesować. Panowie nacjonałiści i nowowremieńcy — Wergun, Filewicz, Korablew, Komarow — byli wstrętnei, jak zawsze, w obłudzie swojej, nadającej sobie pozę i ton pokrzywdzonej niewinności, przypartej do muru i rozpaczliwie broniącej się przeciw napastnikowi, ale unikali tematów drażliwych. O krzywdach zaś naszych i konieczności rozwiązania kwestji polskiej, zgodnego z żądaniami naszymi w obrębie imperjum rosyjskiego, gorąco i pięknie mówili Rosjanie Mikołaj Lwow i Aleksander Stachowicz, a świadectwa ich większą naturalnie miały wagę, niż najwymowniejsze z naszej strony wykłady, w których mało kompetentni słuchacze mogli upatrywać stronnictwą przesadę. Szczególne wrażenie ze względu na osobę mówcy wywarły na jednym z bankietów słowa Aleksandra Stołypina, brata premjera, a współpracownika „Nowoje Wremia“, więc nacjonalisty i rządowca. Z zakłopotaniem i jakąś sympatyczną i, jak się zdawało, szczerą nieśmiałością mówił o nieśmiałości swojej i Rosjan, gdy się do nas zbliżają, — nieśmiałości stąd pochodzącej, że czują serdeczny do nas pociąg i zarazem swoją wielką wobec nas winę. Obecności p. Stołypina przypisywano szczególne znaczenie; przybył, jako wysłaniec swego wszechpotężnego wówczas brata, który szczególnie miał się interesować całym przebiegiem kongresu.

IV.

Delegacja polska nie mogła zadowolnić się samemi tylko grzeczneimi frazesami ze strony Rosjan. Żądała od kongresu stanowczej rezolucji, stwierdzającej prawa narodów słowiańskich do samodzielnego bytu. Dochodziły do nas wieści o namiętnych sporach, które z tego powodu toczyły się w delegacji rosyjskiej.

W końcu rezolucja przeszła, dzięki energii, jak nam opowiadano, i wymowie hr. Włodzimierza Bobrinskiego. Pomimo to, ten najgłośniej krzyczący z nacjonalistów nie budził w nas zaufania. Życzliwe z pozoru usposobienie dla nas szło w parze z fanatycznym zapałem do propagandy rosyjskiej w Galicji Wschodniej. „Ruś Halicka — mówił do mnie — Ruś Romanow i Danielów jest dla nas świętością narodową, porywającą serce i wyobraźnię każdego szczerego Rosjanina; musimy ją odzyskać dla siebie, nie materjalnie, bo nie dążymy do wojny i zaborów, ale duchowo“. Stąd zaś w głowie jego powstawała kombinacja taka: niech Polacy pomogą nam rusyfikować Galicję, a moja frakcja poprze wzamian niektóre ich dezyderaty w Dumie. Pomysł był naiwny i niezbyt pochlebnie świadczył o osobie jego autora. „Nie zrażajcie go jednak do siebie — mówił nam na to Aleksander Stachowicz — pozyskanie jego jest dla sprawy polskiej największym plusem Zjazdu Praskiego; wobec prądów, idących z góry, głos Bobrinskiego o Polsce i za Polską więcej znaczy, niż głosy wszystkich kadetów i liberałów razem wzięte“.

Dlatego to nie chciałem go tracić z oczu. W kilka dni po kongresie wstąpił na dzień jeden do Krakowa. Towarzyszyli mu nieodstępny jego adjutant, poseł Giżyckij, zacny, już dziś nie żyjący generał Wołodimirow i Mikołaj Lwow „najszlachetniejszy z synów Rosji“, jak go w kołach jego kolegów polskich z Dumy nazywano. Celem podróży był Lwów. W ostatniej jednak chwili poseł Lwow, wiedziony instynktem dobrze wychowanego człowieka, zaniechał tej wycieczki, nie chcąc gościnności polskiej się odwdzińczyć brataniem się we Lwowie z Dudykiewiczem i całym klanem zaciętych wrogów polskości. Na pochwałę zaś gen. Wołodimirowa należy powiedzieć, że przybywszy do Lwowa szybko zorjentował się w sytuacji i choć długie życie swoje spędził był w otoczeniu dla nas niechętnem — sam mi to opowiadał — i, nie był wskutek tego wolny od uprzedzeń, jednak zrozumiawszy trudność położenia naszego w Galicji Wschodniej, odstąpił od agitacji i wkrótce spostrzeżenia swoje bezstronne i rozumne ogłosił w jednej z gazet petersburskich. — Wszystko to działo się w lipcu. — W październiku spotkałem się z hr. Bobrinskim w Budapeszcie; spędziłem tam dwa dni z nim i z Karolem Kramařem. Kramař żonaty z Rosjanką, duchowo zrusyfikowany, dla nas nieprzychyl-

nie usposobiony, jednak tym razem lojalnie i energicznie dopomagał mi, gdyśmy kwestję stosunków polsko-rusińskich poruszali. I miałem wrażenie, żeśmy zdołali Bobrńskiego przekonać, iż nienawistny dlań ruch ukraiński był potęgą, z którą Polacy nie mogli się nie rachować i że, z drugiej strony, do rozwoju ruchu rosyjskiego (czyli t. zw. „moskalofilstwa“), bez względu na nasze wobec niego zachowywanie się, nie dopuściłby nigdy rząd Wiedeński z obawy przed wytworzeniem rosyjskiej irredenty. Wpływał stąd wniosek, że zmiany w stosunku do kwestji polskiej w imperjum rosyjskiem nie należało uzależniać od powodzeń czy niepowodzeń „moskalofilskiej“ partji w Galicji. I hr. Bobrński opuszczał Budapeszt z mocnym, jak twierdził, zamiarem podjęcia sprawy polskiej w Dumie, zastanawiał się wobec nas nad tem, przy jakiej sposobności wypadnie mu to zrobić.

Obietnicy dotrzymał, sprawę polską poruszył i popchnął, tylko we wręcz przeciwnym kierunku, ogłaszając, jako najbliższy cel idei słowiańskiej w Rosji, oderwanie Chełmszczyzny od Królestwa Polskiego i walkę z polskością. Z przyjaciela przedzierzgnął się niespodziewanie w nieubłaganego wroga. Jakie pobudki odegrały tu główną rolę, może wyjaśni to z czasem historia...

Słowem „słowianofile“ starego rusyfikatorskiego autoramentu zręcznie wzięli na kawał, mówiąc trywjalnie, inicjatorów ruchu neosłowiańskiego. Z ich pomocą, z pomocą przychylnych dla neoslawizmu wybitnych i uczciwych polityków liberalnych, jak Mikołaj Lwow, naprawili oni swoją zaszarganą w społeczeństwie rosyjskiem opinię, aby ze zdwojoną siłą zawrócić na starą wypróbowaną drogę. Balicki i Dmowski, pomimo całej przenikliwości swojej, nie dostrzegali u ludzi, z którymi mieli do czynienia, tego, co dostrzegł był u Rosjan niegdyś Norwid i genialnie określił wyrazami „mądrość kłamstwa“.

Niesłusznie jednak wytykano Dmowskiemu i Balickiemu neoslawizm, jako grzech. Ich plan miał widoki powodzenia nawet ze stanowiska interesu państwowego rosyjskiego. Wobec wielkiej wagi, jaką w Rosji przywiązywano do kwestji słowiańskiej, zupełnie słuszne było przypuszczenie, że właśnie na moście słowiańskim dogodniej, niż gdzieindziej, da się skutecznie spotkanie się i porozumienie obu największych narodów słowiańskich. I nie możemy rzucać kamieniem na Dmowskiego i jego zwolenników

zā to, że się tak nie stało, że przecenili oni moralną wartość tych małych ludzi, z którymi zawarli stosunki, i nie widzieli, że obliczony na daleką metę interes poświęcony będzie przez owych małych ludzi interesom i namiętnościom chwili bieżącej. Dziwimy się raczej, że po nieudanej próbie nie zrozumieli, że z rozmaitych mostów między Polską a Rosją most słowiański był chyba najkruchszy. Jeszcze w czasie wojny poseł Harusewicz wygłaszał w Dumie mowy, na ideologii słowiańskiej oparte.

V.

Z neoslawizmu wycofałem się prędko. Obrano mię w Pradze, wraz z Dmowskim i adw. Doboszyńskim, członkiem Komitetu Wykonawczego Zjazdów Słowiańskich. Wybor przyjąłem, ale niedługo potem, w październiku, czy listopadzie, po wystęпах w Dumie Bobrinskiego, rozwiały się resztki moich złudzeń. W czerwcu 1909 roku wezwano nas do Petersburga na narady Komitetu. Dmowski uczestniczył w nich, ja nie pojechałem. W wywiadzie z reporterem „Głosu Narodu“ oświadczyłem, że choć współdziałanie z figurami tego rodzaju, co prof. Filewicz, Bobrinskij, Wergun *e tutti quanti* jest kompromitujące dla Polaka, ale że w Petersburgu będzie nie kongres, lecz tylko narada w ścisłym kółku, więc niema powodu potępiać Dmowskiego, byleby tylko sprawę polską postawił jasno... „I będę zdumiony, — kończyłem — jeśli narady nie doprowadzą do zerwania, zerwanie zaś byłoby pożądane, bo wyjaśniłoby sytuację i wiedzielibyśmy wówczas, z kim w Rosji możemy iść ręką w rękę na gruncie idei słowiańskiej“. Polemizował ze mną w tej sprawie na szpaltach nar. dem. „Słowa Polskiego“ ś. p. prof. Horodyski. Redakcja rozstrzygnęła, przyznając słuszość i mnie i Dmowskiemu: „p. Dmowski, jako polityk praktyczny, powinien był jechać do Petersburga, prof. Zdziechowski, jako ideowy chorąży ruchu Słowiańskiego w społeczeństwie polskim, dobrze zrobił, że nie pojechał“.

Wkrótce potem umieściłem w „Mosk. Jeżenedielniku“ księcia Eug. Trubeckiego, z powodu aneksji Bośni przez Austrię, dwa artykuły p. t. „Austrosławizm i Rosja“. Wykazywałem w nich, że „słowiańska“ polityka Rosji jest stokroć groźniejszą dla Słowian, niż okrzyczany przez prasę rosyjską „germański ucisk“ w Austrii

i że austrosławizm, choć jest sławizmem pośledniego gatunku, bo wysługiwać się musi Niemcom, jest jednak lepszy od rusyfikatorskiego cynicznego rusosławizmu Stołypina. „Choć walka ekonomiczna z Niemcami — pisałem w zakończeniu — jest ciężka w Bośni, wątpię jednak, ażeby się znalazł tam choć jeden człowiek, któryby, zamiast autonomji pod berłem Habsburgów, wolał mieć Sarajewską gubernję z rozkoszami rusyfikacji szkoły, sądownictwa i urzędów administracyjnych“... Co zaś do nas Polaków, to „możemy najzupełniej obojętnie traktować ewentualność zmiany panowania rosyjskiego w Królestwie na panowanie pruskie“. W odpowiedzi swojej na artykuł ten, ostrej, ale utrzymanej w tonie szlachebnym, ks. Grzegorz Trubecki upatrywał w rozumowaniu mojem wyraz „samobójczej jakiejś psychologii“ i przypisywał to nastrojowi przelotnemu.

Mylił się. W roku następnym (1910) na zaproszenie na Zjazd Słowiański w Sofji odpowiedziałem następującą depeszą: *„Regrette circonstances politiques m'empêchent prendre part Congrès. Collaboration impossible avec représentants de la Russie réactionnaire, russificatrice, antislave, slavophage, avec Bobrinsky, Gutschkoff, qui ayant voté Douma suppression Constitution finlandaise et propageant russification Pologne, donnent au Congrès marque antislave, antichrétienne, antihumanitaire. Salut cordial à nos amis russes Stachowitsch, Pogodine. Souhaits de prospérité à la nation Bulgare“*.

Depeszę tę przedrukowały gazety krakowskie i bułgarska „Kambana“.

Gdy w r. 1913 N. A. Brianżaninow, zakładając organ swój „Nowoje Zwienio“, zwrócił się do mnie z prośbą o artykuł do pierwszego zeszytu na temat „Czego Polacy żądają od Rosji“, odpowiedziałem w liście otwartym, że Polacy niczego od Rosji nie żądają, co zaś do mnie to chciałbym zapomnieć, że jest Rosja i że są Rosjanie. Brianżaninow był tak lojalny, że mój list, choć przykry dla niego, wydrukował w całości.

Nie oznaczało to z mojej strony zerwania z Rosją. Ks. Grzegorz Trubecki słuszną robił uwagę, że „jeśli, pomimo niewiary w możliwość odrodzenia Rosji i w rzetelność jej dążenia do zgody z Polską, pisarz polski zwraca się z gorzkimi myślami swemi wprost do społeczeństwa rosyjskiego po rosyjsku i na

szpaltach pism rosyjskich, to widocznie sądzi on, że nie wszystko jeszcze stracone, że do sumienia narodu tego przemówić jeszcze warto“.

I rzeczywiście, z opozycją liberalną rosyjską podtrzymywałem nadal przyjacielskie stosunki, bo byli w jej szeregach ludzie niepospolicie rozumni i szlachetni, dla których żywiłem uczucia szczerego podziwu i czci. Ale bezowocność i beznadziejność polityki, którą nazywano ugodową, widziałem coraz wyraźniej — i, rzecz charakterystyczna, im bardziej się ja od Rosji oddalałem, z tem większym zapałem pędzili w jej objęcia moi przeciwnicy z demokracji narodowej, ci sami, co mię przedtem, jako rusofila, piętnowali.

Długoletnie stosunki moje ze Słowiańszczyzną doprowadziły mię do wniosku, że jedynym tam żywiołem, mogącym zrozumieć stosunek nasz do Rosji, byli katolicy i to nie wszyscy, ale wyłącznie katolicy kierunku krańcowego, ci, co za biskupem Machniczem, najwybitniejszą obok Strossmayera, lecz wręcz odmiennego typu postacią w episkopacie Jugosłowiańskim, powtarzali, że bliższymi im są Niemcy katolicy, niż ich własni rodacy z obozu liberalnego. To też serdecznie witaliśmy w Krakowie w maju 1911 roku przedstawiciele stronnictw katolickich w Krajnie i Karyntji, którzy licznie przybyli z marszałkiem i wicemarszałkiem Sejmu na czele. Porozumienie między nami było zupełne, żaden incydent nie zamącił harmonji i bez obawy protestu z czyjejkolwiekby strony mogłem otwarcie w mowie mojej powiedzieć, że różnica między sławizmem rosyjskim Bobrinskich i Filewiczów a nami polega na tem, że im „wydaje się chwalebne i dobrem to, co my za ostateczną nikczemność moralną poczytujemy“.

Dla ścisłości dodać wypada, że neosławizm w Rosji nie przeszedł całkiem bez śladu. Neosłowiańska góra spłodziła małą mysz w postaci uczciwego, tak w programie jak i w pracach, Towarzystwa Kultury Słowiańskiej w Moskwie, na czele którego stanął wielki uczony, szlachetny człowiek prof. Korsz. Czynn timer zaś dopomagali mu nasi współziomkowie, zrazu Czudowski, jako sekretarz, potem Lednicki, jako wice-prezes. Niestety, towarzystwo to ani wpływu, ani znaczenia wielkiego w społeczeństwie rosyjskiem nie zdobyło.

Wszystko, co tu opowiedziałem, działo się niedawno, a wygląda tak, jak gdyby należało do dalekiej przeszłości. Wraz z Austrią zeszedł do grobu austrosławizm, Rosję zaś zagarnęli ludzie, którym absolutnie obcą jest wszelka słowiańskością zabarwiona ideologia. A jednak — brzmi to paradoksalnie, ale tak jest — rusosławizm istnieje i nie tylko istnieje, lecz kwitnie i wzrasta w siłę, szczęśliwie pochowawszy swego austriackiego współzawodnika. Wśród państw, co na zwaliskach monarchji Habsburgów powstały, są dwa państwa słowiańskie — i te całą siłą wrodzonego, nie rozumującego instynktu szukają oparcia dla siebie w Rosji. Gdy jednak oczy Jugosłowian, zwłaszcza zaś Serbów z ich dynastją na czele, zwrócone były dotychczas wstecz, ku Rosji carskiej, to Czesi wykazywali wrażliwość znacznie mniejszą wobec różnic dzielących obydwie Rosję — dawną carską i dzisiejszą bolszewicką. Jakże wymowne było ich zachowanie się w r. 1920! Ówczesnemu ambasadorowi angielskiemu w Berlinie, hrabiemu d'Abernoon, polecono udać się do Polski w charakterze „specjalnego wysłannika Rządu Jego Królewskiej Mości“. To wszystko, co tam widział, opisał sumiennie w wydanej we 12 lat potem książce ¹⁾. Zrozumiał, czego zrozumieć nie wszyscy chcieli, że „z upadkiem Warszawy środkowa Europa stanęłaby otworem dla propagandy komunistycznej i dla sowieckiej inwazji“... „W wielu sytuacjach historycznych — pisze — Polska była przedmurzem Europy przeciw najazdom Azji. W żadnym atoli momencie zasługi położone przez Polskę nie były tak wielkie, w żadnym momencie niebezpieczeństwo nie było groźniejsze“. Na tę groźbę Czesi zamknęli oczy i otwarcie, przynajmniej w ogromnej większości, stali po stronie bolszewików. Nie wątpiąc o ich zwycięstwie, które dla dobra Czech przyspieszyć należało, rząd czeski odmówił pozwolenia na przejazd pociągów z amunicją przez swe terytorja.

Prez. Masaryk, który przed wojną tak trzeźwo, beznamytnie i rozumnie oceniał stosunki rosyjsko-polskie, teraz jakby uległ sugestji otoczenia. Nietylko, powiada Abernoon, uważał zdobycie Warszawy za rzecz bezwzględnie pewną, ale nawet ostrzegał

¹⁾ Hr. d'Abernoon „Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata“ (Przekład z ang., Warszawa, 1932).

nas, byśmy nie organizowali pomocy militarnej na korzyść Polaków, bo pomoc taka, zdaniem jego, byłaby bezskuteczna i podkopałaby autorytet mocarstw zachodnich przy pertraktacjach pokojowych.

Nie spełniły się przewidywania czeskie i wraz z tem zmieniły się poglądy. W drodze powrotnej hr. d'Abernoon znowu się zatrzymał w Pradze. „Przed miesiącem—zapisywał—panował tu nastrój potajemnie wrogi Polsce — dzisiaj wręcz naodwrot, jakąż ogromną różnicę sprawia zwycięstwo“! Min. Benesz rozprawiał o konieczności połączenia się Czech, Serbji, Rumunji oraz Polski w jedno ugrupowanie. W jakim celu? „Zabezpieczy to od nowego napadu bolszewików — dowodził niedawny ich przyjaciel, *ad captandam benevolentiam* Anglika — i utrzymamy spokój na Węgrzech“. *Da lag der Hund begraben*. Z obawy przed dążeniami odwetowymi Węgier weszły Czechy w porozumienie z Rumunją i Serbją i do tej małej Ententy chętnieby nas wciągnęły.

Zastanówmy się, co by potem nastąpiło. Musielibyśmy dać zgodę naszą na ostateczne zmiżdżenie czy ubezwładnienie Węgier — i ściśnięci, zduszeni w braterskich objęciach Rosjan, Czechów, Jugosłowian, zostalibyśmy zepchnięci do roli satelity Rosji, czy to w postaci mikroskopijnego w ściśle etnograficznych granicach zamkniętego państewka, czy — gorzej jeszcze — autonomicznej prowincji. Bo któżby nam pomógł, ktoby miał interes w utrzymaniu potężnego państwa polskiego?

Słowem, niema dla nas dziś miejsca w żadnej kombinacji panslawistycznej — i to tem bardziej, że Rosja bolszewicka daleko niebezpieczniejszą jest dla nas, niż Rosja carska; grozi zatruciem ducha narodowego, ku czemu świadomie, czy nie — mnie się zdaje, że z całą świadomością — grawitują nasze lewicowe grupy.

Zbawieniem jedynem byłaby liga wszystkich elementów zachowawczych we wszystkich państwach i narodach Europy, skierowana przeciw idącemu od Rosji barbarzyństwu. Ale to jest niemożliwe; narodom i państwom Europy milej jest być sforą rozjuszonych i wzajemnie się gryzących psów. Pozostaje nam życzyć takiego ugrupowania, w którym Polska i Węgry mogłyby się znaleźć obok siebie, ale od życzenia do czynu, jakże daleka jest dziś droga!...

XI.

EUROPA POWOJENNA A KONCEPCJA HR. JULJUSZA ANDRÁSSY'EGO

I.

Hr. Juljusz Andrassy, polityk czynny i pisarz polityczny, należał do tych rzadkich ludzi, którzy w sądach o rzeczach i sprawach, w których sami żywy brali udział, umieli się wznieść ponad osobiste uczucia, ponad przeżycia swoje i uprzedzenia i spojrzeć z góry, ze stanowiska idei, ale ujętej nie po doktrynersku, nie oderwanej od życia, lecz ściśle uwzględniającej owo nieubłagane, żelazne prawo konsekwencji logicznej, co wiąże bieg zdarzeń dziejowych w jeden nieprzerwany łańcuch.

Wśród licznych dzieł o wojnie tylko jedno znalazłem, o którym bez wahania powiedzieć można, że wyraża ono nietylko pogląd autora; jest ono wyrokiem historii, uprzedza sąd przyszłości. Tem dziełem jest hr. Andrassy'ego *Diplomatie und Weltkrieg* (1920). „Wśród zagadnień polityki zewnętrznej — czytamy tam — kwestja polska pochłaniała mnie najbardziej“ (str. 158). On pierwszy podniósł ją jeszcze w marcu 1915 roku: „Sprawiedliwość — pisze on — interes, uczucie, wyrachowanie działały tu zgodnie; jedyną polityką właściwą było robić wszystko możliwe, ażeby naród polski pozyskać“. „Sprawiedliwe rozwiązanie kwestji polskiej, wyzwolenie ujarzmionego narodu, zmazanie starej zbrodni byłoby świetną odpowiedzią na wszystkie przeciwko nam podniesione oskarżenia, nadarzała się znakomita sposobność naprawienia sprawy naszej skompromitowanej przed opinią publiczną całego świata“.

Hr. Andrassy wystąpił wtedy z programem trialistycznym—

Austria — Węgry — Polska. Stworzenie z Polski wraz z Galicją suwerennego państwa pod berłem Habsburgów było, zdaniem jego, w warunkach ówczesnych jedyną ekspansją leżącą w interesie monarchji i w interesie Polski, bo zamiast ograniczać wolność, ona ją Polsce niosła.

Podróż do Berlina w jesieni 1915 r. przekonała go, że porozumienie z kanclerzem Bethmann Hollwegiem nie było rzeczą wykluczoną, natomiast znalazł on stanowczych przeciwników wśród polityków austro-węgierskich przede wszystkim zaś w osobie hrabiego Stefana Tisza. Człowiekowi temu z wolą i energią potężną brakowało owej elastyczności, która ułatwia dostosowywanie się do nowych warunków; uparcie i niewzruszenie trzymał się Tisza poglądów, wyrobionych w młodości swojej, i nie był w stanie wznieść się ponad stanowisko austro-węgierskiego dualizmu.

Doznane wówczas zawody nie zachwiały Andrássy'ego. Tylko wobec zmienionych okoliczności nadał on po wojnie myśli swojej inną formę, głosząc konieczność zbliżenia się i przymierza polsko-węgierskiego.

W marcowym zeszycie *Przeglądu Współczesnego* (1923) znajdujemy rozprawę jego p. t. „Węgry a Polska“. „Sytuacja dzisiejszej Polski — pisze on — podobna jest do tej, jaka była przed rozbiorem Polski dawnej, kiedy to wszyscy jej sąsiedzi byli jej nieprzyjaciółmi, a przyjaciele jej byli daleko, trzymali w ogniu dwa żelaza, by wrazie katastrofy Polski móżdż się pogodzić z jej wrogami“. Prawda słów tych jasna jest, jak dzień. Wszak to samo, innemi słowami, a z większą precyzją głosił Al. Skrzyński niemal równocześnie w broszurze „Polska, a pokój“. „Nie warto ukrywać — słowa jego — a niebezpiecznie zapoznawać fakt, że 1500-kilometrowa linearna granica polsko-rosyjska, to linja ognia, to przysgasającego, to tlejącego, to znów wybuchającego daleko widocznemi płomieniami, lecz zawsze jednakowo niebezpiecznego dla Polski i także dla Europy“. Pamiętać też trzeba, że Czechosłowacja i za nią Jugosławia „upatrują także swój interes w odrodzeniu imperjalistyczno-nacjonalistycznej Rosji“. Dodajmy wreszcie, że granica Polski z Niemcami wynosi koło 1000-a klm., z Litwą 400!... Przypominając to wszystko, Skrzyński miał na myśli czytelników angielskich, dla nich w ich języku pisząc. Chodziło mu o utwierdzenie ich w przekonaniu, że wobec przytoczonych wa-

runków Polska innej polityki, jak pokojowej, prowadzić nie może i nie chce. Ale, jeśli pomimo pokojowej polityki naszej, ościenne państwa knuły na nas nowy zamach, nową napaść w celu nowych rozbiorów? Na to, w przeciwieństwie do byłego węgierskiego ministra spraw zagranicznych, nasz były minister biorący także wówczas udział w polityce czynnej, wyraźnej odpowiedzi dać nie chciał dla względów zrozumiałych. Niech czytelnik Polak na podstawie podanych faktów „wytworzy swoje przekonanie osobiste“, to jedno za nic przewodnią biorąc, że polityka pokojowa powinna być zarazem polityką czynną, nie zaś bierną polityką abdykacji, która jest „polityką samobójczą“. Tej jednak świadomości u nas prawie niema: „w pojęciu ogółu — ubolewał Skrzyński — polityka zagraniczna jest troską chwil swobodnych, pogodnych, zajęciem odświeżającym... tragiczna to — zdaniem jego — rozbieżność między wyobrażeniami naszymi, a rzeczywistością. Przeszłe pokolenia dążyły do niepodległości; cel został osiągnięty, nastąpiło znużenie i wraz z tem bezideowość, niezdolna do uświadomienia sobie tego nowego celu, jakim powinna być potęga państwa, „wzrok zaś oderwany od celu staje się krótkim“ — i nie widzimy już tego, że „Polska ściśnięta jest w kleszczach potężniejących z dnia na dzień potęg“. Słowa te młodego publicysty, a ucznia uniwersytetu wileńskiego¹⁾ cytuję z przyjemnością, jako promyk nadziei, wśród mroku i chaosu ogarniających nas partyjnych nienawiści, które tenże autor trafnie z manją prześladowczą porównał.

Szczególnie zaś oburzającą jest optymistyczna bezmyślność znacznej części naszej prasy. Oto przykład. W tymże 1924 roku natrafiłem w *Gazecie Warszawskiej* na twierdzenie, nie wiem już po raz który tam powtórzone, że „stańczyków celem jedynym jest zwalczanie polityki antyniemieckiej, że zaś niema możliwości w kierunku tym działać bezpośrednio, więc idzie się do tego drogami okrężnymi, czy zapomocą przeciwdziałania porozumieniu polsko-czeskiemu, czy przez różne pomysły węgierskie lub słowackie“.

Pytań, co ma ten ostatni dodatek oznaczać. Czyżby autor, za którym stoi liczne i silne stronnictwo, nie wiedział o wskaza-

¹⁾ Kazimierz Leczycki „Trzecia Polska“, Wilno 1924.

nem przez Andrásy'ego a grożącym Polsce niebezpieczeństwie, iż w każdej chwili „może być zizolowana i atakowana z każdej strony“ i czyżby wobec tego nie zrozumiał, iż zbliżenie się do Węgier, jako państwa złączonego z nami wspólnością interesów, jest rzeczą pożyteczną, a od sympatyj czy antypatyj niemieckich niezależną? Skądże ten antymadjaryzm nasz pochodzi? Szukając w przypuszczeniu dobrej wiary u tych, co to głoszą, ideowych jego źródeł, znajdziemy je chyba tylko w przywiązaniu do traktatu wersalskiego. Traktat ten, jako wyraz sądu zwycięzców nad zwycięzonymi, podzielił narody Europy na wybrane i potępione, do tych ostatnich zaliczone są Węgry. Nie przystoi przeto Polsce, obdarzonej z mocy traktatu szczęściem niepodległości, bratanie się ze skazanymi na wiekuiste męki potępieńcami — nie przystoi i mogłoby ją narazić na niełaskę potężnej zwycięskiej strony.

Traktat uważamy za nietykalną świętość. W roku 1923 słuchałem mowy ówczesnego ministra spraw zagr. Aleksandra Skrzyńskiego, którą wygłosił w czasie pobytu swego w Wilnie, na bankiecie ku jego czci. Spokojnie i jasno przedstawił on stan Polski przed wojną i w czasie wojny, gdy jednak przeszedł do traktatu, nagle zmienił intonację głosu; zdawało się, że słowa jego szły gdzieś z najgłębszej głębi duszy, że składał swoje wyznanie wiary, że podawał nową ewangelję polityczną, w której zmiana jednego wyrazu ciągnęłaby za sobą straszliwe klęski dla Polski i dla świata — i za którą gotów był zaraz, wprost z bankietu iść na męczeństwo.

Wyznając, że patetyczny ton mówcy budził we mnie uczucie niesmaku. Nikt temu przeczyć nie będzie, iż traktat dał nam niepodległość. Ale dał ją w warunkach najcięższych, jakie się dadzą pomyśleć, wymagających z naszej strony cudu nieustającego heroizmu, czyli czegoś, co przekracza granice ludzkiej możliwości: wszak w r. 1920 byliśmy już nad skrajem przepaści... Łudzimy siebie wiarą we Francję, która za nami stoi; ale stoi, niestety, daleko i sama jest osamotniona. Wszyscy to widzą we Francji, my jedni zamykamy oczy. Francja wzdycha za sprzymierzeńcem potężnym, jakim wydawała się Rosja przed wojną, ale Polska nim nie jest. „Przymierza z państwami drugiej czy trzeciej klasy, z jakąś Czechosłowacją, czy Polską, *sont peu*

souhaitables — mówi uczony i obserwator bardzo bystry, a bardzo nas lekceważący, dr. Gustaw Le Bon¹⁾, — dużo nas one kosztują, mało zaś wzamian dają; widzieliśmy, jak w wojnę z Rosją sowiecką o mało nie wciągnęło nas nasze półprzymierze z Polską“... W braku Rosji jakże przydatną byłaby Austria! Grzechem śmiertelnym twórców traktatu wersalskiego, największym, jaki popełnili, jest zburzenie monarchji Habsburgów (*absurde dépêçage de l'Autriche*) — tak się wyraża Le Bon. Twierdził to samo, ale nie tak stanowczo, w uprzedniej pracy swojej *Psychologie des temps nouveaux* (1920); od tego jednak czasu zostało to już uznane niemal powszechnie, stwierdzone w ankiecie o nacjonalizmie, zarządzanej w r. z. przez miesięcznik *Les Lettres*: brało w niej udział przeszło stu uczonych, polityków i publicystów — i ogromna ich większość doszła do tegoż samego wniosku o zgubności „dogmatu antyaustriackiego“, który kierował polityką francuską w ciągu dwóch z górą stuleci: „Nie wielu było mężów w dziejach świata — mówi Le Bon — którzyby posiadali władzę tak ogromną, jak ta, co się znalazła w ręku Wilsona w chwili, gdy wysiadał na brzeg Europy, aby dyktować warunki pokoju“. Lecz człowiek ten był tępym doktrynerem, bez zmysłu rzeczywistości: „Politykom z zawodu nie ufał, chciał mieć wyłącznie profesorów, jako delegatów na kongres — i dał światu pokój, który Le Bon ironicznie nazwał *La paix des professeurs*²⁾. Nie mając pojęcia o sprawach Europy, bez wahania wziął na siebie odpowiedzialność za nakreślenie nowej jej mapy i potężnym *prestige'm* swojej osoby powywracał (*il bouleversa*) wszystkie twory historii, najstarszą zaś z monarchij europejskich przeistoczył w szereg państw, pozbawionych możliwości niezależnego bytu ekonomicznego“³⁾; dzięki temu mamy przed sobą *un gâchis innommable des peuples et des races aujourd'hui en pleine fermentation*⁴⁾.

I wszystko to w jakim celu? „Pod wpływem niepojętego obłądzenia — odpowiada na to La Revelière — zabarwionego szaleństwem antyklerykalnym, przedstawiciele Francji na kongresie woleli wi-

1) W „Le déséquilibre de la guerre“ (Paris, 1923) s. 261.

2) Tamże, por. str. 29 — 33.

3) Tamże, por. str. 221.

4) Marquis de la Revelière: „Europe centrale — Etude d'incendie“ (Paris 1923).

dzieć tuż za drzwiami bolszewizm i rewolucję, niż utrzymać przy życiu coś, coby miało jakiegokolwiek podobieństwo do starego porządku rzeczy“¹⁾. Więc rozkawałkowano wielkie katolickie mocarstwo i pod pozorem uszanowania jakichś mniejszości narodowych pogwałcono zarówno tradycje historyczne i kulturalne, jak geografję, nie cofając się przed amputacjami, dokonywanymi na ciałach narodów jednolitych albo żytych z sobą od lat tysiąca. „Jedne narody rozdarto — woła poseł Karol Daniélou — inne izolowano, inne wreszcie, jak najniezwyklejszych (*les malheureux, les très malheureux*) Rusinów węgierskich, skazano na mękę powolnego konania z głodu“²⁾.

„Wschodnia Europa czytamy w wymienionej rozprawie hr. Andrassy'ego — zbudowana na zasadach traktatu w Trianon jest budową sztuczną, niesprawiedliwą i opartą na sile“. Pogląd ten staje się coraz bardziej poglądem wszystkich tych pisarzy francuskich, którzy sprawy Europy wschodniej cokolwiek badali. Błędem zaś najgorszym, jakiego się dopuścili, według Daniélou, ślepi wyznawcy modnej doktryny samostanowienia narodów, jest oderwanie trzech milionów Węgrów od państwa węgierskiego; „kto uwierzy, że ci Węgrzy, których głęboki instynkt patriotyczny znany jest światu całemu, zgodzą się żyć oderwani od braci swoich!“ Dlatego to La Revelière dodał do studjum swego o Europie środkowej podtytuł: *Etude d'incendie*. Przypomnieć wreszcie warto, że rozbiór Węgier uzasadniono dziś temi samymi obłudnemi motywami, na które powoływano się w epoce rozbiorów Polski; w protokole z r. 1795 znajdujemy następujące słowa: *Las partages de la Pologne doivent marquer un pas important vers la paix de l' Europe... plus encore, ils sont destinés dans les conséquences à reduire au minimum les guerres entre états Européens...*³⁾.

Stało się jednak; tego naturalnego sojusznika, jakim dla Francji i dla Polski mogła być monarchja Habsburgów, gdyby ją zachowano, albo przynajmniej silne Węgry, Francja mieć nie chciała; stworzyła natomiast wielką Czecho-Słowację, ponosi dziś konsekwencje swego czynu i je widzi. Różnica między Francją

¹⁾ Tamże, por. str. 41.

²⁾ Ch. Daniélou: „Le Traité de Trianon“ (1923).

³⁾ Cytuję według Le Revelière'a, por. 15 — 16.

nieoficjalną a oficjalną, t. j. między pisarzami politycznymi, a mężami stanu, którzy politykę prowadzą, na tem polega, że ci drudzy, zdając sobie sprawę, jak trudno własnymi rękami własne niszczyć dzieło, dostosowują się do okoliczności, wchodzą w układy i zawierają traktaty z państwami i ludźmi, którym nie wierzą.

Co zaś do nas, to kierunki myśli politycznej francuskiej, nic nas nie obchodzą; znamy i znać chcemy tylko Francję oficjalną, a znamy ją bardzo powierzchownie. Politykę naszą w stosunku do Francji cechuje parwenjuszowstwo; dumni z tego, że potężne mocarstwo raczyło nas do przyjaciół swoich zaliczyć, olśnieni jego potęgą, mamy oczy wpatrzone w bogate szaty i wspaniałą postawę wielkiego pana; nadskakując, staramy się odgadnąć i uprzedzić jego życzenia, ale odgadujemy źle, nie umiemy wnikać ani w pobudki jego czynów, ani w istotę poglądów; chcąc się przypodobać, jesteśmy aroganccy wobec Węgrów, a uniżeni wobec Czechów, odbywamy pokutnicze podróże do Pragi, płaszczymy się przed p. Beneszem, przepraszamy, obiecujemy poprawę, ustępujemy na każdym kroku; nie dość tego, cieszymy się z własnej przegranej w sprawie Jaworzyny, szczęśliwi nadzieją, że odtąd p. Benesz pocźnie, ku zadowoleniu Francji, nieco łaskawszem okiem na nas spoglądać i ani domyślamy się, że zamiast wdzięczności, tylko pogardą obdarza nas ów możny pan, jakim jest dla nas Francja. Nie pierwszy raz o tem piszę.

Nie byłoby jeszcze tak źle, gdyby polityka polska znajdowała jakąś przeciwwagę w rozumnej opinii publicznej. Ale tej rozumnej opinii niema na świecie, tembardziej niema jej u nas. Nastąpiło po wojnie powszechne wykołajenie myśli politycznej — i nad kwestją tą, jako bardzo groźną, należy się cokolwiek zastanowić.

II.

Wbrew powszechnie utartemu mniemaniu, upatrującemu w interesie główną sprężynę czynów ludzkich, interes jest ze wszystkich sprężyn właśnie najsłabszą. Twierdzenie to uzasadniał niegdyś, nadając mu charakter prawa, G. Le Bon w swojej „Psychologii tłumów” (*Psychologie des foules*). W czasie zaś

wojny stwierdzał, że było zgodne z prawdą ¹⁾. Któreż to z wojujących państw miało interes w prowadzeniu wojny? Czyż te wszystkie sprawy, w imię których wzajemnie się wyniszczały, nie mogłyby być daleko prościej załatwione drogą ugodową? Interesem rządzą się jednostki w życiu prywatnym, tłum zaś idzie zawsze za głosem namiętności, które w nim budzą demagogdy, czy to schlebiając jego najpodlejszym pożądom, czy też, odwrotnie, rozpalając mistycznym zapalem do widm jaskichś, utworzonych w szale rozgorączkowanej wyobraźni.

Ażeby zrozumieć interes zarówno swój własny, jak i publiczny, trzeba mieć trochę zdrowego rozsądku. Le Bon przytacza w najnowszej pracy swojej ²⁾ słowa Kartezjusza o zdrowym rozsądku (*bon sens*), jako powszechnej, czyli wszystkim ludziom wspólnej właściwości (*naturellement égal en tous les hommes*). Słowa te bylibyśmy skłonni wytłumaczyć jako ironję, do takiego stopnia niepojętym jest dla nas ich optymizm: „Zdrowy rozsądek nie tylko nie jest rzeczą powszechną, lecz przeciwnie jest rzeczą najrzadszą ³⁾ — każdy go posiada mniej lub więcej w zakresie swojego rzemiosła czy fachu — i każdy go traci, przechodząc do spraw ogólnych. W tej dziedzinie rządzi uczucie; argumentacją, ze zdrowego rozsądku zaczerpniętą, można tego lub owego przekonać, ale od przekonania do czynu daleko; ażeby zapanować, idea musi wprawdzie przekształcić się w uczucie, a to się odbywa bardzo powoli. Nauka nowoczesna dała człowiekowi do rąk potęgę nierównie większą od tej, którą w mniemaniu narodów starożytnych posiadali ich bogowie, ale nie dała mu mądrości; bez niej zaś cała ta potęga staje się niewolnicą samolubnych pożądań i burzycielskich zamiarów ⁴⁾. Nie wiemy, jaka będzie rola rozumu w przyszłych dziejach świata, ale jeśli w jego działaniach jedną z dominujących pobudek będzie ta sama, co teraz, potrzeba dostarczania teoretycznych uzasadnień podszeptom namiętności i ściśle z tem związane szukanie i odkrywanie nowych środków i narzędzi niszczenia na wypadek wojny, to można być pewnym, że cywilizacje nasze spotka ten sam los,

¹⁾ „Les premières conséquences de la guerre européenne“ (1916).

²⁾ „Le déséquilibre du monde“ (1924).

³⁾ Tamże, por. str. 183 — 185.

⁴⁾ Tamże, por. str. 288.

co spotkał owe wielkie mocarstwa Azji, których ślady ostatnie pogrzebane są pod piaskami pustyni”.

Uprawa roli, ale marna, handel, ale powolny i niepewny, stanowiły w świecie starożytnym główne źródło bogactwa; wobec tego najlepszym wówczas dla każdego narodu środkiem wzbogacenia się było rabowanie sąsiada. Lecz z biegiem czasu, gdy w miarę postępu cywilizacji poczęła wyraźnie się ujawniać wzajemna zależność ekonomiczna narodów, stawało się rzeczą coraz oczywistszą, że daleko większe ciągnąć mogą korzyści ze spokojnej zamiany wytworów swoich, niż z wojen. A jednak, choć tak jasna, prawda ta nie miała w sobie siły czynnej, nie przeszła ze sfery rozumu w sferę uczucia, nie była w stanie przeciwdziałać tkwiącym w naturze człowieka popędom łupieżniczym i krwiożerczym, nie zapanowała ani nad decydującymi w zakresie stosunków międzynarodowych uczuciami zawiści i nienawiści, ani nad wypiełgowanym przez historję instynktem imperjalistycznym z jego mistycznymi wybujałościami. Wojna ostatnia, zrujnowawszy zwycięzców i zwyciężonych, powinna być dla nasreszcie otworzyć ludziom oczy; tego jednak nie widzimy. Nienawiść jednych narodów do drugich nie przybierała nigdy tak strasznych, jak teraz, rozmiarów „gdyby samą siłą woli można było zabijać ludzi, Europa byłaby dziś pusta” ¹⁾.

Przeciwległym biegunem rozhukanego nacjonalizmu jest internacjonalna rewolucja, występująca pod hasłem dyktatury proletariatu — i to dziś, w chwili, gdy ludzkość więcej, niż kiedykolwiek, potrzebuje wpływu elity. Tę elitę w Rosji albo wytępiono, albo wygnano. Rewolucja rosyjska wykazała, że ze wszystkich odmian rewolucjonizmu najnieznośniejszym byłby tryumfujący bolszewizm.

Przytłoczył on Rosję ciężarem beznadziejnej nędzy, pustoszył w ciągu kilku miesięcy Niemcy i Węgry, już groził Włochom, na szczęście Mussolini wraz ze zwolennikami swoimi umiał wyciągnąć naukę z doświadczeń rosyjskich, zrozumiał zgubność systemów społecznych, stojących w poprzek swobodnej inicjatywie i czynnikom indywidualnym, powstrzymał niszczycielstwo socjalistyczne i uratował cywilizację od ostatecznego rozbicia,

¹⁾ ib. str. 70.

uratował ją przynajmniej we Włoszech. Bo co się tyczy Francji, to Le Bon wyznaje, iż zna tylko jednego socjalistę, Erlicha, który po powrocie swoim z Rosji wystąpił z partji, dając wyraz oburzeniu swemu, że stronnictwo socjalistyczne nie tylko nie ma odwagi potępić zbrodniczych ekscesów bolszewizmu pozostawiających za sobą wszystkie okropieństwa inkwizycji czy caratu, ale bolszewizm ten podaje, jako wzór do naśladowania robotnikom francuskim.

„Historja naucza — słowa Le Bon'a — że tryumf demokracji jest w każdym narodzie zwiastunem jego bliskiego upadku“¹⁾. Bolszewizm doprowadził ideę demokratyczną do absurdu. Ale zanim absurd ten zstąpi do grobu, dużo jeszcze złego sprawić może — i rządy stoją dziś bezradne między dwoma alternatywami: z jednej strony nacjonalizm, który zbroy narody i zapowiada nowe wojny, z drugiej — internacjonalistyczny komunizm, który je rozbija, ale grozi niemniej strasznemi, niż wojna, przewrotami wewnętrznymi. Wybór jest trudny — i stąd we wszystkich krajach ta marna polityka z dnia na dzień wobec nieznanego jutra²⁾.

Diagnoza ta nową nie jest. Wnioski podobne nasuwają się każdemu, kto się zastanawia nad Europą współczesną i sam Le Bon w swej książce powtórzył tylko i podkreślił to, co już nieraz mówił. Ale powtarza zawsze w sposób nowy i zajmujący i każda jego praca, dzięki podkładowi wiedzy przyrodniczej, trafności spostrzeżeń i sile wyrazu, pobudza do myślenia. Charakterystyczną w nim jest niezależność myśli. Stojąc poza chrześcijaństwem i wogóle lekceważąc czynnik religji w dziejach ducha, nie ukrywa on pogardy swojej dla zaślepieńców z przeciwnej strony, nie znajdujących lepszego celu dla siebie, jak walkę z religją. Oto na przykład zwycięska Francja, zdobywszy z powrotem Alzację, nie miała nic pilniejszego, jak oddać tam kierunek spraw wyznaniowych w ręce notorycznego fanatyka, prezesa masońskiego Wielkiego Wschodu w Paryżu, ten zaś znowu za najważniejsze uznał ogłosić, że celem jego — wyzwać szkoły z ich wyznaniowego charakteru, mózgi zaś ze złudzeń i kłamstw³⁾. Oczywiście, odrazu zniechęcił do Francji przywiązaną do katolicyzmu ludność

¹⁾ ib. str. 95 — 6.

²⁾ ib. str. 98.

³⁾ ib. str. 61.

kraju tego, której religię protestancki rząd niemiecki otaczał opieką. „I jak wszystko to—dodaje Le Bon—cała ta frazeologia masońska wydaje się dziś przestarzałą, daleką, ponurą, nawet hańbiącą; kogo wśród ludzi z inteligencją mogą porwać takie hasła, jak walka z klerykalizmem, laicyzacja szpitali i szkół, rozpędzenie kongregacji, a hasła te tak roznamiętniały przed wojną“.

Ale to, że lekarz poznał źródło choroby, nie dowodzi wcale, że on chorobę usunąć potrafi — i z diagnozy Le Bon'a nie wypływają żadne pozytywne wskazania. „Równi zwierzętom — mówi on — w dziedzinie życia fizycznego, trochę wyżsi w dziedzinie uczucia, wyjawiają ludzie swoją niezmierną wyższość tylko w dziedzinie inteligencji. Myśl człowieka zmierzyła przestrzenie ziemskie i niebieskie, z szybkością światła przenosi się z jednej półkuli na drugą, ale olśniewając odkryciami i wynalazkami dokonywanymi w laboratorjach, jest prawie bezsilna w życiu społecznym; nad pobudkami, które tam rządzą, rozum władzy nie ma — i ludziom rozumnym pozostaje jedno: w poglądy, do których doszli, które dla nich mają jasność matematyczną, wlewać moc uczucia i tą drogą przekonania, jako afirmacje uczucia podając, — na uczucia mas działać i uczucia te, jeśli nie przeobrażać, to przynajmniej zachwiewać przywiązanie do krwawych chimery czy to komunistycznych czy nacjonalistycznych, za którymi owe masy zwykły iść na oślep“.

Ale czy jasny pogląd na rzeczy i gorąca chęć naprawy wszelkiego zła dają rękojmię umiejętności w zastosowywaniu ich do praktyki? Trudne to jest — i Le Bon bezradnie staje przed pytaniem, co ma Francja począć, ażeby się wydostać z gniotących ją ciężkich warunków politycznych i ekonomicznych. Zwłaszcza stan finansów jest straszny. Cóżby powiedział Le Bon o Polsce! Budżet rozchodów wynosi 44 miljardy fr. rocznie, podatki starczyć mogą zaledwo na pokrycie połowy. Gdyby nawet Niemcy wypłacili zaraz swoją należność, nie wieleby to wpłynąć mogło na naprawę. Le Bon przytacza słowa niechętnego dla Francji Keynes'a, że „Francja, choć zwycięska, ma do zapłacenia sprzymierzeńcom swoim cztery razy tyle, co wypłaciła Niemcom po roku 1870: ręka Bismarka lżejszą dla niej była od ręki sprzymierzeńców“... Natomiast Niemcy szybko się wzbogaciły, dzięki zręcznemu manewrowaniu inflacją, która stwarza bogactwa oczy-

wiecie fikcyjne, ale dające się zamienić w rękę jednostek, państw i instytucyj, umiejętnie niemi kierujących, w wartości rzeczywiste. Tej umiejętności Niemcy umiały dać dowód.

A przytem, wraz z końcem wojny, Anglja znalazła się przy boku zwyciężonego przeciwnika, ażeby, zgodnie z tradycyjną regułą polityki swojej, nie dopuścić zbytniego wzmocnienia się Francji kosztem Niemiec. Stronice, które Le Bon poświęcił Anglji i jej polityce, tchną szczerą dla niej antypatją. Przywłaszczywszy flotę i kolonie niemieckie, Anglja ogłosiła protektorat swój nad Egiptem, Mezopotamją i Persją; za pośrednictwem zaś Grecji próbowała jeszcze zagarnąć Konstantynopol i część Turcji. To ostatnie jej się nie udało, niemniej jednak imperjum Wielkobrytańskie obejmuje dziś więcej niż $\frac{1}{4}$ -ą powierzchni kuli ziemskiej. Lord Curzon miał prawo powiedzieć przed Izbą posłów, że „Anglja w ostatniej wojnie zdobyła wszystko i nawet więcej, niż się spodziewała”. Czyli „hegemonja światowa Wielkobrytańska jest niespodziewanym, a jednym z głównych wyników wojny”... Europa w ciągu lat czterech walczyła przeciw panowaniu niemieckiemu, ażeby wpaść pod panowanie angielskie a niema powodu do nadziei, ażeby to drugie miało być lżejsze... Dopóki wojna trwała, mężowie stanu angielscy aż do znudzenia powtarzali, że Anglja walczy, aby wybawić świat od militarizmu i światowładnych zamiarów Niemiec, lecz skoro wojna się skończyła, ciż sami panowie ani zawahali się rozpocząć akcję absolutnie sprzeczną z tem, co głosili, byle ustalić na miejscu hegemonji niemieckiej — hegemonję wielkobrytańską.

Jakiż stąd wynik dla Francji? Iść przeciw Anglji? W roku 1920, w *Psychologie des temps nouveaux* Le Bon twierdził, że przyszli historycy dziwić się będą, iż Francja tak łatwo przyjęła hegemonję angielską. Dziś, przeciwnie, głosi, iż innego wyjścia niema, jak trzymać się Anglji wszystkimi siłami. Le Bon'a wprawia w przerażenie myśl o odwecie niemieckim. Niemcy straciły swój kapitał materjalny, ale nie straciły kapitału umysłowego — i mogą wynaleźć takie udoskonalenia w zakresie techniki wojennej, że potrafią w przyszłej wojnie zniszczyć Paryż w przeciągu 24 godzin... I to jest przyczyną konieczności przymierza z Anglją; tylko sprawę tę traktować należy z godnością — nie jako protekcję, o którą słaby błaga silniejszego, lecz jako wspólny inte-

res do przedyskutowania: wszak Antwerpia i Calais w ręku Niemców oznaczyłyby koniec panowania Anglii na morzu.

Ale czy nie jest to rzeczą poniżającą dla zwysięskiej Francji, „nie proszonej i nie dziękowanej“, czepiać się Anglii, która z całą świadomością na jej szkodę działa — i tem samem, po wygranej wojnie, uznawać przed sobą i przed światem beznadziejność swego położenia? Le Bon wierzy tylko w wielkie silne państwa i gardzi państwami i narodami Europy wschodniej. Ale inni — i coraz liczniejsi — są zdania, że mocne posterunki na wschodzie Europy nie są dla Francji rzeczą do pogardzenia — i tą określną drogą wracamy do koncepcji hr. Andrásy'ego.

III

Dla dogodzenia doktrynerstwu Wilsona cały ciężar zemsty zwalony został na dynastję Habsburgów — na Austrię i na Węgry. Przedstawiciele Węgier zmuszono do podpisania traktatu w Trianon, pozbawiającego państwo węgierskie $\frac{2}{3}$ -ich jego posiadłości w imię zasady narodowościowej. Parlament francuski postawiono przed faktem dokonanym. Co łatwiejszego, jak zignorować historję i ogłosić prawo każdej narodowości do odrębnego bytu państwowego, ale — „co to jest narodowość — zapytywał referent spraw, dotyczących rozbioru monarchji Habsburgów w parlamencie francuskim, Ludwik Barthou — *tout contribue à une nationalité, mais rien ne la fixe*; jak określić, gdzie się ona zaczyna, gdzie kończy, kto ją składa? Kto zdoła dokładnie określić jej granice, jakie zasady stanowić będą o jej budowie wewnętrznej i o losach mniejszości narodowych? Kto zabezpieczy nowopowstałe państwa od wrzeń i wybuchów, groźnych dla pokoju świata?“... Ale wobec *fait accompli* wszelka opozycja była jałową; pozostało jedno: przyjąć traktat do wiadomości, stwierdzając, że całkowicie pominął warunki ekonomiczne, że wskutek tego jest ciosem dla przemysłu węgierskiego, niszczącym w zarodku samą możliwość jego rozwoju — i że w następstwie tego Węgry zostają skazane na śmierć (*impossibilité de revivre*), o ile nie otrzymają pomocy z zewnątrz ¹⁾. Pomimo to, wbrew warunkom bytu najokropniejszemu (*angoissant*), Węgry, zdaniem komisji parlamentarnej do spraw zagranicznych, dają dowody ogromnej ży-

¹⁾ Daniélou: „Traité de Trianon“.

wotności: „porządek tam panuje, obydwaj stronnictwa — narodowo-chrześcijańskie i agrarne — walcząc ze sobą o władzę, ożywione są jednakim zapałem dla sprawy odrodzenia narodu“¹⁾).

I to właśnie czyni ubezwładniony politycznie i militarnie naród tak strasznym dla państw rozbiorowych; w tym celu stworzył p. Benesz Małą Ententę, do której nas wciągnąć usiłują. „P. Benesza — pisze hr. Andrassy — słusznie trwożą walczący u naszego boku sprzymierzeńcy: tysiącletnia nasza tradycja, siła praw natury, pogwałconych interesów geograficznych i gospodarczych, państwowo twórcza zdolność rasy węgierskiej, prawda naszej sprawy, przewaga moralna i sympatje milionów“. Dlatego to, w poczuciu siły moralnej Węgier, Daniélou kończył przedmowę swoją do referatu komisji parlamentarnej w sprawie traktatu w Trianon zwrotem do rządu francuskiego i gorącą prośbą, ażeby wobec tego, iż nie da się odrobić to, co już w stosunku do Węgier zrobione zostało, przynajmniej starał się rząd stworzyć i wzmocnić mur polsko-węgierski (*donner force et solidité à ce mur polonais hongrois*), który już jutro powołany być może do swojego odwiecznego posłannictwa stawiania tamy nowym najazdom barbarzyństwa.

To samo silniej jeszcze podkreśla katolik La Revelière, upatrując za kulisami polityki francuskiej masońskie machinacje, mające na widoku swoje sekciarskie cele, nie zaś dobro Francji. „Zamiast ogłosić — woła on, — że siła Francji polegać ma na odbudowaniu potężnej Polski (*au lieu de proclamer, que la force de la France était dans l'instauration d'une Pologne formidable*) zajęto się przedewszystkiem sfabrykowaniem republiki Czecho-Słowackiej, opartej na rozbiorze narodów katolickich“. — I jaki stąd zysk dla Francji? Autor stwierdza to, na co już niejednemu raz zwracaliśmy uwagę, że Czechy są Janusem o podwójnem obliczu, patrzącem jedną stroną na Rosję, drugą na Niemcy. Jakże można przyjaźń z sowiecką Rosją i Niemcami łączyć z przyjaźnią dla Francji? Francja głupio dla mirażu czeskiego odrzuciła tę podporę, jaką mógł być dla niej najbardziej udyscyplinowany w Europie środkowej naród węgierski, nie chciała zrozumieć, „że Węgry tworzą jądro, które się stać może ogniskiem energii i wpływu w ugrupowaniach dnia jutrzejszego“, nie miała

¹⁾ Tamże.

odwagi poprzeć króla Karola, wyobrażając, że formy rządu dowolnie komuś narzucać można, tak jak się naznacza i narzuca urzędników ¹⁾).

Głosy te odosobnione nie są, przeciwnie, stają się wyrazem prądu, wzmagającego się na sile. Ale my o tem wiedzieć nie chcemy. Bez oparcia o tradycje przeszłości, bez linii wytkniętej na przyszłość, bez poczucia godności osobistej i narodowej prowadzimy politykę, która nas czyni przedmiotem powszechnego lekceważenia albo nienawiści. Natrętnie dobijamy się o przyjaźń, w braku przyjaźni choćby o zewnętrzne oznaki łaskawości czeskiej; tem samem głęboko zrażamy Węgry, nic wzamian nie zyskując od Czech, prócz dumnej odpowiedzi, że uznają oni Polskę, ale tylko ściśle zamkniętą w ściśle etnograficznych granicach. Na gwałt szukamy przymierza z bolszewizującymi państwami i narodami; biorąc bolszewizującą dzikość za oznakę postępu i kultury, przeszczepiamy bolszewickie metody do polityki wewnętrznej; po bolszewicku o jutrze nie myśląc, naprawiamy bilans Polski — i w bolszewictwie zatracamy ów szlachetny zmysł taktu, któryby powinien cechować politykę zewnętrzną, objawiając się w formach zewnętrznej delikatności w stosunku do państwa, które, jak Węgry, stracone zostało z wysokość swojej. W r. 1831 komitaty węgierskie żądały, aby Austria ujęła się za Polską; żądania te, czy życzenia, powtarzały się i później. Że były bezskuteczne, o tem wiedział Fr. Deák: „Sądzę jednak — przytacza słowa jego Andrassy, — że poniżonemu i zakutemu w okowy wśród goryczy niewoli przynosi ulgę choćby widok gorących łez współczucia; ulgę to mu sprawia, gdy słucha prośb w swej obronie ze strony tego, który więcej dlań uczynić nie może, choćby prośby te stoczyć się miały bezsilnie po lodowatej piersi zwycięzcy”... Tego współczucia oczekiwały od nas Węgry w tragicznej dla nich chwili, gdy pod groźnym naciskiem z zewnątrz zmuszeni byli zamknąć dostęp własnemu prawowitemu królowi do swego państwa. A my? Z parwenjuszowską bolszewicką arogancją afiszowaliśmy solidarność naszą z Czechami, w nadziei, że to się bardzo w Paryżu podoba, i nie domyślając się, że we Francji ukrycie sprzyjano powrotowi króla.

¹⁾ La Revelière, op. c. s. 77.

XII.

LORD ROTHERMERE A WĘGRY

Koło połowy listopada roku 1916, wkrótce po ogłoszeniu aktu obu monarchów państw centralnych, ustanawiającego niepodległość Polski, odbyło się z tego powodu w największej ze świątyń Budapesztu uroczyste nabożeństwo, po którym prymas Węgier, kardynał Csernoch, wniósł dziękczynne *Te Deum*. „Nigdy — wyznał kardynał pod świeżym wrażeniem uroczystości obecnemu na niej biskupowi Bandurskiemu — nie celebrowałem przy tak tłumnym udziale wiernych i nigdy nie odczułem wśród modlących się takiego ogólnego podniesienia ducha”.

Nic dziwnego. Nabożeństwo było manifestacją potężnego uczucia, wyrazem powszechnego zrozumienia, że sprawa niepodległości Polski była sprawą Węgier i że bieg zdarzeń imperatywnie nakazywał obu narodom najściślejsze przymierze, unję nawet, aby w razie potrzeby mogły wspólnie stawić czoło obu groźnym dla nich kolosom — niemieckiemu i rosyjskiemu. Wówczas groźniejszym mógł się wydawać zwycięski germanizm, ale upłynęły nie całe dwa lata, a Niemcy leżały powalone, zwycięscy ich, sami wyczerpani, nie mieli powodu do tryumfowania, tryumfował ktoś trzeci, trzecia Międzynarodówka, która w bolszewizmie i w bolszewikach rosyjskich niezrównane znajdowała narzędzie do swoich krwawych, daleko sięgających niszczycielskich zamiarów.

Czem jest bolszewizm, poznały Węgry na własnej skórze w r. 1918 i 1919, gdy komuniści zdołali na szereg miesięcy zagarnąć władzę w swoje ręce — poznała Polska w 1920 r., gdy czerwone hordy stały pod Warszawą. Obojętnie, zapewne nieraz

z ukrytą radością spoglądali na nieszczęście nasze Niemcy, tak samo Rumuni; zdaleka cieszyli się głupcy, którzy wówczas nawą Włoch kierowali. Czechy wstrzymały dowóz amunicji. Wtedy to, w chwili dla nas najstraszniejszej, przybyła do Warszawy deputacja z Węgier, ofiarująca nam zbrojną pomoc. Ale Czechosłowacja, stała na straży swego dzieła i ani dopuścić chciała możliwości przejścia wojsk czy też oddziałów ochotniczych węgierskich przez ziemie mocą traktatów węgierskich Węgrom odebrane, a przyznane Czechom.

Bądź co bądź zdawało się, że rok 1920 w sposób niezбитy wykazał to, co już przedtem rozumiał każdy, kto okiem jasnym, uprzedzeniami nie zmąconem, patrzył na rzeczywistość — mianowicie, że niebezpieczeństwem najstraszliwszem dla świata jest bolszewizm, że Polska jest pierwszym jego etapem w drodze na Zachód, że przeto wzmocnienie Polski leży w interesie Europy, że wzmocnienie to wymaga wspólnej granicy z Węgrami, jako państwem, które grozę bolszewizmu bezpośrednio poznało i zwyciężywszy bolszewizm, zdaje sobie sprawę z tego, że zwycięstwo to nie jest i nie może być ostatecznem, dopóki Rosja jest we władzy Sowietów. Tylko wspólna granica mogłaby dać Polsce i Węgom możność wspólnego działania i wspólnej walki na najbardziej ku barbarzyństwu wysuniętym posterunku cywilizacji.

Ale nie wolno było tego rozumieć, a przynajmniej udawać należało, że się nie rozumie. Żądano tego, czy też nam się zdawało, że żądano w Paryżu. Gdy w rozmowie z jednym z ministrów naszych napomknąłem, że wybieram się do Budapesztu, ten aż się cofnął z przerażenia: „Na miłość Boga, nie rób tam pan żadnej polityki“. — Jakąż mogłem robić politykę, mając za sobą tylko kilku znajomych i przyjaciół, którzy ze mną razem utworzyli w Wilnie *Towarzystwo Przyjaciół Węgier*, od polityki czynnej bardzo dalekie. Gdy w roku 1926 udałem się do Budapesztu na kurację w tancznych kąpielach siarczanych, obawiano się również, jak słyszałem, mojej polityki. Pomimo to tym razem politykę robiłem, robiłem ją w tem znaczeniu, że kilkakrotnie z najwybitniejszymi politykami Węgier rozmawiałem, ale, na szczęście dla naszych polityków, bez skutku. Skoro bowiem temat polityczny przypadkiem poruszaliśmy, rozmowa wnet się urywała. Węgrzy rozumieli, że sprawa przymierza czy zbliżenia

się do nich jest czemś dla Polski równie dalekiem i nieinteresującym jak np. przymierze z Paragwajem; ja zaś nie miałem żadnego faktu do przytoczenia, któryby na zmianę ich przekonania mógł wpłynąć. Słowem wspólnie dochodziliśmy do wniosku, że *der psychologische Moment ist noch nicht gekommen*.

Ale dlaczego? Węgry które króla nie mają, królestwem się nazywają, jako królestwo z rządem królewskim na czele oficjalnie występują, dla żywiołów zachowawczych, a politycznie i kulturalnie kwitnących są silną ostoją, knowania zaś żywiołów destrukcyjnych energicznie tłumią—Węgry takie nie mogą oczywiście być przedmiotem sympatii dla naszych ugrupowań czy stronnictw lewicowych. Trudniejszem do wytłumaczenia, wprost niezrozumiałem byłoby antywęgierskie zacietrzewienie naszej t. zw. prawicy, gdyby nie bezmyślnie zajadły upór niektórych dziennikarzy z ich obozu, którzy z rozkoszą w miejscu zajętem przez nich w czasie wojny ugrzęźli i zastygli w nienawiści do Węgier, jako jednej z tych sił, które, po stronie niemieckiej walcząc, tem samem przeszkodą były w urzeczywistnieniu ich koncepcji przyszłego szczęśliwego, pod berłem carów kwitnącego Prywiślińskiego kraju, powiększonego o gubernję Krakowską.

Zdaje się jednak, że zapowiada się zwrot. W Krakowie powstało niedawno Towarzystwo Polsko - Węgierskie. Odbyla się uroczysta inauguracja, jakże odmienna od tej, którą urządziliśmy tu, w Wilnie, cztery lata przedtem. U nas zrobiono to po cichutku w kole członków i kilku najbliższych im osób: do Krakowa zaś przybył poseł węgierski, gen. Belitska, i nastąpiła wymiana depesz z osobami stojącymi na czele nietylko umysłowego, ale i politycznego życia na Węgrzech. Słowem, odrazu energicznie zabrano się do rzeczy. Dla czego jednak nie wcześniej? Wszak w Krakowie tradycje przyjaźni z Węgrami daleko są żywsze, niż w Wilnie i stamtąd powinna była iść inicjatywa.

Myślano tam o tem już w 1919 r., lecz rachowano się z atmosferą polityczną i odkładano sprawę do chwili stosownej, t. j. takiej, w którejby fakt powstania Towarzystwa wywołał żywszy oddźwięk w społeczeństwie. Wobec zaś opinii naszej, obojętnej dla Węgier, nieraz niechętnej, przedewszystkiem zaś oglądającej się na silnych tego świata, chwilę taką poprzedzać musiało zdjęcie z Węgier klątwy rzuconej na nie przez państwa

Ententy. Spodziewana chwila nie przychodziła; postanowiliśmy tedy wziąć inicjatywę w nasze ręce, w Wilnie — w nadziei, że przykład nasz znajdzie naśladowców w Krakowie, we Lwowie i Warszawie.

Dziś stwierdzamy, że dzięki mądrej polityce węgierskiej, moralna ich powaga ogromnie w oczach świata się wzmocniła, spada bielmo z oczu najbardziej zaślepionych, coraz częściej dają się słyszeć głosy w obronie Węgier. Powstanie Towarzystwa Węgierskiego w Krakowie wiążemy z dokonywającym się na korzyść Węgier zwrotem w Europie, którego wymownym wyrazem był głosny artykuł lorda Rothermere.

Pojawił się w *Daily Mail* 21 czerwca 1927 r. Z pomiędzy traktatów, które przeistoczyły mapę Europy, najbezsensowniejszym był, zdaniem autora, traktat w Trianon. Odebrał on Węgrom więcej niż dwie trzecie ich obszaru, ludność z 21 milionów zredukował do 8-iu, państwo rolnicze skazać zamierzał na śmierć głodową, pozbawiając je tych dla rolnictwa podstawowych rzeczy, jakimi są drzewo, żelazo i sól. Czy przynajmniej uprościł on sprawę mniejszościową? Nie, bardziej jeszcze ją zawikłał. niesprawiedliwość nowych granic zagraża pokojowi Europy; Czechy, Jugosławia i Rumunja natychmiast uczuły potrzebę zawarcia przeciw Węgrom sojuszu wojskowego przy poparciu Francji. Koniecznem wobec tego staje się mądre wyrównanie granic, takie, któreby z korzyścią było dla wszystkich. Lord Rothermere wyrachował, że z tych trzech milionów Węgrów, których traktat w Trianon oddał państwowi t. zw. Małej Ententy, możnaby dwa miliony z powrotem zjednoczyć z państwem węgierskiem, „bez istotnej zmiany głównych linii traktatu pokojowego i bez naruszenia równowagi państw środkowo-europejskich“. Ten akt sprawiedliwości należy się, zdaniem jego, Węgrom. Dali dowody żywotności, siły moralnej i rozumu. Pobici i złamani przez wojnę, znaleźli w sobie dość energii i uczucia patriotycznego do zgniecenia bolszewików, którzy do nich zwycięsko się wdarli; tem samem ochronili Europę od wybuchnięcia wulkanu w jej środku. Stale protestując przeciw nieuczciwości traktatu, pomimo to uczciwie i ściśle wypełniali obowiązki przez traktat ten nałożone. Nie wypada więc z Węgrami, tem państwem ze starą kulturą i chwalebną tradycją, postępować tak, jakgdyby były jakimś nowopowstałym tworem

bałkańskim, z konstytucją na poczekaniu utworzoną, pod kierownictwem nieobliczalnych polityków.

Artykuł był utrzymany w tonie spokojnym i pojednawczym, wymierzony był głównie przeciwko Rumunji, żądał odszkodowania dla Węgrów w Siedmiogrodzie, których rząd Rumuński ograbił. Pierwszy jednak zareagował dr. Benesz i w zapędzie polemicznym oskarżył lorda o podżeganie do wojny. Lord Rothermere dłużnym nie pozostał, ale jakże zmienił swój ton z pojednawczego na szorstki i gwałtowny! pod piórem jego pogarda i gniew wspólnie na przeciwnika uderzyły, „Nie dla tego — czytamy — padł miljon żołnierzy brytyjskich, ażeby za cenę ich śmierci miało w tej części Europy panować bezprawie; krzyczącej niesprawiedliwości nie wolno przemilczeć; Węgry mają przyjaciół, którzy nie spoczną, dopóki cały świat się nie dowie o wyrządzonej im krzywdzie“! ...„Zwycięstwo, dla którego Anglja takie poniosła ofiary, nie może służyć za osłonę dla bezprawia i niesprawiedliwości“. Słusznie zauważono w *Czasie*, że jeden z filarów rządzącego dziś w Anglji stronnictwa nie podejmowałby się całej tej akcji, gdyby nie było to dobrze w *Foreign Office* widziane.

Prasa spełnia rolę wywiadowczej awangardy, gdy chodzi o wykonanie szczegółowo na daleką metę obmyślanego planu.

Myśl podniesiona przez lorda Rothermere ma daleką, długą drogę przed sobą, ale z rozpoczętej akcji powinniśmy skorzystać i chwycić się całą siłą jednego szczegółu, nieporuszonego w artykułach lorda, ale niezmiernej wagi dla nas i dla Węgrów, a dającego się łatwo wykonać. Ruś węgierska nie została przyznana Czechom na własność; są jej panami na mocy tymczasowego mandatu, który Liga Narodów może im każdej chwili odebrać. O to należy nam energicznie się starać. Mielibyśmy wówczas wspólną z Węgrami granicę, a to warunkiem jest bytu dla obu państw. I jedno państwo i drugie wyszłoby z okalającego je pierścienia wrogich potęg. Polska zyskałaby mocną podstawę wobec Sowietów.

XIII.

HR. JULJUSZ ANDRÁSSY

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE ¹⁾

Hr. Juljusz Andrassy zasłużył na szczególne z naszej strony uznanie i wdzięczność: wśród polityków i mężów stanu Europy współczesnej on pierwszy w latach wojny, w chwili, gdy państwa centralne żadnego wyraźnego programu w kwestji polskiej nie miały, państwa zaś Ententy ofiarowały Polskę caratowi na własność wyłączną, czyli na pastwę rusyfikacji i niszczytelstwa, zrozumiał doniosłość sprawy naszej i ogłosił konieczność rozwiązania jej zgodnego z życzeniami narodu polskiego.

„Wśród zagadnień polityki zewnętrznej, które wywołała wojna — pisał on w znakomitej, niezrównanej pod względem związku i ścisłości rozprawie swojej o dyplomacji i wojnie ²⁾ — najbardziej mnie zajmowało i pochłaniało zagadnienie polskie; uważałem je za jedno z najważniejszych i najpilniejszych; interes nasz i uczucie, wyrachowanie i sprawiedliwość zgodnie mię w tym kierunku prowadziły“.

Zagadnienie to podniósł on pierwszy raz w mowie „O celach dobrego pokoju“. Było to 10 marca 1915 r., w chwili szczególnie ciężkiej dla monarchji austro-węgierskiej: okopy rosyjskie dochodziły aż do wybrzeży Dunajca, Przemyśl miał lada dzień

¹⁾ Przemówienie wygłoszone dn. 16 czerwca 1929 r. na zebraniu Towarzystwa Przyjaciół Węgier w Wilnie, poświęconem uczczeniu pamięci zmarłego. Był synem i spadkobiercą myśli politycznej ojca swego, też Juljusza, jednego z twórców dualizmu austro-węgierskiego i długoletniego ministra spraw zagranicznych, którego Węgry uznały za największego z polityków swoich w wieku XIX.

²⁾ „Diplomatie und Weltkrieg“ (Berlin, Ullstein) por. s. 158—159).

kapitulować, los Krakowa, był niepewny ¹⁾. Rozwijać w takiej chwili myśl o oderwaniu Polski od Rosji było czynem godnej podziwu, niemal dziwacznej odwagi, ale zrozumiał on, że nie mogło być mowy o „dobrym pokoju” bez Polski niepodległej, „pełniającej zadanie barykady przed naporem Rosji”.

Uczucie sprawiedliwości było tu w ścisłym związku z realizmem polityka o widnokrzęgu bardzo szerokim, obejmującym nie tylko bezpośrednio chwilowe interesy narodu, do którego należał, ale dobro powszechne, sprawę duchowej kultury ludzkości. „Kto się zastanowi nad tem — mówił w parlamencie węgierskim w końcu tegoż 1915 roku — jakie ogromne i niepowetowane szkody sprawia każdy dzień wojny, kto uprzytomni sobie, że wszystkie te państwa, dziś na życie i śmierć walczące między sobą, są jednak pomimo wszystko przeznaczone do wspólnej pracy nad wielkim dziełem pokoju i cywilizacji, ten nie może nie dojść do wniosku, że o pokoju myśleć i do pokoju dążyć trzeba i że pokój ten musi być zawarty w świetle owej wszechludzkiej, wszystkich obowiązującej idei solidarności w rzeczach i sprawach najdonioślejszych dla człowieka,—która istnieje, powinna istnieć i, mam nadzieję, istnieć będzie”. Słowa te wyrzeczone były w chwili, gdy po Gorlicach i wyparciu Rosjan z Galicji nadzieja zwycięstwa zajaśniała państwowi centralnym; w zwycięstwo wierzył Andrassy „ale—kończył on mowę swoją—jestem zdania, że jeśli się dało zawrzeć pokój jeszcze przed zmuszeniem nieprzyjaciela do błagania o pokój, byłoby to wielkiem szczęściem dla całej ludzkości i także dla państwa naszego”.

Zauważmy, że myśli podobne mógł polityk węgierski swobodnie rozwijać zarówno w prasie, jak z trybuny parlamentarnej, gdy w tym samym czasie za artykuły w duchu pokrewnym pisane znakomity pisarz francuski, który dziś, niestety, haniebnie karierę swoją kończy w roli agenta bolszewickiego, Romain Rolland, musiał opuścić granice ojczyzny swojej pod naciskiem powszechnego oburzenia i pogardy.

W przekonaniu Andrassy'ego osiągnięcie pokoju było możliwe w r. 1915 po bitwie pod Gorlicami. Obie bowiem strony dotkliwie poznały i przekonały się, jakim nieszczęściem jest

¹⁾ „Sprawa Polska w parlamencie węgierskim”, 1915—1918 r. (Warszawa, 1920 r.) por. s. 6 — 7.

wojna, a żadna z nich nie uważała siebie za pobitą, więc można było spodziewać się, że układy pokojowe byłyby prowadzone ze szczerą chęcią zapobieżenia nowym katastrofom i że wydałyby, jako owoc, harmonijną długotrwałą współpracę narodów. „Kto pragnie pokoju — pisał — a my go szczerze pragniemy, ten nie będzie stawiał warunków, któreby upokarzały przeciwnika; żadnego z nich poniżyć nie chcemy; z naszej strony nie będzie przeszkód do polityki stawiającej przed sobą cele pojednawcze“... „Trzeba starać się łagodzić te antagonizmy, co się nie dają usunąć, ale przedewszystkiem powinniśmy nie dopuścić do stworzenia źródeł nowych zatargów, z których miałyby powstać nowe wojny“.

Właśnie z tego powodu potrzebna była Polska wolna: „Gdybyśmy się nie odważyli — pisał w jednym z artykułów swoich w *Neue freie Presse* — zbliżyć się do narodu, który nie jest bezwzględnym nieprzyjacielem naszym, i gdybyśmy go dla siebie nie pozyskali, byłoby wprost zbrodnią poświęcać życie tylu tysięcy ludzi“.

Znamienną mowę wygłosił on w parlamencie węgierskim w dn. 8 grudnia 1915 r. „Nie chcę dotykać — mówił — tych zagadnień przyszłości, które nie są jeszcze, jak wyrażają się Niemcy, *spruchreif*, chcę podnieść tylko jedną kwestję, bo wielką przywiązuję wagę do tego, aby właśnie tu, w parlamencie węgierskim, podniesioną została; jest to kwestja Polski“. Tego chciał, ażeby przez jego usta naród węgierski energicznie oświadczył, że ziemie polskie nie będą zwrócone Rosji, bo „oddanie ich byłoby uzdrowieniem jej Achille-sowej pięty“. Doskonale zdawał sobie sprawę z obu przeciwnych, a z natury rzeczy wynikających ówczesnych orjentacyj politycznych w społeczeństwie polskim; rozumiał, że Polacy stali przed alternatywą: albo niepodległość niestety tylko częściowa, bo nie mogło być mowy o oderwaniu Poznania od Prus, albo zjednoczenie pod berłem cara. „Jeśli odbierzemy Polakom — dowodził — nadzieję wydobycia się kiedykolwiek z pod jarzma rosyjskiego, jeśli się przekonają, że niczego od nas spodziewać się nie mogą, to oczywiście poddadzą się idei zjednoczenia; skoro los—powiedzą—na zawsze związał nas z Rosją, to przynajmniej zjednoczmy się pod opieką i władzą cara wszyscy, ze wszystkich zaborów. Do tego

nie wolno nam ich dopuścić. Zwłaszcza my, Węgrzy, powinniśmy tu iść nie tylko za głosem chłodnego i spokojnego rozumu, wsłuchajmy się także w głos serca; Polska, jak dawniej Węgry, jest podzielona i cierpi pod obcym jarzmem; czujemy jej cierpienie, jej ból; jest to obowiązkiem naszym moralnym wyciągnąć do niej przyjazną dłoń; pójdźmy do Polaków z sympatją, z przyjaźnią, z zaufaniem; uczucie to jest najmądrzejszą polityką, bo zaufanie budzi zaufanie. Pierwsze kroki są najważniejsze, one wyciskają pieczęć na przyszłym rozwoju. Sądzę więc, że działam zgodnie z uczuciami narodu węgierskiego, pozdrawiając Polaków z tego miejsca i dając wyraz nadziei, że prawnoprawny byt Polski pomieści się w ramach środkowo-europejskich — nie chcę teraz o tem mówić gdzie i jak¹⁾.

Nie chciał, bo nie mógł wobec niewyraźnego stanowiska Niemiec. Następną jego mowę (z dn. 7 czerwca 1916 r.) słusznie określono, jako interpelację skierowaną do kół niemieckich²⁾. Dał w niej dowód niezwykle trafnego w ustach cudzoziemca zrozumienia psychologicznej postawy Polaków. Europa opuściła Polskę; polityka Bismarcka wykluczyła wszelką nadzieję, ażeby zachodni sąsiedzi Rosji przyłożyli rękę do oswobodzenia Polski; potem nastąpiło rosyjsko-francuskie przymierze. W tem beznadziejnym położeniu co mieli począć Polacy? Zmuszeni byli szukać jakiegoś *modus vivendi* z Rosją; powstała cała literatura, której ideą przewodnią było pogodzenie Polaków z Rosjanami na tle wspólnej walki z germanizmem czyli w kierunku panslawistycznym. A jednak jako całość, jako naród, Polacy nie stanęli w służbie panslawizmu, tem samem „wyświadczyli Węgrom jedną z największych usług, jakie wyświadczyć może naród obcy“. Ale oto dziś znowu kuś ich carat obietnicą zjednoczenia, autonomji, której nie wolno nam lekceważyć; nie dajmy przeciwnikowi broni do ręki, aby Polacy nie zwrócili się przeciw nam z namiętnością i zaciętością zawiedzionej nadziei, aby nie stanęli po stronie panslawizmu, „obok którego niema dla nas miejsca na mapie“.

Ideologii politycznej Andrássy'ego możnaby z pozorem słuszności zarzucić wewnętrzną sprzeczność: z jednej strony głębokie

1) Mowę tę podaję w streszczeniu. Por. „Sprawa Polska w parlamencie węgierskim“ (1920 r.) str. 25—27.

2) ib. str. 7.

przejęcie się ideą wszechludzkiej solidarności przed obliczem wielkich przeznaczeń i celów człowieka, płynąca stąd żądza pokoju, w związku z tem szlachetna uступliwość wobec nieprzyjaciela, wystrzegająca się wszystkiego, coby go mogło obrazić i upokorzyć, z drugiej — energiczna afirmacja konieczności odbudowy wolnej Polski, czyli oderwania jej od Rosji, któreby Rosja uważała za najcięższe dla siebie upokorzenie. Czem mamy sprzeczność tę tłumaczyć? Ze spotkań i tych rozmów, które zdarzyło mi się mieć z hr. Andrássym, wynosiłem za każdym razem wrażenie, że nad człowiekiem, patrzącym w dalekie światy idei, brał w nim zawsze górę trzeźwy realista. Ale był to, powiedziałbym, specyficznie węgierski realizm, który nie bierze pod uwagę potęgi, jaką stanowi namiętność, bo nie jest w stanie przypuścić, ażeby zapędy i szale namiętności mogły zagłuszyć głos rozumu i zapanować nad dobrze zrozumianym osobistym interesem. Poza tem Andrassy przywiązywał wagę do wywieszonego przez państwa Ententy sztandaru „obrony uciśnionych narodów“ przeciw zachłanności państw centralnych. Losy Belgji i Serbji znakomicie ułatwiały im ich agitację; „jakąż doskonałą sposobność — wołał — do naprawienia w oczach świata naszej skompromitowanej opinji daje możliwość rozwiązania kwestji polskiej, wyzwolenia ujarzmionego narodu, zatarcia zbrodni, ciężącej na państwach rozbiorowych!“ Hasło takie mogłoby, jeśliby nie zjednać, to przynajmniej nieco łaskawiej względem państw centralnych usposobić opinię publiczną na zachodzie: we Francji, w Anglii, we Włoszech. Ale Rosja? Może pod przymusem jakichś przewrotów wewnętrznych, może pod presją sprzymierzeńców pogodzi się i ona z myślą o wyrzeczeniu się Polski. I rzeczywiście przyszła chwila, w której, zdawało się, nowe przez wojnę wytworzone warunki mogły dopomóc urzeczywistnieniu myśli Andrassy'ego. Wszak ku końcowi 1916 roku carat już widocznie się zachwiał, „Przedłużenie wojny—czytamy w jednym z ówczesnych jego artykułów w *Revue politique internationale*—jest zbrodnią przeciw ludzkości; korzyści, które dać może zwycięstwo ostateczne, nie są warte tych niezliczonych ofiar ludzkich, jakich ono wymaga“... „Światom odrzucać samą myśl o możliwości pokoju to znaczy zachwiewać w duszach ludów zaufanie do istniejących form rządu, to czynić przedmiotem nienawiści dla nich dzisiejszy porządek

społeczny i torować drogę żywiołom wywrotowym“... „Zastanówmy się nad przykładem, który nam Rosja daje; caryzm i cały system burżuazyjny rozpadają się tam pod ciężarem odpowiedzialności za wojnę. Czy mamy wmawiać sobie, że podobne niebezpieczeństwo nam nie grozi i czy możemy być pewni, że wojna światowa nie przeistoczy się w nierównie straszniejszą i okrutniejszą powszechną wojnę domową? Czy doświadczenia historii nie powinny być nauką dla warstw kierujących? i czyżby każdy naród przechodzić miał przez szkołę cierpienia i na własnej skórze doświadczyć grozę chaosu rosyjskiego, gdy dość jest mieć niezacmione oczy i zdrowy rozsądek, by tego uniknąć?“.

Czy zaś zdrowy rozsądek nie domagał się pokoju? Czy warunkiem lub przynajmniej jednym z głównych warunków trwałości jego nie była odbudowa Polski? Po upadku caratu nowa rewolucyjna Rosja dała nareszcie przez usta swego ministra spraw zagr. Milukowa zgodę swoją na niepodległą Polskę. Ale co dalej? Stworzenie Polski niepodległej—rozumował Andrassy—ze wszystkich trzech zaborów jest niemożliwe, bo nie pozwoli na to Prusy, dla których prowincje polskie stanowią warunek i podstawę ich potęgi; Polska niepodległa, lecz złożona tylko z ziem odebranych Rosji, wywołałaby irredentę polską w Galicji i Poznaniu i z natury rzeczy grawitowałaby ku Rosji; pozostaje przyłączenie Polski do jednego z mocarstw centralnych z zapewnieniem jej samodzielnego państwowego bytu, który „da jej siłę oporu przeciw wabikom rosyjskim lub ewentualnym napaściom“. Że tem mocarstwem miała być Austrija, wpływało to ze słów autora. Myśli tej miał on wkrótce nadać kształt realny, wychodząc z założenia, że tylko ekspansja w stronę Polski mogłaby przynieść monarchji austro-węgierskiej dopływ sił świeżych i przysiętem nie stałaby w sprzeczności z życzeniami narodu polskiego. Z Galicji wraz z Królestwem Kongresowem „stworzonoby nowe suwerenne państwo, na tronie którego zasiadłby nasz monarcha; na miejscu dualizmu mielibyśmy trializm. Wszystkie inne rozwiązania byłyby jednak niebezpieczne, buforowe zaś państewko polskie przeistoczyłoby się w gniazdo irredentyzmu i poszłoby szukać opieki pod skrzydłami dwugłowego orła“.

Z myślą Andrassy'ego sympatyzował ces. Franciszek Józef po nim ces. Karol, ale miała stanowczego przeciwnika w osobie

hr. Stefana Tiszy, który się obawiał, że w państwie trialistycznym Polska wraz z Austrią majoryzować będą Węgry. „Była to — pisze Andrassy o premierze węgierskim ¹⁾ — indywidualność potężna, lecz pozbawiona wszelkiej elastyczności, niezdolna do kompromisów, nawet do brania w rachubę nowych faktów, nowych sytuacji. Zatrzymał się tam, gdzie stanął za młodu t. j. na dualizmie i uporczywie, zawzięcie systemu tego bronił. Jakże możesz — wyrzucał Andrassy'emu — chcieć niszczyć dzieło, które ojciec twój stworzył“. Andrassy zaś stał mocno przy swoim, łudząc się zrazu, że myśl jego może znaleźć posłuch w Berlinie. W tym celu jeździł tam w jesieni 1915 r. Kanclerz Bethmann Hollweg zdawał sobie sprawę z nieprzebytej przepaści, jaką historia i psychologia wykopały między Niemcami i Polską i z rozmowy z nim wyniósł Andrassy przekonanie, że gotów byłby poprzeć jego myśl za cenę zawarcia ścisłego gospodarczego i wojskowego związku z cesarstwem niemieckim. Ale kanclerz nie był panem sytuacji; Główna Kwatera ani słyszeć chciała o zrzeczeniu się prawa do Polski. Gdy po upływie 9 — 10-u miesięcy hr. Andrassy znowu w tejże sprawie udał się do Berlina, stan rzeczy znalazł gruntownie zmieniony. Im mniejsze były widoki dla Niemiec na ekspansję ku Zachodowi, tem trudniej było im pogodzić się z myślą o Habsburgu na tronie polskim. Kanclerz oświadczył, że rozwiązanie austro-polskie uważa za absolutnie niewykonalne ²⁾.

Akt 5 listopada nie znalazł poparcia u Andrassy'ego, była to niepodległość tylko na papierze; nowemu bowiem państwu nie dano, jak się wyraził, ani ciała, ani duszy, a zażądano rekruta. Nie było to urzeczywistnieniem, ale raczej zaprzepaszczeniem idei zjednania Polaków. Ostatecznie ją pogrzebano w Brześciu, oddając Chełmszczyznę Ukraińcom.

Słowem polityka austriacko-polska zakończona została zupełnem *fiasco*: „osłabiła przymierze nasze z Niemcami, a nie pozyskała narodu polskiego“.

Odtąd nie miał Andrassy ani sposobności, ani możliwości poruszenia sprawy polskiej. Rozpoczął się ostatni akt tragedji Austro-Węgier; należało ratować byt państwa. Pod hypnozą

¹⁾ „Diplomatie n. Weltkrieg“ (por. s. 162 — 164).

²⁾ ib. por. str. 165 — 167.

rewolucji rosyjskiej politycy, stojący u steru państwa, zaczęli się skłaniać ku socjalizmowi i pacyfizmowi. „Polityk zaś — pisał Andrassy, mając hr. Czernin'a na myśli ¹⁾ — który otoczył siebie nimbem socjalisty i pacyfisty, staje się niewolnikiem swej roli i traci grunt pod nogami, skoro tylko przejść zechce do polityki realnej. Jedno bowiem i drugie — socjalizm i pacyfizm — osłabiają oporność w narodzie i przeistaczają się w czynniki rozkładu“.

Największym zaś błędem w tym kierunku były układy pokojowe w Brześciu, gdy ministrowie dwóch monarchów zasiedli przy wspólnym stole z figurami z pod ciemnej gwiazdy, ludźmi bez czci i wiary, których hasła były w zasadniczym i nieprzejednanym przeciwieństwie z podstawami ładu tak w społeczeństwie, jak w państwie. Oznaczało to kapitulację przed rewolucją. Nic tu nie pomogły energiczne słowa i giesty gen. Hofmanna; Trocki otwarcie się chełpił ze strejków, które wybuchnęły wówczas w Berlinie, Wiedniu i Budapeszcie, a były bezpośredni następstwem toczonych w Brześciu rozmów i rozpraw. Chcąc z bolszewikami dogadać się, słusznie twierdzi Andrassy, „trzeba mieć szablę w jednym ręku, rozkaz i ultimatum — w drugim“ ²⁾. Rewolucja zaś nie miała nigdzie tak wdzięcznego pola przed sobą, jak w państwie Habsburgów, wskutek różnolitego pod względem narodowościowym składu monarchji. Wobec tego pokój stawał się koniecznością, pokój w porozumieniu z Niemcami, czy bez niego, choćby nawet w ostatecznym razie przeciw Niemcom. Do pokoju dążył ces. Karol od chwili wstąpienia swego na tron; całą duszę włożył w tę sprawę. Rozumiał to również Czernin, który w memorjale podanym w kwietniu 1917 roku dowodził, że Austro-Węgry najwyżej do końca tego roku są w stanie wytrzymać wojnę. Jakże wytłómaczyć — słusznie zapytuje Andrassy ³⁾ — że o tem wiedząc i to widząc, ustąpił on przed wolą Gł. Kwatery niemieckiej i z żakowskiego jakiegoś strachu przed nią poprowadził naród swój na rzeź (*auf die Schlachtbank*)“!

Jakaż ironja tkwi w tem, że przenikliwemu i szerokiej myśli politykowi danem zostało przystąpić do czynnego udziału w sprawach państwa, gdy okręt już tonął. W pierwszej połowie paź-

¹⁾ ib. s. 195.

²⁾ ib. s. 193.

³⁾ ib. s. 205.

dziennika 1918 r. ces. Karol wysyła Andrásy'ego do Bern dla układów nieoficjalnych z dyplomatami Ententy; za późno; żaden z dyplomatów już z nim gadać nie chciał. W końcu tegoż miesiąca zostaje powołany na stanowisko wspólnego ministra spraw zagranicznych. Przybywa do Wiednia dla objęcia urzędu 25 października. „Nie będę tego ukrywał — pisze ¹⁾ — że przedtem tę tę przyjąłbym z radością; miałem swoje indywidualne a tak wyraźne i wyrobione poglądy na politykę, że chętniebym się podjął ich przeprowadzenia w przekonaniu o ich trafności, ale teraz nie było dla nich miejsca, i jeśli tę tę pomimo to przyjąłem, to dlatego, że w takich chwilach nikt nie ma prawa myśleć o sobie tylko, o swojej przyszłości“. Pierwszym punktem jego programu było natychmiastowe zawarcie pokoju; tylko to jedno mogło, zdaniem jego, powstrzymać rewolucję. 26-go cesarz Karol telegraficznie zawiadamia o tem cesarza Wilhelma; 28 Andrásy oświadcza Wilsonowi i państwom Ententy gotowość do układów na podstawie 14 punktów.

Położenie moralne Andrásy'ego było w owych dniach nad wyraz ciężkie. Nie umiano i nie chciano go zrozumieć; prasa dyskredytowała go; w Budapeszcie krzyczano że ten magnat, oligarcha, intrygant, jest lokajem Austrii; w Wiedniu w gazetach niemieckich przedstawiano go, jako odstępcę i zdrajcę, który w chwili stanowczej rzuca wiernego sprzymierzeńca, o niczem innem nie myśląc, jak o ratowaniu Węgier. Pogląd ten błąka się dotychczas po pismach historyków i publicystów austriackich. Zdaniem Gleise-Horstenau'a ²⁾ ten *rassenfremder graf*, zrywając wiekowe węzły, które Austrię z niemieckim *Mutterland* łączyły, niechcący zdepopularyzował w Austrii cesarza Karola i tem się przyczynił do upadku dynastji. Czy wolno jednak czynić Andrásy'ego odpowiedzialnym za to, że tak, w chwili ogólnego podniecenia, rozumiała ulica jego postępowanie? On patrzył na sytuację okiem męża stanu, myślał szerzej i, sędzę, słusznie: „Było to — pisze — w interesie samych Niemiec, ażeby monarchja nasza ratowała siebie na własną rękę i, zbliżywszy się do Ententy, mogła później między Ententą a Niemcami pośredniczyć“. Mija kilka dni. 31-go przychodzi wiadomość, że w Budapeszcie wódz rewolucji,

¹⁾ ib. s. 295.

²⁾ „Die Katastrophe“ (Amalthea Verlag, 1929) por. s. 393.

hr. Karolyi, został premierem. Było to równoznaczne z oderwaniem się Węgier od Austrii. Andrásy'emu pozostało podać się do dymisji. I jakby na domiar ironji tegoż samego dnia Rada wojenna w Wersalu obradowała nad warunkami zawieszenia broni z Austro - Węgrami, które z lekkiej ręki Karoly'ego istnieć przestały.

„Odtąd byłem tylko widzem rozgrywającej się premjery historycznej i wstyd mi, że premjera ta na gruncie węgierskim powstała. Nigdy przed tem przez myśl mnie nie przeszło, aby Węgry, Węgry chlubiące się legitymizmem, mogły pozbawić tronu monarchę, który przysięgi konstytucyjnej nie złamał“¹⁾.

Wypadło mu raz jeszcze być ministrem spraw zagran. równie krótko i w okolicznościach niemniej tragicznych. Wezwany przez króla swego w chwili, gdy ten stanął na ziemi węgierskiej, w Sopron, 21 października r. 1921, przyjąć musiał z ręki jego ofiarowaną mu tekę, wskutek czego w dni kilka potem, po pojmaniu i uwięzieniu króla, znalazł się on także w więzieniu — oczywiście nie na długo; nie mógł przecie rząd, mieniący się „królewskim”, wierność królowi traktować, jako zbrodnię. Po zwolnieniu mógł hr. Andrásy całkowicie się oddać pracy nad dziełem o ojcu swoim, pod tytułem „Andrásy i Bismarck“, którego tom III-ci był, o ile wiemy, niedaleki końca w chwili, gdy umierał.

* * *

Poznałem go przelotnie w 1921 r. w kuluarach parlamentu w Budapeszcie, w czasie przerwy w posiedzeniu. W listopadzie r. 1926 miałem sposobność dwukrotnej dłuższej z nim rozmowy we wspaniałej, bogatej w skarby sztuki rezydencji jego nad Dunajem. Wzrostu raczej słusznego, szczupły, o siwych gęstych włosach i siwej przyszyżonej brodzie, pociągał uprzejmością i wytwornym spokojem w ujęciu, w formach. Tembardziej od tego spokoju zewnętrznego odbijała jego nieubłagana surowość w sądach o ludziach i rzeczach. Było to może w związku ze słusznem jego rozgoryczeniem. Kilka dni przedtem odbyły się wybory do parlamentu i ten długoletni wytrwały i mądry parlamentarzysta i polityk nie otrzymał mandatu, wskutek czyichś

¹⁾ ib. s. 314.

intryg, ku zdumieniu i oburzeniu, jak to sprawdzić mogłem, nie tylko przyjaciół jego, ale i wrogów politycznych.

Odwiedziłem go znowu w kwietniu 1929 roku. Lepszej był myśli i z większą otuchą patrzył w przyszłość. Zwłaszcza w legitymizmie swoim wydał mi się bardziej optymistycznie usposobionym, niż przed laty dwoma. Wierzył w zwyczajstwo idei i powrót Ottona II. Niepokoiła go głównie sprawa t. zw. *Anschlussu* Austrii do Niemiec, „Ogromnieby to wzmogło potęgę Niemiec—mówił—nie leży to w interesie Węgier ani Europy. Rozwiązaniem może być tylko powrót do unji Węgier i Austrii“. — Ale, — dodawał — „jest to moje wyłącznie osobiste przekonanie. Zwolenników nie mam, nie widzę“. O sprawy nasze rozpytywał, Polska bliską była myśli jego i sercu, przymierza z nią pragnął, wyrażał żal, że nie miał jeszcze sposobności poznania nowomianowanego posła naszego w Budapeszcie.

Cześć jego pamięci!

XIV.

HR. ALBERT APPONYI

„Śmierć hr. Alberta Apponyi'ego pogrążyła w żałobie, nie tylko Węgry; jest stratą dla ludzkości“. — W tych słowach publicysty węgierskiego, Jerzego Ottlika¹⁾, przesady niema. Zmarły był żywym uosobieniem swego narodu, najpiękniejszym wykwitem geniusza Węgier — i piękno to, w osobie i przez osobę Apponyi'ego, Węgry wniosły, raczej usiłowały wnieść do kultury politycznej czasów naszych. Wspaniała inteligencja, gorące i niezachwiane przywiązanie do wiary przodków, chrześcijańska dobroć, wielkoduszność myśli subtelnie kojarzącej miłość ojczyzny z głębokiem zrozumieniem wszechludzkich, ponadnarodowych ideałów i gotowością do ofiar dla dobra powszechnego — wszystko to razem wytwarzało w nim doskonałą harmonję i znajdowało odbicie w zewnętrznej jego postaci „godnej dłuta Michała Anioła“²⁾. Od czasu wojny światowej działał on na forum międzynarodowym w Genewie. Jak Mont Blanc, — powiedziano o nim — wzbijał się i górował nad otoczeniem tak fizycznie — wyniosłą postawą i pięknem rysów — jak i duchowo — szlachetnością i polotem. Porównanie szczególnie realne na tle genewskim. Był wielkim, największym w Europie mówcą. Z taką samą, jak w języku ojczystym, łatwością i wytwornością przemawiał po francusku, po niemiecku, po angielsku i po włosku. Przemawiał zaś do audytorjum złożonego z ludzi złośliwie uprzedzonych i do niego i do Węgier. Z początku słuchano go niechętnie, ale niechęć prędko ustępowała miejsca zdumieniu, że myśli podobne wychodziły z ust

¹⁾ Nouvelle Revue de Hongrie 1933, Mars).

²⁾ ib.

przedstawiciela narodu uznanego za niepotrzebny, niemal za hańbę ludzkości, i skazanego na męki powolnego konania; za zdumieniem szedł podziw, aż w końcu Apponyi stał się przedmiotem ogólnej czci i admiracji. Dzięki niemu naród liczebnie mały, rozkawałkowany, pozbawiony dwóch trzecich swego terytorjum państwowego, stał się potęgą moralną wobec Zgromadzenia wysłanników największych potencji świata; „nad nocą Węgier zajaśniał promień chwały i nadziei“ ¹⁾).

Między inteligencją, wymową, charakterem Apponyi'ego, a rezultatami jego pracy jest tragiczna dysproporcja; bohater był nierównie większy niż jego dzieło ²⁾). Na Węgrzech, mówi Pethö, zdarza się to często; osiągnięte cele nie odpowiadają zużytej energii. Nic dziwnego; dzieła politycznie wielkie, albo przynajmniej olśniewające pozorami wielkości, stwarzają ci, co idąc do celu na przebój, nieraz *per fas et nefas*, mają za sobą w liczebnej sile narodu mocną podstawę operacyjną. Tego Węgrom brakuje; są oni jakby twierdzą obleżoną i rozpaczliwie się broniącą przeciw armjom sprzymierzonych między sobą a nierównie od nich potężniejszych nieprzyjaciół; położenie ich pod tym względem podobne do naszego jest jednak gorsze, liczebnie bowiem słabi są, jest ich w dzisiejszem okrojonym państwie węgierskiem zaledwo 8 milionów. Przypominając nas zapalnością temperamentu, tem się różnią, że w zapale ich niema podkładu marzycielskiego; w polityce są realistami. Realizm to liczenie się z warunkami czasu i miejsca, to ugodowość, skłonność do kompromisów. Realistą był nawet Kossuth, gdy przeprowadzał przez sejm detronizację Habsburgów; działało się to w 1849 r. czyli w rok po „wiośnie ludów“; miał więc za sobą wszystkie ludy Europy, wszystkie demokracje; zwyciężył, powalił Austrię, był bliski celu: jednej rzeczy nie przewidział: zbrojnej interwencji cara Mikołaja i w końcu przegrawszy, musiał emigrować, i w swoim *non possumus* wytrwał aż do śmierci. Natomiast pozostał w kraju Franciszek Deák, patriota mniej zapalny, choć nie mniej gorący, i doczekał się chwili, w której doszła do skutku w r. 1867, przy znacznym jego udziale, przebudowa monarchji Habsburgów na podstawach austro-węgierskiego dualizmu.

¹⁾ ib.

²⁾ por. Alexandre Pethö, „Le comte Albert Apponyi“ (Paris, 1931).

Apponyi duchowo i politycznie stał bliżej Deáka i jego wielkiego poprzednika, „największego z Węgrów“, hr. Stefana Széchenyi'ego, niż Kossutha. Nigdyby nie zerwał z przeszłością, nigdyby nie poszedł przeciw dynastji, która była dynastją legalną, choć po macoszemu traktowała Węgry i w duchu niemieckim rządziła; z dynastją wiązała go ponadto tradycja jego rodu.

* * *

Do Węgier i Węgrów miałem sympatię wrodzoną; podsycali ją na ławie szkolnej powieści Jokaja, później powieści naszego T. T. Jeża, ale nie miałem wyobrażenia o panujących tam stosunkach. W r. 1889 osiadłem w Krakowie; tam zewsząd, nawet od polityków zawodowych słyszałem, że w monarchji stroną silniejszą są Węgrzy, że stanowią oni czynnik rozstrzygający i że to się ujemnie w rzeczach polityki zaznacza, albowiem kierują się ciasnym egoizmem narodowym, za cel główny poczytują madjaryzację narodowości koronie św. Stefana podległych, do tego celu dążą brutalnie i bezwzględnością swoją i butą, swoim pogardliwym lekceważeniem wszystkiego, co słabe, budzą ku sobie antypatię w każdym, kto się z nimi styka. Pod wrażeniem podobnych gawęd jechałem pierwszy raz do Budapesztu z uczuciem prawie przykrem, z obawą, że mogą mię także spotkać jakieś impertynencje ze strony owych pyszałków.

Pierwszym moim informatorem tam, na miejscu, był Polak, mój krewny, który od szeregu lat tam mieszkał. Wszystko, co mówił, było przeciwieństwem wszystkiego, co w Krakowie słyszałem; właśnie Madjarzy, nie zaś Niemcy byli, według niego, stroną słabszą i niemiłosiernie przez Wiedeń wyzyskiwaną. Słusznie zwrócił on uwagę moją na to, że nie może być mowy o niezależności państwa, któremu brakuje dwóch zasadniczych tego warunków: narodowej armji i narodowej dyplomacji; nie zmieniało zaś postaci rzeczy to, że i w armji i w dyplomacji niektórzy z Madjarów zajmowali wybitne stanowiska.

Rządy były wówczas w ręku partji liberalnej, na której czele stał przemjer, hr. Koloman Tisza. Liberalizm pojmowano tam jako równe prawa dla wszystkich obywateli państwa, ale nie dopuszczano równości w sprawach narodowościowych; prędko się jednak przekonałem, że nie było tak źle, jak krzyczeli wrogowie.

Naprzykład inowiercy korzystali z szerokiej autonomji kulturalnej, mieli swoje szkoły subsydjowane przez państwo i zrównane w prawach ze szkołami państwowemi. Miałem sposobność zwiedzenia gimnazjum serbskiego w Nowym Sadzie i zdumiony byłem okazałością gmachu, bogactwem biblioteki, doskonałym zaopatrzeniem gabinetów przyrodniczych.

W następstwie doświadczenia wojny światowej wykazały — powtarzam tu słowa hr. Apponyi'ego wyrzeczone w jednej z ostatnich jego rozmów ze mną — że węgierska polityka silnej i twardej, może nieraz zbyt twardej ręki w stosunku do inoplemionych lepszy wydała owoc, niż bardzo łagodna i troskliwie uwzględniająca ich życzenia, zwłaszcza w zakresie szkolnictwa, polityka austriacka. Korzystając z jej łagodności, Słowianie austriaccy mogli wychowywać młode pokolenie w duchu nienawiści do Austrii, a kultu dla Rosji — i młodzież ta w latach wojny walczyła bez zapału, nieraz niechętnie, chętnie natomiast szła do niewoli, gdy, przeciwnie, Słowianie węgierscy bili się jak lwy, nie ustępując w walce i wierności rodowitym Madjarom. — Tak mówił Apponyi...

Koloman Tisza rządził despotycznie z pomocą oddanej sobie kliki, w której rolę znaczną mieli żydzi, żądał bezwzględnego posłuszeństwa; tych, co się ośmielali mieć własne zdanie, nie dopuszczał do jakiegokolwiek wpływu czy znaczenia. Rosła z tego powodu opozycja w społeczeństwie, skupiała się w stronnictwie niezależności, które, stojąc na tradycjach walki 1849 roku, pojmowało dualizm, jako unję personalną z monarchą i zgodnie z tem domagało się przede wszystkim armji narodowej. Tisza wyolbrzymiał przed cesarzem niebezpieczeństwo stąd płynące, i silny, dzięki temu, jego zaufaniem patrzył na Węgry, jak twierdzili jego nieprzyjaciele, jak na swój własny folwark, który doprowadzał do rozkwitu ekonomicznego; natomiast pomiatając ludźmi, tłumiąc despotyzmem swoim wszelką inicjatywę nawet we własnej partji, wywoływał coraz powszechniejsze niezadowolenie; coraz liczniejsze były zastępy jego przeciwników.

W rozmowach z politykami węgierskimi szukałem oczywiście wspólnego z nimi gruntu. Wszak łączyło nas to, że tych samych mieliśmy wrogów: Rosję z jednej strony, z drugiej — Niemcy. Z pierwszym zgadzali się wszyscy, ale przeciw drugiemu wszyscy

jednogłośnie protestowali, przyczem opozycjoniści wprowadzali charakterystyczny dodatek: „wrogiem naszym” — powiadali — „nie są Niemcy, lecz nasza niemiecka dynastia”. Kwestji narodowościowej poprostu nie rozumieli, nie mieścił im się w głowie patriotyzm tylko lingwistyczny, nie mający za sobą żadnego oparcia w historii, żadnej tradycji. „Ronicie łyż nad Słowianami” — wy-mawiał mi hr. Teodor Batthyány — „a nie macie słowa współ-czucia dla nas, Madjarów, którzy tak samo, jak oni, jesteśmy uciskani i poniewierani przez nasz rząd. Mam zaszczyt być szambelanem Jego Królewskiej Mości, a pomimo to, gdy zgłosiłem kandydaturę swoją do Sejmu, żandarmi nie dopuścili mnie do wygłoszenia mowy na zgromadzeniu wyborczem”. Słowa te świadczyły, jakie szerokie kręgi zataczało w społeczeństwie węgierskiem rozdrażnienie przeciw premierowi i partji liberalnej.

Apponyi należał do opozycji. Ale był przede wszystkim człowiekiem idei, mało biegłym w polityce z dnia na dzień z jej targami, szacherkami, intrygami, wśród których tak trudno zachować czyste ręce. Przeciw polityce tej protestowała jego natura. „Wyrosłem” — czytamy w pamiętniku jego ¹⁾ — „w atmosferze rodziny, w której czystość moralna uważana była za rzecz naturalną, dobro nie wymagało wysiłków, zło zaś wydawało się fenomenem dalekim, istniejącym raczej w teorii, dotyczącym rzadkich tylko jednostek, niezdolnym do zawładnięcia kimkolwiekbydz z nas”... „Gdybym miał drugi raz rozpocząć życie swoje” — mawiał w starości ²⁾ — „poświęciłbym się nauce; kto jej służy, ten ma na widoku prawdę, tylko prawdę i, dzięki temu, może być w zupełnej zgodzie z sobą. W polityce, przeciwnie, liczyć się trzeba nie tylko z prawdą, ale z uprzedzeniami, ze słabościami i namiętnościami, które nauka ignoruje. Ażeby zbliżyć się do celu, trzeba nieraz być gotowym do ustępstw, choćby kosztem prawdy, a te nieuniknione kompromisy są torturą dla uczciwego sumienia, które zawsze pytać siebie musi dokąd wolno dojść bez zdrady swych zasad i dokąd należy dojść w interesie sprawy, której broni”.

Apponyi widział wyraźnie, że radykalizm patriotyczny nie cofający się, jeśli nie w czynach to w słowach, przed zerwaniem

¹⁾ A. Pethő, op. c. str. 14.

²⁾ ib. str. 25.

z Austrią, przechodził zarazem w radykalizm społeczny; wobec tego postanowił stworzyć pod nazwą stronnictwa narodowego grupę umiarkowaną, stojącą mocno na dualizmie i ugodzie z r. 1867.

Koloman Tisza upadł w r. 1890. Cesarz Franciszek Józef niezwłocznie wezwał Apponyi'ego do Wiednia i ofiarował mu władzę pod warunkiem zrzeczenia się swego programu wojskowego, który narazie ograniczał on żądaniem i wprowadzenia komendy węgierskiej do pułków honwedów. Na tym punkcie cesarz był nieubłagany. Apponyi odmówił. „Jesteś pan“ — powiedział cesarz — „moim osobistym przeciwnikiem, nie zaś rządu mojego“. Od tego czasu miał Apponyi przeciw sobie antypatję monarchy; utrudniało to jego położenie tem bardziej, że był urodzonym konserwatystą i lojalnym sługą swego króla.

Wobec odmowy Apponyi'ego upadek Tiszy nie pociągnął za sobą upadku jego stronnictwa; rządziło ono nadal Węgrami. Apponyi w celu skutecznej walki z przeciwnikami, których miał za przeciwników idei narodowej węgierskiej, połączył wówczas swoją grupę ze stronnictwem niezależności, które go wnet potem obrało swoim leaderem.

Na czem polega idea narodowa węgierska? Symbolem jej jest korona św. Stefana; Węgrzy żywią dla niej cześć mistyczną, którą trudno zrozumieć obcemu. Tej czci, tego kultu Apponyi był tłumaczem, tłumaczem natchnionym. W myśli jego dochodziła do świadomości myśl narodu. Wyłożył ją kilkakrotnie ¹⁾. Chwałę Węgier, dowodził, stanowi to, że byli i chcieli być przedmurzem chrześcijaństwa. Gdy państwa Europy, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa idącego od Wschodu, od Tatarów, od Turków, później od Rosji, spierały się między sobą, nieraz ów Wschód do pomocy wzywając, Węgrzy wiernie na stanowisku przedmurza trwali. Siłę i stanowczość, której naród ten składał zawsze dowody, Apponyi przypisywał temu, że wrodzone Węgom zdolności organizacyjne szły w parze ze zmysłem prawa i umiłowaniem wolności. Wszystko to zaś zlało się i uosobiło w kulcie korony św. Stefana.

Koronę, którą św. Stefan otrzymał od papieża, uznano za

¹⁾ Por. Bilder aus der ungarischen Verfassungsgeschichte (Budapest, 1917); L'évolution constitutionnelle de la Hongrie (Budapest, 1927); Origine, caractère et évolution de l'idée monarchique en Hongrie (1931).

zatwierdzenie i uwieńczenie stanu rzeczy, który już w narodzie panował; Madjarowie, zdaniem Apponyi'ego, byli narodem, byli zorganizowaną społecznością, zanim się stali państwem; ¹⁾ w porównaniu z indywidualizmem, cechującym rasę germańską, mieli oni szczególnie rozwinięty zmysł społeczny i zmysł polityczny: Arystotelesowskie określenie człowieka, jako *zoon politikon* stosuje się do nich w stopniu silniejszym (*in ganz vorzüglicher Weise*), niż do jakiegokolwiek innego narodu. W drugiej połowie IX w. wkroczyło na dzisiejsze terytorjum węgierskie siedem plemion szczepu turańskiego. Wodzowie ich wybrali jednego z pośród siebie, Arpada, jako wodza naczelnego, ten zaś obiecał im wzamian, że nigdy nic nie przedsięwzięmie bez uprzedniej narady z nimi i że w zawojowanych i zajmowanych ziemiach każdy wolny człowiek otrzymywać będzie swoją część. Mocą tejże umowy następcy Arpada mieli być wybierani z jego rodu. Umowa jednak obowiązywała obydwie strony i gdy później korona ozdobiła czoło św. Stefana, nie była ona oznaką tylko prerogatyw związanych z tytułem i stanowiskiem monarchy; obejmowała wszystkie urzędy, była wyrazem udziału wszystkich wolnych obywateli we władzy. Wpływało stąd, że „prawa najpośledniejszego z poddanych miały ten sam charakter świętości, co majestat króla, były tak samo nietykalne“. Jak w organizmie ludzkim głowa nie może istnieć i żyć bez członków, a członki — bez głowy, tak władza królewska nie może być wykonywana bez współdziałania przedstawicielstwa, a przedstawicielstwo nie może się obejść bez głowy swojej i działać samodzielnie. Wprawdzie dziś, w chwili obecnej, jest inaczej, ale stało się tak wskutek niespodzianego tragicznego zbiegu okoliczności; naczelnik państwa jest regentem, czasowym stróżem korony św. Stefana, rząd jego jest rządem królewskim. „Nie sądzę“—słowa Apponyi'ego—„aby genjusz jakiegokolwiek narodu stworzył coś równie pięknego i trwałego, jak doktryna świętej korony węgierskiej: prawo monarsze i wolność polityczna zlały się tu w organicznej jedności z pierwiastkiem mistycznym, który potrzebą jest duszy każdego narodu zawsze i wszędzie“.

„Uważać będę“ — kończył Apponyi swój odczyt z zakresu

¹⁾ C'est la communauté qui préexiste et cherche un chef pour le but qu'elle se propose.

tegoż przedmiotu, wygłoszony w Berlinie w 1917 r. — „godzinę tę za straconą, jeśli mi się nie udało wyjaśnić wam, jak świętymi są dla nas rzeczy, które tu wam wyłożyłem,—jeśli nie odczuliście wraz z nami, choćby w ciągu krótkiej chwili, tego, co my o nich mówiąc, czujemy, tej niezniszczalnej mocy, z jaką wszystkimi tkankami naszego jestestwa przywiązani jesteśmy do usymbolizowanej w materialnej koronie króla Stefana, świętej korony węgierskiej, która jest osobą moralną (*eine moralische Persönlichkeit*) i od niej ma król władzę swoją, swoje prawa“.

Na czym Apponyi tę naukę, tę wiarę swoją w jej moc i prawdę opierał? Na prastarej, ginącej w mgłę wieków tradycji i na ustępie z dzieła cesarza bizantyńskiego, Konstantego Porfirogenety. Czy podstawy te były mocne? W każdym razie doktryna o koronie św. Stefana w oświeceniu, jakie jej nadał Apponyi, nierównie jest realniejsza i nierównie ściślej związana z całą przeszłością węgierską, niż owa fantastyczna interpretacja, z jaką występowali historycy rosyjscy z obozu słowianofilskiego w analizie zapisanego w kronice Nestora podania o wezwaniu Ruryka z jego skandynawską drużyną do objęcia władzy nad Rosją. Konstanty Aksakow nie zawahał się wyprowadzać stąd wniosku, że ponieważ państwo rosyjskie powstało nie z podboju, jak wszystkie inne państwa, lecz z dobrej woli ludu, więc dzięki temu wzajemne stosunki były tam zawsze oparte na wzajemnem zaufaniu i miłości panującego i poddanych, i pozostały takimi aż do dziś dnia. W czasach zaś nam bliższych Włodzimierz Solowjew upatrywał w powołaniu obcego władcy na tron akt zaparcia się siebie, nadający narodowi rosyjskiemu znamię wyższości moralnej...

Na poparcie swej tezy, która była nie jego osobistym tylko poglądem, lecz uczuciem całego narodu, przytoczył Apponyi szereg wymownych przykładów, świadczących, jakim nimbem otoczona była postać nosiciela świętej korony. W r. 1203 powstał przeciw królowi Emerykowi brat jego Andrzej. Król miał za sobą tylko szczupłą garstkę wojowników; sprawa jego wydawała się zgóry przegrana. Więc co robi? Wkłada na głowę koronę św. Stefana i bezbronny staje przed obozem buntowników ze słowami: „Kto z was ośmieli się podnieść rękę na pomazańca Bożego?“ Rozstępują się wrogie szeregi; brat królewski dobro-

wolnie oddaje się królowi w niewolę. Czy było tak rzeczywiście? „Nie wiemy”—odpowiada Apponyi—„i nie o to chodzi; charakterystyczne jest to, że legenda taka mogła powstać i utrwalić się w pamięci narodu“. Ale oto fakt historyczny: W czasie wojny 30-letniej książę siedmiogrodzki, Bethlen Gabor, sprzymierzył się, jako protestant, z Gustawem Adolfem i walczył przeciw ces. Ferdynandowi. Zwyciężył, zajął znaczną część Węgier, począł tytułować się królem, ale nie zdecydował się na koronację, bo w osobie ces. Ferdynanda miały Węgry swego króla ukoronowanego świętą koroną — i gdy od niego przybyło poselstwo, Bethlen wyszedł z obnażoną głową na spotkanie i, przyklękawszy, przyjął pismo królewskie. Czy był szczery, to czyniąc? może nie, ale tak uczynić musiał, aby w zgodzie być z uczuciem narodu, z uczuciami swoich własnych stronników.

Podobnie Apponyi, choć zwalczał nieustępliwość Franciszka Józefa w sprawie unarodowienia armji i dotkliwie czuł jego ku sobie niechęć, był w walce swej lojalny, był „wodzem opozycji Jego Królewskiej Mości“, zachował należne królowi uczucia przywiązania i czci. Po śmierci jego pisał o nim, jako o wielkim monarsze i zarazem uczciwym, dobrym człowieku (*un grand souverain doublé d'un homme honnête et bon*).

Nieszczęśliwego następcę jego, cesarza Karola, zaliczył do ludzi „z sercem wielkiem, otwartem na wielkie idee; miał on intuicje męża stanu i poglądy obejmujące widnokrąg tak rozległy, że w warunkach normalnych mógł stać się inicjatorem odrodzenia monarchji austro-węgierskiej; czy można się dziwić, że wstąpiwszy na tron bez należytego przygotowania, wśród chaosu komplikacyj bez wyjścia, w warunkach rozpaczliwych, popełniał błędy. Któżby ich zdołał uniknąć?“ Syna jego, arcyksięcia Ottona, uznał za jedyne go prawowitego spadkobiercę korony św. Stefana i złożył mu w dniu jego pełnoletnia należny królowi hołd.

W r. 1904 stronnictwo niezależności znalazło się u steru rządu. Misję utworzenia gabinetu otrzymał Wekerle, jako pośrednik między monarchją, który miał do niego zaufanie, a narodem. Apponyi'emu dano tekę oświaty. Stanowisko jego w stronnictwie, do którego należał, nie było łatwe; srożył się demagogizm, łądzono siebie i masy wiarą w niezwyciężoną siłę narodu; polityką zagraniczną masy się nie interesowały, prowodyrowie zaś, jak

Gabriel Ugron lub hr. Teodor Batthyány, grawitowali ku Francji. Apponyi pozostał wierny dziełu Juljusza Andrássy'ego ojca, t. j. przymierzu z Niemcami. Rozumiał on i widział, że Francja oraz potencie przyszłej Ententy sympatyzowały ze Słowianami i Rumunami, domyślał się, że układano już plany przyszłego rozbioru państwa Habsburgów. Wierny tradycjom przeszłości dziejowej upatrywał główne niebezpieczeństwo na Wschodzie; Tata-
rów i Turków zastąpiła groźniejsza od nich Moskwa. Nie było to frazesem z jego strony, ani też tylko uczuciem, lecz przemyślaną filozofją, którą spróbował na początku wojny uzasadnić w poświęconej temu rozprawie ¹⁾.

„Każdemu wiadomo“ — pisał — „jak drobne są różnice dogmatyczne między katolicyzmem a prawosławiem i jak są wielkie między katolicyzmem a wyznaniem protestanckimi. Pomimo to jak łatwo mogą się zrozumieć i porozumieć świat katolicki i świat protestancki i jak trudno przerzucić most od katolicyzmu do prawosławia?“ Czemże to wytłumaczyć? Tylko tem, że chrześcijaństwo wschodnie zmarniało, nie umiając stawiać oporu absolutystycznym uroszczeniom cesarzy. „Wiedz, że cesarzem jestem i arcykapłanem w jednej osobie“ — pisał Leon Izauryk do papieża Grzegorza II. Czy papież odpowiedział na to, że do niego, papieża, należeć powinna władza świecka nad całym chrześcijaństwem? Nie; obie sfery władzy są odrębne i od siebie odgraniczone, więc „pozostańmy każdy przy urzędzie, do którego Bóg go powołał“... „W tej wymianie zdań“ — słowa Apponyi'ego — „znalazł szczególnie dobitny wyraz kontrast między duchem Wschodu a Zachodu. Później car rosyjski, uważając siebie za spadkobiercę cesarza bizantyńskiego, czuł się i był rzeczywiście władcą sumień swoich poddanych. Zakresem władzy przewyższał wszystkich monarchów chrześcijańskich, wynikający zaś stąd brak treści wewnętrznej w życiu narodu rosyjskiego powodował to, że energia jego szła na zewnątrz, ku zagarnianiu coraz większych obszarów i można to nazwać, zdaniem Apponyi'ego, prawem natury, czy lepiej, prawem historii, które kierowało dziejami narodów wschodnich; przeciw prawu temu byli bezsilni ci nawet z carów, którzy, jak Mikołaj II, byli usposobieni pokojowo.

¹⁾ Die naturgemässe Stellungnahme Ungarns in der Weltpolitik (Budapeszt, 1915).

Wobec tego, że Zachód, mówiąc ściślej, Francja i Anglja, nie chciały rozumieć niebezpieczeństwa rosyjskiego, więc tembardziej należało Węgrom stanąć murem w obronie Zachodu, przeciw agresywizmowi caratu, choćby wbrew woli Zachodu. Jeśli padniemy, pisał Apponyi w zakończeniu, będzie to końcem misji naszej, naszego bytu; zwycięska Moskwa po trupach naszych pomknie na zachód; jeśli zwyciężymy, zwycięstwo nietylko okryje nas chwałą, następstwem jego będzie także ogromne wzmocnienie narodu i — właśnie to będzie pierwszym owocem tryumfu Zachodu. Ale jak, w jaki sposób objawi się ta *nazionale Erstar-kung* Węgrów? No to autor odpowiedzi wyraźnej nie dawał; dom się palił, zagłada i śmierć zawisły nad ojczyzną, innej pomocy, jak ze strony Niemiec, nie było i pomoc tę on przeceniał. Dalej w przyszłość sięgnął w owym czasie jego rywal polityczny, hr. Juljusz Andrassy; rozumiał, że powodzenia niemieckiego oręża prowadziły za sobą zejście Austro - Węgier do roli całkowicie zależnego od Niemiec ich satelity — i dlatego potędze niemieckiej zapragnął przeciwstawić trializm austro - węgiersko - polski.

Tenże Andrassy powiedział o Apponyi'm, że nie było Węgra, któryby tak doskonale odpowiadał ideałowi, określonemu niegdyś przez „największego z Węgrów“ St. Széchenyi'ego w następujących słowach: być europejczykiem w najlepszym znaczeniu wyrazu tego, nie tracąc nic z cnót przodków, nic z właściwości i przymiotów narodowych. Po wojnie powszechny głos narodu powołał go do ratowania sprawy ojczyzny w Paryżu; postawiono go na czele delegacji węgierskiej. Oczy wszystkie były na niego zwrócone; spodziewano się, że osobą swoją i wymową dokona cudu. Cud nie nastąpił. Niemniej jednak słowa jego wywarły wrażenie potężne; jakgdyby przed spółką, która się zawiązała w celu dokonania nieładnego czynu, stanął nagle ktoś o wysokim poziomie duchowym i wykazał zbrodniczość zamierzonego przedsięwzięcia i zgubne tego następstwa. Wspólnikom otworzyły się oczy, poczuli wyrzuty sumienia, zawahali się, ale trwało to tylko chwilę, zanadto się bowiem zagalopowali, już się cofnąć nie mogli.

Do misji swojej Apponyi był znakomicie przygotowany dzięki temu, że od 1895 r. należał do Unji międzyparlamentarnej, sta-

wiającej sobie, jako zadanie, pracę nad utrwaleniem pokoju. Cel taki był mrzonką, zdarza się jednak, że mrzonka może niekiedy mieć w tem lub owem dobroczynne skutki i dlatego Apponyi przystąpił do Unji. Pozatem kierował nim motyw patriotyczny: biorąc udział w dziele oświeconem ideą usunięcia największego zła na świecie, tem samem przyczyniał się do wzmocnienia powagi i znaczenia swego narodu.

Po ostatecznem przegraniu sprawy w Trianon, po katastrofie największej, jaka spadła na Węgry od czasu bitwy pod Mohaczem i niewoli tureckiej, pozostawało jedno: straty materialne wynagrodzić sobie zyskiem w innej szlachetniejszej dziedzinie, utracone znaczenie polityczne zastąpić podniesieniem powagi moralnej i pokazać Europie, że naród, który postanowiono skazać na śmierć, wart jest życia. Zadanie to wziął na barki swoje Apponyi i, jako „ambasador ducha Węgier“ w Genewie, mężnie a z ogromnym dla ojczyzny pożytkiem wytrwał aż do śmierci na posterunku swoim. Jakże ciężkie było jego zadanie i jak umiejętnie je rozwiązywał! Gdyby mówił tylko o nieszczęściu Węgier, gdyby się ograniczał do skarg na wyrządzoną im krzywdę, znudziłby tem i do reszty zraził słuchaczy. Czem były Węgry w oczach zwycięzców i tych, co ze zwycięstwa ich korzystali, wymownie świadczy następujący szczegół. Po jednym z posiedzeń Ligi Apponyi podszedł do jednego z ministrów naszych z zamiarem zawiązania z nim rozmowy politycznej. Minister ów słuchał z roztargnieniem i po chwili przerwał go słowami: „A co porabia nasza wspólna znajoma, hrabina X...?“ Są to rzeczy, które zapomnieć się nie dają; takie i inne podobne upokorzenia jednak nie zniechęcały go; nie wątpił i wątpić nie mógł, że prędzej czy później osoba jego i praca zostaną należycie ocenione. I rzeczywiście—świadczą o tem sprawozdania w *Journal de Genève*—prestiż jego rósł z roku na rok: „dominował nad Zgromadzeniem postawą swoją, wzrostem, głosem, wymową, połotem myśli i powagą moralną; mówił zawsze tak, jakgdyby ostatni raz zabierał głos i chciał sumienie i serce wyzwolić z gniotącego je ciężaru; synowie nasi zazdrościć nam będą, żeśmy go słyszeli, jak my zazdrościmy tym, którzy słyszeli Liszta“.

Stanowisko swoje i swego narodu wyjaśnił w jednym z prze-

mówień w następujących słowach ¹⁾. „Po straszliwych nieszczęściach wojny, po traktatach, które nam narzucono, po rewolucjach, które u nas szalały, mieliśmy dwie drogi przed sobą: mogliśmy odejść i, nie kryjąc oburzenia swego, zamknąć się w pogardliwej negacji nowego porządku rzeczy, drogę tę zalecali niektórzy patrioci bardzo szanowni, lecz kierujący się bardziej uczuciem niż rozumą. Ale mogliśmy także rzucić się w sam wir zdarzeń, popłynąć z prądem i szczerze, bez żadnej myśli ubocznej, a ze wszystkich sił pracować nad rozwojem tych zasad sprawiedliwości, tych dążeń do braterstwa i zgody, które pomimo ciężkich warunków, w jakich nas postawiono, jesteśmy w stanie realizować. I właśnie tę drogę obraliśmy; mówię to w imieniu ogromnej większości narodu i w imieniu rządu, chociaż rządu tego jestem przeciwnikiem tam, u siebie, w kraju moim. Wszyscy jesteśmy oddani duszą całą sprawie narodu i pozostaniemy wierni swej miłości, ale chcemy — i wyraziliśmy to w programie naszym — ażeby nasz ideał narodowy był zgodny z wielkimi sprawami, wielkimi myślami, nadziejami i możliwościami ludzkości“.

Czyż nie był to ten sam program, który głosił Krasiński. pisać o przemienieniu sfery polityki w sferę religii? Apponyi był szczerym katolikiem, gorącym wyznawcą idei Kościoła powszechnego i to nadawało jego patriotyzmowi szlachetny uniwersalistyczny charakter, wolny od wszelkich małostkowych zacieńczeń. Jeśli ktokolwiek zarzuci mu, że nie dał dość wyraźnych tego dowodów, będąc ministrem oświaty, odpowiemy, że odbył ewolucję duchową, że nieszczęścia ojczyzny nauczyły go lepiej rozumieć cierpienia innych narodów i tem niezmiernie uszlachetniły jego uczucie patriotyczne.

Gdy w r. 1926 miesięcznik francuski *Les Lettres* wystąpił z inicjatywą ankiety o nacjonalizmie, Apponyi w odpowiedzi swojej nie dotknął sprawy węgierskiej, choć sama tu się narzucała. Stał się wyłącznie na stanowisku nauki katolickiej, która jest ponadnarodową (*qui est de tous les temps et de toutes les latitudes*). Niemniej jednak, dowodził, świadomość odrębności swojej, którą posiada każdy naród, jest zjawiskiem stałym, należy do tych zasadniczych czynników czy praw kierujących historją, o których

¹⁾ Na piątej sesji Ligi Narodów, 9 września 1924 r.

trudno przypuścić, ażeby mogły kiedykolwiek przestać istnieć. Ale dziś nastąpił przerost nacjonalizmu, żyjemy w epoce i pod grozą jego spaczeń, które zwalczać trzeba, jak się walczy z chorobą, z nędzą, z występkiem, choć się wie zgóry, że żadne usiłowania nie zniszczą złego, a tylko mogą objawy cokolwiek złagodzić. Więc nacjonalizmowi należy przeciwstawić internacjonalizm chrześcijański. „Wznieśmy wzrok nasz ku zasadom wiecznym, które obowiązują nas, jako chrześcijan, do wysiłków; torujmy drogę wzajemnemu zbliżeniu się ludzi dobrej woli ze wszystkich krajów i narodów; to będzie pierwszym krokiem do zgody narodów“¹⁾.

W Genewie poświęcił się całkowicie pracy nad „organizacją“, jak się wyrażał, pokoju, ale nie pokoju chwilowego, opartego na zmiennych kombinacjach politycznych, lecz pokoju czyniącego zadość idei sprawiedliwości (*justice immanente*). Niech Liga Narodów, zamiast brać sobie za wzór Święte Przyzierze, które było tylko Związkiem rządów kilku zwycięskich państw, rzetelnie zechce być Ligą Narodów. Ideał ten nie da się, rzecz jasna, urzeczywistnić odrazu, jednym pociągnięciem pióra; musi mu utorować drogę ewolucja psychologiczna. „Musimy“ — rozwijał mówca myśl swoją — „sami siebie w kierunku tym wychowywać, starając się w miarę sił naszej natury moralnej, przejmować się kultem owej *justice immanente*, która utrzymując w sercach naszych święty ogień patriotyzmu, oczyszcza go ze wszelkich pierwiastków nienawiści. Chcąc jednak na dobrej drodze stanąć, należy zacząć od postawienia zasady prawa, jednako obowiązującego wszystkich, nad interesami politycznymi silniejszych. Innemi słowy, w sprawach natury prawnej (*litiges juridiques*), z którymi Liga ma do czynienia, najwyższą instancją powinien być ustanowiony przez nią w Hadze stały Trybunał Sprawiedliwości międzynarodowej, nie zaś Liga, która jest Zgromadzeniem politycznym. Wbrew temu zaznacza się, niestety, w niektórych pismach naukowych tendencja do wywyższania władzy Ligi Narodów, do czynienia jej „instancją apelacyjną przeciw wyrokom organów Magistratury międzynarodowej“. Zgodnie z tem Rada Ligi przyznała mocarstwom prawo do zastrzeżeń

¹⁾ M. Vaussard: „Enquête sur le nationalisme“ (Paris, Spes, str. 245—250).

w stosunku do orzeczeń wydawanych w Hadze ¹⁾). To znaczy — wołał z oburzeniem Apponyi — że „chcecie godzić dostojność cnoty z rozkoszami występku“... ²⁾) „Przeciw temu powstaje całą mocą mego przekonania, bo za tem idzie zniszczenie bezpieczeństwa i godności małych narodów, zniszczenie myśli stanowiącej zasadniczą podstawę Ligi, bo po co, pytam, Liga utworzona została?“... „Pozwolę sobie wam oświadczyć“ — zwrócił się innym razem do przedstawicieli wielkich mocarstw — „że nigdy prestiż państwa potężnego nie wzniesie się do takiej wysokości jak w chwili, gdy w sporze z państwem małym przyjmie ono dobrowolnie wyrok Trybunału czy arbitrow, przyznający słuszość owemu słabemu przeciwnikowi ³⁾).

Ale jakże to było dalekie duchowi panującemu w Lidze. Poza arbitrażem były na porządku sprawy bezpieczeństwa i rozbrojenia, lecz traktowane z cynizmem bezczelnym, nie czującym nawet potrzeby przykrycia siebie jakimś liściem figowym. „Przytoczę jeden przykład — mówił Apponyi ⁴⁾) — zakazano Węgrom fabrykacji wszelkiego materiału do wojny chemicznej; nie zabierałbym głosu, gdyby tylko o to chodziło, ale nie wolno nam zaopatrywać się w środki ochronne przeciw owej wojnie, przeciw gazom trującym“. Jeśli nieprzyjacielowi podoba się wytruć ludność Węgier, jak szczury, Węgrzy będą zmuszeni na to patrzeć z założonymi rękami: „Byłbym ostatnim kłamcą, niegodnym szacunku waszego, gdybym powiedział, że przyjmujemy to z rezygnacją“... „Łatwa to rzecz dla tych, co są panami sytuacji, deklamować o braterstwie powszechnem, ale jakże trudno w imię tej obłudnej frazeologii stłumić w sobie uczucia, których żadna moc nie wykorzeni z duszy człowieka. Zechciejcie wejść w duszę chłopaka Węgry; ma on mapę przed sobą i widzi na niej resztki swej dawnej ojczyzny; czy może nauczyciel żądać od niego, ażeby uznał, że to co się stało, stało się dobrze. Przypuśćmy, że zdoła mu wykazać, iż kształtowanie Europy na podstawach zasady narodowościowej wymagało zrzeczenia się pewnej części

¹⁾ por. mowa z dnia 25 września 1928 r., IX Sesja Ligi Narodów.

²⁾ ib.

³⁾ por. mowa z dnia 10 września 1929 r., XI Sesja Ligi Narodów.

⁴⁾ por. mowa z 9 września 1924 r., V Sesja Ligi Narodów.

terytorjum, ale nieprzyjaciół zagarnął pozatem obszary, gdzie Madjarzy stanowią ogromną większość i zagarnął je, powołując się także na zasadę narodowościową. Tego ów chłopak nie zrozumie nigdy, nie pogodzi się z faktem, że okrojone Węgry zostały prawie pozbawione możliwości rozwoju gospodarczego i gdyby się nawet znalazł nauczyciel, któryby go chciał przekonać, że wszystko to jest w porządku rzeczy, przeciw nauczycielowi temu podniosłoby protest wszystko, co w duszy dziecka jest czyste i szlachetne“... „Nie chcę jednak być fałszywie rozumianym, nie twierdzę, ażeby należało wychowywać młodzież w duchu odwetu i wojny; wręcz przeciwnie — wyjdzie z rozpaczliwego położenia widzę tylko w ewolucji sumienia, w zmianie mentalności naszej, która się odbywa powoli, niestety, bardzo powoli“¹⁾).

Apponyi, jako Węgier, nie mógł, nie miał prawa nie poruszyć sprawy rewizji traktatu w Trianon. I tu delegacje, nasza i węgierska, stanęły na dwóch biegunach. „Wiem“ — mówił Apponyi²⁾, — „że odpowiecie wyrazem *nigdy*; ale na mnie w moich latach wyraz ten nie robi wrażenia. Za życia mego powstało we Francji drugie Cesarstwo; patrzałem na apogeum prestiżu jego i potęgi; patrzałem na upadek; byłem potem świadkiem powstania, rozkwitu i upadku cesarstwa Hohenzollernów; byłem nietylko świadkiem, lecz brałem czynny udział w przebudowie monarchji Habsburgów, która miała jej zapewnić trwałość; monarchji tej już niema“. „Niejeden z was zarzuci mi, że poruszyłem kwestję, która was rozdrażnia — ale zrobiłem to po namyśle; chcę bowiem mówić w Genewie tak, jak mówię w Budapeszcie, ażebyście mieli rękojmię, że mówię tam nieinaczej, jak tu“.

Słusznie nazwano Apponyi'ego tragicznym wędrowcem. Działalność jego w Genewie była szeregiem zawodów. Jeśli żywił jakieś nadzieje, gdy pierwszy raz stanął przed owym forum, to po ludzku sądząc, powinien był je wszystkie utracić. Ileż to razy skarżył się na pustą frazeologję, panującą na obradach, jakie gnębiące wrażenie (*une impression des plus pénibles*) robiły na nim elaboraty komisji, z jaką ironją chłostał Ligę, stosując do niej znany francuski czterowiersz:

¹⁾ Mowa z dnia 10 września 1929 r.

²⁾ ib.

A l'ombre d'un clocher
L'ombre d'un cocher
De l'ombre d'une brosse
Frottait l'ombre d'un carrosse.

A jednak wierzył; „Wierzę w Ligę Narodów nie taką jaką jest, lecz taką, jaką będzie“. Były to ostatnie jego publicznie wyrzeczone słowa w odczycie, który miał w Wiedniu 5 tygodni przed śmiercią swoją 28 stycznia 1933 r.¹⁾). Jałowość rozpraw genewskich tem tłumaczył, że w chwili, gdy Liga powstawała, mentalność, która ją przenikać powinna, nie była jeszcze dojrzała; stworzono formy, gdy umysły nie były jeszcze w stanie wlać w nie jakiejś żywej treści.

Apponyi, przemawiający z trybuny genewskiej, na gruzach potęgi Węgier, do narodów i państw Europy, dziwnie przypomina poetów i myślicieli naszych po katastrofie 1831 r. I tu i tam też sama dostojność, to samo poczucie majestatu idei sprawiedliwości, którą oni uosabiają wobec Europy. Ale wieszczów naszych porwało mesjańskie marzenie o oczyszczonej w cierpieniu i przeobrażonej Polsce, prowadzącej narody ku świtom królestwa Bożego. Pozytywista, a jeden z najgłębszych umysłów naszych, Włodzimierz Spasowicz, zarzucił mi niegdyś w recenzji mej młodościowej pracy o „Mesjanistach i Słowianofilach“, że nie dość podniosłem dobroczynne znaczenie naszej poezji mesjańskiej, która nas ochroniła od pesymizmu. „Po 31 roku“ — pisał²⁾ — „podupała narodowość potrzebowała, ażeby się uchronić od zagłady, nadludzkiego prawie wysiłku patriotyzmu posuniętego do najwyższej egzaltacji“... „czy nie był mesjanizm jedną z faz koniecznych w ewolucji narodowej idei“?

Inaczej jest zbudowana psyche węgierska; krzepiący napój mesjanizmu nie był jej potrzebny. Najczcigodniejszy z przedstawicieli idei narodowej, Apponyi, ani razu nie zeszedł z gruntu realnego. Wierzył, ale nie w opatrnościowe posłannictwo narodu swojego, lecz w siłę rozumu, który jest własnością ogólnoludzką i prędzej czy później uzna konieczność pokoju powszech-

¹⁾ Mowę tę mamy w dodatku do Nouvelle Revue de Hongrie z marca 1933 roku.

²⁾ „Przegląd Literacki Kraju“ 1888, Nr. 27.

nego i stworzy ten pokój, nie ten lub ów, warunkowy i chwilowy, ale pokój, po którym wojny nie będzie (*non cette paix, mais la paix*): „mówię o tem, bo to, co wam mówię, nie jest programem dnia dzisiejszego, albo jutra, ale jest linią nakreśloną przez historję, przez naturę rzeczy. *Credidi propterea locutus sum*“¹⁾).

Wiara ta miała jednak inne jeszcze źródła — w przeświadczeniu o niepożytych siłach narodu węgierskiego. „Straciliśmy“ — mówił — „niemal wszystko, co materję potęgi stanowi, ale zachowaliśmy wszystko, co do porządku moralnego należy. Zachowały Węgry integralność duszy narodowej, moc oporu, wyrobioną w dziesięciowiekowych walkach, świadomość znaczenia swego, wielką tradycję ciągłości legalnej (*continuité légale*), która nakazuje uznać chwilowe prowizorium, zanim nie zasiądzie na tronie ten, któremu korona św. Stefana należy się z prawa“.

Słowa te były wygłoszone w jednym z brukselskich wykładów²⁾. Zamknął je prelegent aktem wiary, niemal radości, iż danem mu zostało dożyć do chwili takiego napięcia energii narodowej, że pewność zwycięskiego odparcia sił wrogich Węgrom już nie ulega wątpieniu. „W moim wieku podeszłym“ — kończył — „słabą mam nadzieję, abym mógł ujrzeć urzeczywistnienie mej myśli, ale może Bóg łaskawy da mi oglądać z jakiejś świętej góry Horeb Ziemię obiecaną: odbudowane Węgry w zreorganizowanej Europie“.

„Odbudowane Węgry w zreorganizowanej Europie“ — czy nie jest to na tle epoki naszej jakąś mrzonką dziecinną? Ale marzenie to wypływało, choć brzmi to paradoksalnie, z tego wspańskiego realizmu, dzięki któremu Węgier pozostaje realistą nawet w chwilach, kiedy entuzjazm przepełnia mu duszę. Po sobie o innych sądząc, nie jest on w stanie przypuścić, ażeby namiętności czy uprzedzenia miały zawsze brać górę nad rozumem. Czy realizm ten, który w swej najgłębszej istocie jest afirmacją myśli wyższej, tkwiącej we wszechświecie, jest specyficzną właściwością madyaryzmu, nie odważę się tego twierdzić stanowczo, w każdym razie występuje on u Węgrów z nadzwyczajną, budzącą podziw wyrazistością i siłą.

¹⁾ Mowa z dnia 15 września 1929 r., X Sesja Ligi Narodów.

²⁾ L'évolution constitutionnelle de la Hongrie (1927).

XV.

ZAKOŃCZENIE

W pierwszych dniach czerwca 1930 r., w dziesięcioletnią rocznicę traktatu w Trianon, odbyło się żałobne posiedzenie Izby poselskiej w Budapeszcie. Posłowie przybyli w strojach żałobnych, na trybunie stanął najdostojniejszy z Węgrów, hr. Albert Apponyi. Mówił o tragedji narodu; słowom wielkiego mówcy były do wtóru wszystkie serca węgierskie, zakończył narodową modlitwą węgierską podobną do modlitw i hymnów, do Jeremjaszowych skarg, które rozbrzmiewały u nas w latach ucisku i niewoli.

W jednym z poważnych pism naszych znalazłem wówczas artykuł napisany z tego powodu, a doskonale odzwierciadlający naszą moralną i polityczną płytkość. Od wieków — głosił jego autor — żyjemy z Węgrami w najserdeczniejszych stosunkach, wielkiemu smutkowi narodu węgierskiego „towarzyszą uczucia polskiej kondolencji“... ..ale „Węgrzy mają taką zapłatę, na jaką zasłużyli“: jeśli wojna światowa nie była po ich myśli, to dla czego nie powstała, albo przynajmniej nie wysłali do Londynu, Paryża, Waszyngtonu, przedstawicieli swoich, którzyby stworzyli tam „placówki węgierskie w potężnej Lidze wielkich demokracji, usiłujących zbudować nową Europę na gruzach tronów niemieckich“.

Sprecyzujmy zarzut ten. Naród węgierski szczerze nie chciał wojny, przede wszystkim zaś, przewidując jej droższe następstwa, nie chciał jej ówczesny premier, hr. Stefan Tisza.

W kilka dni po zamachu w Sarajewie, zabrała się w Wiedniu, 7 lipca 1914 r., Rada Koronna pod przewodnictwem wspólnego austrowęgierskiego ministra Spraw Zagr. hr. Berchtolda; uczestniczyli w niej obaj premierowie: austriacki, baron Stürgkh i węgierski—Tisza, szef sztabu głównego gen. Conrad von Hoeterdorf i wspólni ministrowie finansów i spraw wojskowych, Leon

Biliński i gen. Krobotin; wszyscy byli za wysłaniem groźnego ultimatum do Belgradu, czyli za wojną; Stefan Tisza był jeden przeciw wszystkim; powagę miał tak wielką, że Rada nie zdobyła się na decyzję stanowczą; posiedzenie odroczone. Nazajutrz napisał do cesarza memorandum w sprawie zamierzonego, a fatalnego dla Państwa (*verhängnisvoll*) kroku. Nie został jednak wezwany przez monarchę, ani otrzymał odpowiedzi. Na następnej Posiedzeniu (19.IX) widząc bezskuteczność oporu swego, ustąpił¹⁾. Co miał począć? Zrzucić z siebie brzemień odpowiedzialności, zabrać się do agitacji przeciw wojnie i może w tym celu umknąć do Paryża czy Londynu? Ten człowiek surowy, prosty, jakby wyciosany z jednej bryły, niezdolny do kompromisów, ale zdolny do zaparcia się siebie i do wszelkich ofiar dla idei, której służył, uważałby nie tylko agitowanie przeciw wojnie, lecz nawet podanie się do dymisji za demonstrację, równającą się ucieczce z pola bitwy. Opuszczenie przezeń najodpowiedzialniejszego w państwie posterunku wprowadziłoby do narodu rozdwojenie w chwili wymagającej skupienia i jednolitości w działaniu. Przeciw temu protestowało jego sumienie.

Chcąc wczuć się w duszę jednostki czy narodu, trzeba umieć wznieść się ponad interes swój własny, swej grupy, swego państwa; bracia *Tharand* nie rzucili na Tiszę kamieniem potępienia, piszą o nim uznaniem, z sympatją. W dniu wypowiedzenia wojny robiono mu owację, powóz zasypano kwiatami; nie spędziły one chmury smutku z jego oblicza: „Oby kwiaty te — powiedział jakby w przeczuciu swej tragicznej śmierci — nie przemieniły się w kamienie“²⁾.

Że Węgrzy nie zdradzili swego króla, ukoronowanego koroną św. Stefana, to pierwszy ich grzech; drugim grzechem, w mniemaniu naszego publicysty, jest to, że dotychczas nie opamiętali się: „w dziesięć lat po wojnie poszczycić się nie mogą polityką mądrą i roztropną, ogarnęło ich manjackie dążenie do obalenia traktatu w Trianon“. Wypływałoby stąd, że „manjakami“ byli ci wszyscy, co walczyli o niepodległą Polskę, poczynawszy od

¹⁾ „Graf Stefan Tisza. Briefe 1914 — 1918“ (Berlin, Hobbing) por. s. 28 — 30 z przedmowy O. Wertheimera.

²⁾ Jérôme et Jean Tharand. „Quand Israel est roi“ (Paris, Plon) s. 84 — 85.

Kościuszki, ks. Poniatowskiego, Dąbrowskiego, kończąc na Piłsudskim; „manjactwem“ była twórczość Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego.

* * *

Gdy pozbawiona komunikacji ze światem, niemal uwięziona delegacja węgierska czekała na wyrok śmierci, który miał zapaść w Trianon, czerwone hordy szły na Polskę. W sierpniu były już pod Warszawą. Nie wątpiono w Europie, że policzone były dni Warszawy i Polski i w oczach mężów stanu europejskich było to także „manjactwem“ ze strony Polski, że zamiast poddawać się i błagać bolszewików o pokój, próbowała jeszcze się bronić. Inaczej myślano na Węgrzech; tam od marca 1919 r. fabryki pracowały nad przygotowywaniem materiału wojskowego dla nas; 8 lipca 1920 r. wobec tego, że sytuacja nasza stawała się coraz groźniejszą, rząd węgierski polecił fabryce naboju Csepel zarezerwować dla Polski wszystko, co miała w zapasie; równocześnie oświadczono gotowość wysłania wojsk węgierskich nam na pomoc. Francja dała na to zgodę swoją, ale pod warunkiem otrzymania zgody Rumunii i Czechosłowacji. Rząd czeski odpowiedział bezwzględną odmową. „Zniesiemy raczej — pismo w gazecie urzędowej *Prawo ludu* — straszny ciężar wojny, niż byśmy przepuścić mieli przez nasze ziemie hordy Horthy'ego; nie chcemy wobec Rosji spełniać rolę katów“. Zakazano również przewozić przez terytorjum Czech ekwipunek wojskowy dla Polski tak z Francji, jak z Węgier. Za przykładem Czech szły Niemcy, Austria, Gdańsk. Droga okrężną, przez Rumunię przyszły 12 sierpnia do Skierniewic z opóźnieniem miesięcznem wyekspedjowane z Węgier ładunki w liczbie przeszło 20 milionów naboju; na razie wystarczyły na potrzeby wojska polskiego, dzięki temu mogło zwyciężyć, Warszawa została uratowana, przeszliśmy do ofensywy, Węgry przesyłały amunicję w dalszym ciągu ¹⁾.

Po owych najtragiczniejszych dniach sierpniowych, przybyła do nas delegacja węgierska. Przewodniczył jej znany i ceniony w Budapeszcie prawnik, Żółtan Hindy; składała się z przedstawicieli stronnictw politycznych oraz krajów dopiero co oderwa-

1) Prof. Louis Villat „Rola Węgier po wojnie polsko - bolszewickiej“ przekład z francuskiego (Warszawa 1931).

nych od Węgier: Słowaczyny i Rusi węgierskiej; był w liczbie jej członków entuzjastyczny przyjaciel nasz bar. Syntinis. Mówiono, że delegacja miała ofiarować Polsce pomoc wojsk węgierskich. Nie było to ściśle; nie miała ona charakteru oficjalnego, nie mogła przeto być upoważniona do pertraktacyj politycznych. Była ona, powiedziałbym, wyrazem pięknego gestu, tem piękniejszego, że pochodził od narodu zbolełego, oszołomionego straszliwym ciosem, jaki nań spadł dwa miesiące przedtem w Trianon; ale naród ten tyle miał w sobie hartu, że umiał zapanować nad rozpaczą i znaleźć w sobie współczucie dla cudzego nieszczęścia.

Uobecnijmy sobie ową chwilę: po wiekowych cierpieniach i walkach naród nasz stanął nareszcie u celu marzenia swego, odzyskał utraconą wolność, ale zaledwo 1¹/₂ roku cieszył się z niej, bo znowu stał pod groźbą, że ją utraci, że wpadnie pod jarzmo barbarzyństwa najobrzydliwszego, jakie świat widział. W takiej chwili, gdy nas wszyscy, za wyjątkiem Francji, opuścili, oni, delegaci Węgier, przybyli po to, aby nam powiedzieć, że nie z nimi są, nie z czerwoną barbarzą, nie z przyszłymi, jak powszechnie sądzono, władcami Polski i ich bezmyślnymi sympatykami w Europie, lecz z nami, stojącymi nad skrajem przepaści: „Węgrzy dali wówczas najszlachetniejszy przykład oddania się sprawie cywilizowanej ludzkości ¹⁾, pomimo że „cywilizowana ludzkość“ w oczach kierowników zwycięskich państw Ententy uchwaliła rozbiór ich 1000-letniego państwa“.

„Bohaterska śmierć — pisze prof. Divéky ²⁾ — dwóch Jagiellonów — Władysława Warneńczyka pod Warną, a Ludwika II pod Mohaczem, była żywym symbolem wspólnej misji dziejowej obu narodów“! Ludwik II zginął w 1526 r. pół wieku potem, pod sztandarami wielkiego Węgry, który, jako król Polski, stał się wielkim Polakiem, Węgrzy walczyli obok Polaków pod Pskowem i Wielkimi Łukami. W r. 1920, choć wyczerpani wojną i jeszcze więcej zgnębieni pokojem, gotowi byli, w poczuciu powinności dziejowej, znowu wraz z nami stanąć i bronić siebie, bronić Chrześcijaństwa i duchowej kultury człowieka przeciw krwawym następcom Iwana Groźnego.

¹⁾ Louis Villat, op. c. str. 7.

²⁾ „Polska a Węgry dawniej a dziś“ Dziennik Poznański 21. VII 1932.

WYBURO POLSKIE
Sztab Generalny Oddz. II.

Biblioteka

Nr.

2000 16076

173

INWENTARYZACJA
1954

T

7709

SPIS RZECZY

Str.

Przedmowa	1
I. Kim są Węgrzy	5
II. Szandor Petöfi i jego ojczyzna	14
III. Hr. Stefan Széchenyi	26
IV. Biskup Ottokar Prohászka	49
V. Tragedja Węgier	58
VI. Francja, Węgry, Polska	69
VII. Węgry, Czechy, Polska	75
VIII. Niemoc Polska	85
IX. Mała Ententa	91
X. Kwestja Słowiańska	104
XI. Europa powojenna a koncepcja hr. Juljusza Andrássy'ego . . .	121
XII. Lord Rothermere a Węgry	136
XIII. Hr. Juljusz Andrássy	141
XIV. Hr. Albert Apponyi	152
XV. Zakończenie	170



49360/
12

3